

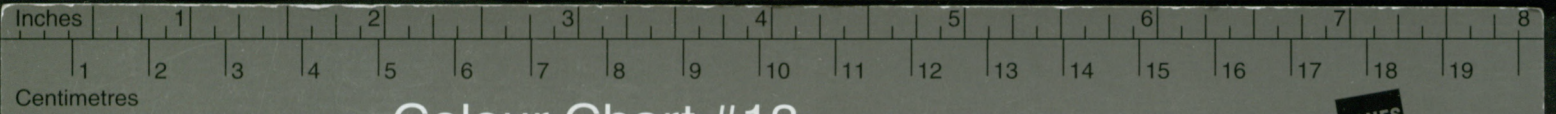


<p>Logotyp</p> 	<p>Nazwa instytucji</p> <p>Muzeum Ustrońskie</p>	
<p>Tytuł jednostki / publikacji / fotografii</p> <p>Czarne wampuny głoszą wojnę</p>		
<p>Ilość stron oryginału</p> <p>169</p>	<p>Ilość skanów</p> <p>169</p>	<p>Liczba plików publikacji</p> <p>341</p>
<p>Autor</p> <p>Szczepański Jan</p>	<p>Wydawnictwo / zakład fotograficzny</p> <p>Czytelnik</p>	<p>Skan okładki</p> 
<p>Miejsce wydania</p> <p>Warszawa</p>	<p>Rok wydania / Data powstania</p> <p>1970</p>	
<p>Sygnatura</p> <p>---</p>	<p>Rodzaj zasobu (np. zdjęcie, czasopismo itp.)</p> <p>książka</p>	
<p>Wymiary (wys x szer)</p> <p>14,1 x 19,9cm</p>	<p>Stan zachowania</p> <p>---</p>	<p>Charakterystyka skanowanego obiektu</p> <p>Książka opisująca szczegółowo przyczyny i przebieg największej pod względem zasięgu rewolty plemion indiańskich przeciwko brytyjskiemu panowaniu w Ameryce Północnej – tzw. Powstaniu Pontiaka, wodza plemienia Ottawa z rejonu Wielkich Jezior.</p>
<p>Hasła przedmiotowe (okres historyczny, postacie, miejsce)</p> <p>XVIII wiek, Ameryka Północna, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, Kanada, Jan Szczepański, Pontiak,</p>		
<p>Hasła tematyczne (np. miasto, przemysł, kuźnia, letnicy itp.)</p> <p>historia, literatura popularnonaukowa, Algonkinowie, Irokezi, Ottawowie, kolonie angielskie w Ameryce Północnej, kolonie francuskie w Ameryce Północnej, Indianie Ameryki Północnej, Powstanie Pontiaka, Kraina Wielkich Jezior, Detroit, Pittsburgh</p>		
<p>Prawa autorskie</p> <p>---</p>		

JAN SZCZEPAŃSKI

CZARNE WAMPUMY GŁOSZA, WOJNE.

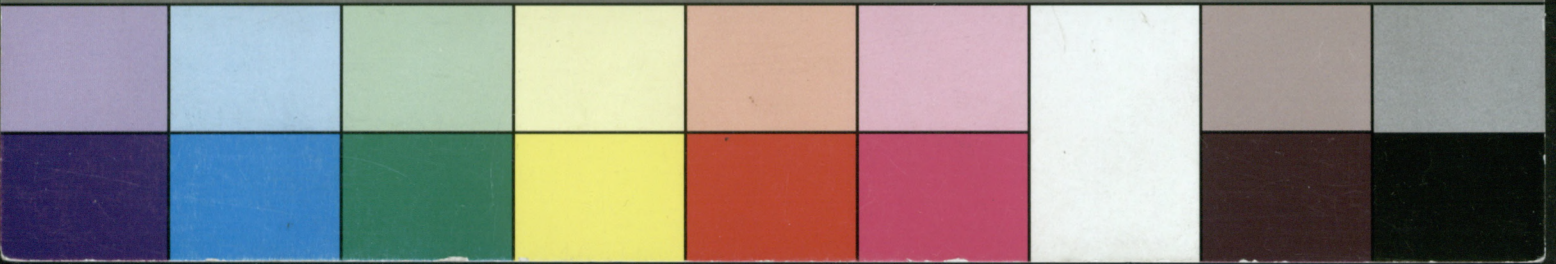
• czytelnik •



Colour Chart #13

DANES-PICTA.COM

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

DANES-PICTA.COM

K

Y

M

C

Grey Scale #13

B

G

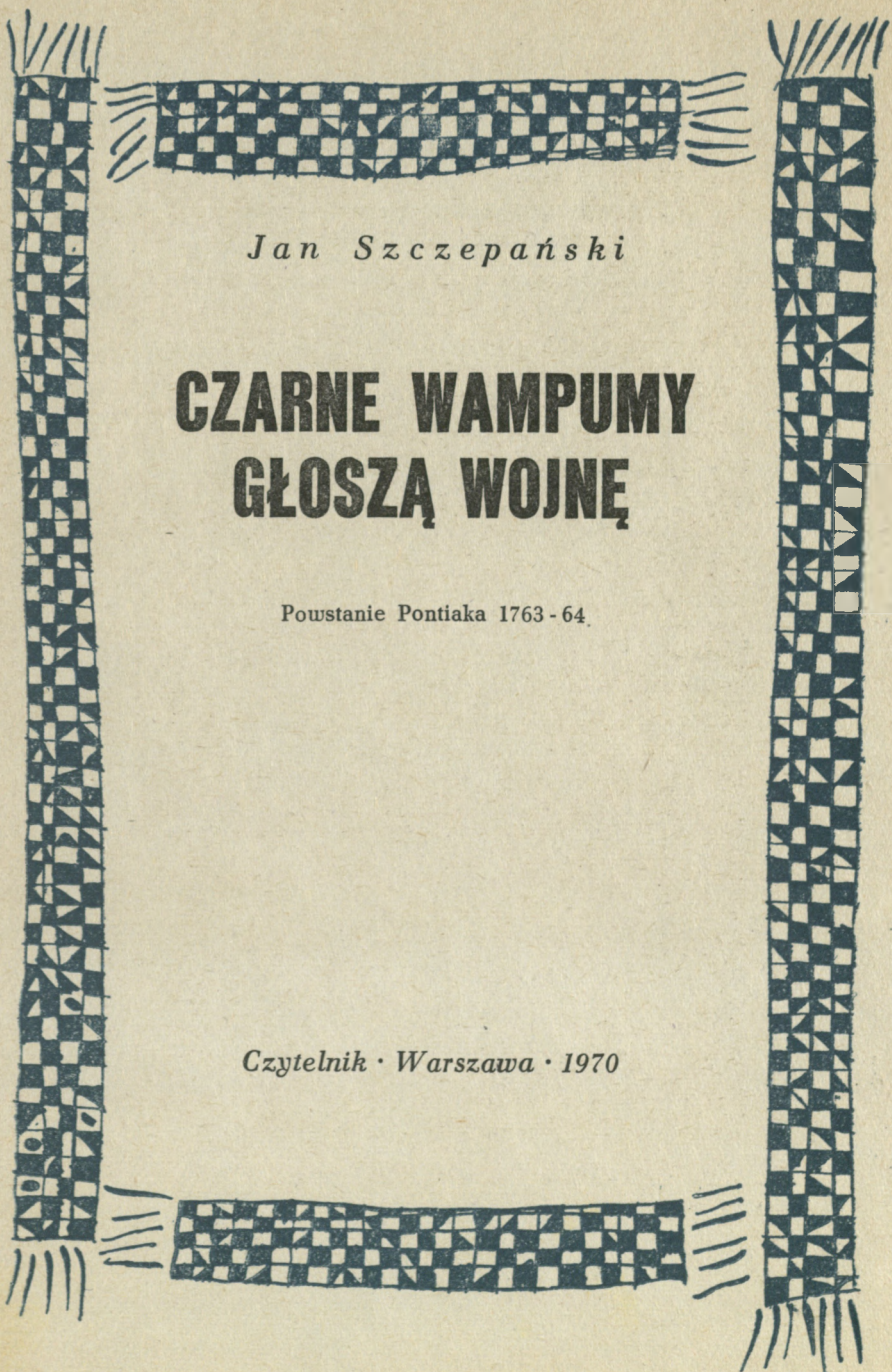
R



SZCZEPAŃSKI
CZARNE WAMPUMY
GŁOSZĄ WOJNĘ



PONTIAK



Jan Szczepański

**CZARNE WAMPUMY
GŁOSZĄ WOJNĘ**

Powstanie Pontiaka 1763 - 64.

Czytelnik · Warszawa · 1970

Ilustrował
ROMAN OWIDZKI

Obwoluta, okładka, karta tytułowa:
MARIAN STACHURSKI

Na ogół czytelnicy nasi mało wiedzą o przebiegu wojen indiańskich, trwających niemal bez przerwy od pierwszego lądowania Hiszpanów na Florydzie w 1513 r. aż do roku 1890, o bitwach stoczonych w olbrzymich puszczech leśnych, bezkresnych preriach i Górach Skalistych. Na tle niektórych osnuto powieści. Znamy więc powieściowych wojowników pomalowanych barwami wojny i przystrojonych w pióra, odważnych i mężnych, wytrzymałych i wiernych, gardzących śmiercią i chciwych sławy. Mało jednak wiemy o postaciach historycznych i rzeczywistym przebiegu walk.

A jest to historia pełna wstrząsających kart, w której plemiona indiańskie, dopiero wychodzące z okresu kamienia, przeciwstawiały się fali kapitalistycznej ekspansji. Z jednej strony wojownicy fanatycznie przywiązani do ziemi ojców i do swej dzikiej wolności, uzbrojeni w łuki i strzały, kamienne topory i maczugi, z drugiej chciwi ziemi i bogactw kolonizatorzy różnych narodów europejskich — starli się w śmiertelnej walce, prowadzonej z niesłychanym męstwem i poświęceniem, lecz także podstępem, z okrucieństwem, rozpaczą i bezgraniczną zaciekłością.

Wynik tych wojen był z góry przesądzony. Indianie nie mogli skutecznie przeciwstawić się lepszemu uzbrojeniu, przygniatającej przewadze liczebnej oraz wysokiej organizacji społecznej i gospodarczej kolonistów, a później całej potędze Stanów Zjednoczonych. Ale również cała ta potęga nie zdołała zetrzeć z powierzchni ziemi dumnych szczepów pierwszych Amerykanów. Oszukiwano ich łamiąc wszystkie zawarte z nimi trzysta siedemdziesiąt traktatów, zarażano ich chorobami, pozbawiano środków do życia i rozpijano wódką — nie zniszczono jednak moralnej postawy i biologicznej żywotności Indian.

Chociaż nieliczni (w roku 1890 było ich tylko około 240 000), Indianie Stanów Zjednoczonych nie wyginęli. Dzisiaj jest ich ponad 600 tysięcy. Budzi się wśród nich świadomość narodowa, rozwija się ruch

walki o prawo do własnego rozwoju narodowego i kulturalnego. W tej walce odżywają historyczne i legendarne wspomnienia o wielkich wodzach, politykach i twórcach. Nawiązuje się do dawnych tradycji kulturalnych, wydobywa moralne tradycje walki, poświęcenia i honoru.

*

Żeby dobrze zrozumieć wojnę wielkiego Pontiaaka, trzeba cofnąć się wstecz i spojrzeć krótko na przebieg kolonizacji Ameryki Północnej. Można bowiem powiedzieć, że od pierwszej chwili, kiedy europejscy zdobywcy stanęli na tej ziemi, rozpoczęła się długa i krwawa walka pomiędzy prawowitymi jej właścicielami i kolonizatorami. Wojna Pontiaaka jest tylko jednym z etapów w tej walce.

Po raz pierwszy zetknęli się Indianie Ameryki Północnej z Europejczykami w roku 1513. Wtedy to Hiszpanie zorganizowali ze swoich kolonii w Ameryce Środkowej pierwszą wyprawę, której zadaniem było poznać wnętrza północnej części kontynentu. Sądzili oni, że znajdują tutaj zorganizowane i bogate państwa indiańskie, podobne do tych, które podbijali w Meksyku i Peru. W XVI wieku zorganizowali kilka takich wielkich wypraw, szukając złota i nowych kolonii. Ale na kontynencie północnym nie było bogatych państw ani kopalni złota. Były tylko dość prymitywne, ale bardzo wojownicze plemiona, broniące ze wszystkich sił swej wolności.

Podbój Ameryki Północnej dokonał się jednak innymi drogami i przeprowadziły go inne narody europejskie, a mianowicie Anglicy i Francuzi osiedlający się we wschodniej części kontynentu. Po licznych próbach pierwsza angielska kolonia, nazwana później Wirginią, osiadła w roku 1607 nad rzeką James. W tym samym czasie Francuzi starali się usadowić w Kanadzie, nad Rzeką Św. Wawrzyńca. W roku 1608 założyli miasto Quebec.

Kolonie angielskie powstawały niejako w trzech grupach geograficznych: południowej, północnej i środkowej. Do grupy południowej należały: Wirginia, Maryland — utworzony jako kolonia w roku 1634, Karolina — zasiedlana od roku 1653. W roku 1729 odłączyła się od niej Karolina Południowa. Jako ostatnia powstała najdalej na południe wysunięta kolonia, zwana Georgią, zasiedlana od roku 1733.

Do grupy północnej należały kolonie, które później, w roku 1643, utworzyły konfederację zwaną Nową Anglią: kolonia Massachusetts, której początkiem była osada w Plymouth założona w roku 1620, kolonia Connecticut założona w roku 1636, wyodrębniona w tym samym

roku kolonia Rhode Island. Około roku 1622 powstały pierwsze osiedla, nazwane później kolonią New Hampshire.

Do grupy środkowej zalicza się kolonia Nowy Amsterdam, założona przez Holendrów w roku 1623, a zagarnięta przez Anglików w roku 1667 i nazwana Nowy Jork. Dalej należy tu kolonia Delaware, założona również przez Holendrów w roku 1631, opanowana przez Szwedów w roku 1638, a zagarnięta przez Anglików w roku 1664, New Jersey — założona w roku 1664 oraz słynna kolonia kwaków, założona przez Williama Penna w roku 1681 i nazwana Pensylwanią.

Wszystkie te kolonie powstały na ziemi indiańskiej. Niektóre z nich utrzymały się wyłącznie dzięki pomocy Indian, którzy odstąpili kolonistom własne pola kukurydzy i nauczyli ich, jak należy uprawiać tę amerykańską pszenicę. Ziemia w koloniach traktowana była jako własność króla, który przydzielał ją pewnym towarzystwom, czyli kompaniom, a te osadzały kolonistów. Od Indian ziemię kupowano lub wydłużano zawierając oszukańcze układy i umowy. Ceny płacone za olbrzymie połacie ziemi wynosiły czasem kilkadziesiąt koców, strzelb, świecidełek czy baryłek rumu. Indianie odnosili się do białych przybyszów zrazu pobłaźliwie, nawet przyjaźnie. Oczywiście od samego początku zdarzały się również utarczki i przelewy krwi.

W koloniach rozwijała się zawsze spekulacja ziemią. Kompanie sprzedawały ją po dosyć wysokich cenach. Tak więc po pewnym okresie rozwoju kolonii wytworzyła się specjalna kategoria ludzi odważnych, silnych i zdecydowanych, którzy zamiast płacić kompaniom woleli zdobywać ziemię na własną rękę. Zapuszczali się oni daleko na zachód, karczowali puszcze, zakładali małe pola, budowali domki i utrzymywali się z polowania i hodowli kukurydzy. Tak więc rozwijał się „ruch na zachód“, któremu Indianie musieli się przeciwstawić ze wszystkich sił. Od pojedynczych zaczepk, wymiany strzałów, od zasadzek i napadów przechodzili do wojen prowadzonych przez całe plemiona, a później i konfederacje plemion.

Pierwsza większa wojna pomiędzy kolonistami i plemionami indiańskimi wybuchła w Wirginii, w roku 1622, wywołana ekspansją kolonii i bezceremonialnym przywłaszczaniem sobie przez nie coraz nowych połaci kraju, tępieniem zwierzyny uważanej przez Indian za główną podstawę utrzymania. Były to przyczyny wszystkich późniejszych wojen, jakie Indianie prowadzili z zalewem europejskich kolonizatorów: zabieranie ziemi, tępienie zwierzyny, pozbawianie Indian prawa do życia.

W roku 1622 porwały za broń plemiona Powhatan prowadzone przez wodza Openkankano. Niespodziewane uderzenie na kolonię początko-

wo przyniosło Indianom sukcesy. Przeszło czterystu białych padło ofiarą pierwszego napadu. Koloniści jednak odpowiedzieli również atakiem, a przewaga uzbrojenia i organizacji przechyliła szalę zwycięstwa na ich stronę. Indianie ponieśli wielkie straty, zostali zmuszeni do zawarcia pokoju i stracili nowe ziemie.

W piętnaście lat później w kolonii Connecticut powstało do walki plemię Indian Pequot. Starali się oni uzyskać pomoc potężnego plemienia Narragansett, ale bezskutecznie. Koloniści byli sprytniejsi i wykorzystując zadawnione antagonizmy, przeciągnęli inne plemiona Algonkinów na swoją stronę. Plan powiódł się całkowicie. W maju 1637 roku osiemdziesięciu białych żołnierzy i kilka tysięcy czerwonoskórych sprzymierzeńców napadło zniemacka na główną siedzibę Pequotów, wybijając do nogi jej kilkuset mieszkańców. W kilka miesięcy później w nowej bitwie wyginęła reszta plemienia.

Okolo roku 1640 plemiona Algonkinów w koloniach holenderskich wszczęły rozpaczliwą wojnę.

W roku 1644 stary Openkankano porwał swój lud do nowej walki w Wirginii. Lecz i tym razem, po początkowych sukcesach Indian, zwyciężyła przewaga liczebna i lepsze uzbrojenie. Openkankano dostał się do niewoli, został wystawiony w klatce na widok publiczny i następnie zabity.

Walki w koloniach holenderskich wybuchały także w latach 1655 oraz 1658—1663. Jednakże wszystkie je przesłoniła wielka wojna, w której po raz pierwszy wybitny wódz z plemienia Wampanoag zjednoczył plemiona Algonkinów z Nowej Anglii do wspólnej walki. Był to Metacom, zwany przez Anglików królem Filipem. Zawiązał on w tajemnicy konfederację plemion i wiosną 1675 roku rzucił ją do walki.

„Wojna króla Filipa“ rozpoczęła się od tego, że koloniści w Swansea zastrzelili Indianina podejrzanego o rabunek. Odwet był straszny i szybki. Kiedy w kościołach Swansea koloniści prosili Boga o pomoc w wytępieniu „synów Belzebuba“, wojownicy Metacoma wpadli do miasta, spalili wiele domów i wycięli część mieszkańców. Metacom prowadził wojnę wyniszczającą, atakując jednocześnie wiele osad i miast licznymi oddziałami, niszcząc bezlitośnie wszelkie zabudowania i pola uprawne, wybijając bydło, paląc systematycznie wszystkie młyny. W licznych potyczkach wytępiono całe oddziały milicji kolonistów. Kilkadziesiąt miast, miasteczek i osad legło w popiołach. Groza padła na kolonie. Jednakże jesienią, w ataku na Hatfield, Metacom poniósł klęskę i zmuszony był szukać schronienia w wiosce Narragansettów. Tutaj w grudniu zaskoczyły go silne oddziały wojska, w bitwie zginęło

ponad tysiąc wojowników. Wioskę i zapasy żywności spalono. Ale Metacom nie załamał się po klęsce. Wiosną 1676 roku nowe gromady Indian poniosły płomień zemsty na osady Nowej Anglii. Koloniści jednak także byli lepiej przygotowani do wojny. Krew wojowników Metacoma płynęła strumieniami. Za jego głowę wyznaczono nagrodę — czterdzieści kurtek wojskowych, za każdy skalp wrogiego Indianina — dwie kurtki. Zmęczone wojną i przerażone stratami plemiona wycofały się z walki. Metacom przeżył swoją tragedię do końca. Jego żonę i syna sprzedano do niewoli; opuszczony przez wojowników, szczuty nagonką i obławami, został zabity przez odszczepieńca plemiennego, kiedy wrócił na gruzы swej wioski i swego domu.

Koloniści z Nowej Anglii zwyciężyli, chociaż wojna doprowadziła ich na skraj upadku. Plemiona indiańskie zostały tu złamane raz na zawsze. Jednocześnie z Metacomem podniosły się znowu ludy w Wirginii i zostały doszczętnie rozbite.

„Wojna króla Filipa“ była największą wojną stoczoną w XVII wieku przez Indian z Nowej Anglii. Odtąd plemiona te nie mogły już samodzielnie powstać dla obrony swoich praw i angielskie kolonie północne borykały się tylko z napadami Indian organizowanymi przez Francuzów kolonizujących Kanadę.

Wielką wojnę przeciw Anglikom rozpoczęło również plemię Tuskarora w Północnej Karolinie, które w roku 1711, podobnie jak Algonkinowie w Nowej Anglii, skupiło wokół siebie pomniejszych plemion i w nagłym niespodziewanym ataku wyrządziło kolonii wiele szkód. Setki kolonistów padły pod ciosami tomahawków. Ale znowu powtórzyła się historia poprzednich wojen. Połączone wojska kilku kolonii pokonały Indian w decydującej bitwie, dzięki przewadze liczebnej i lepszemu uzbrojeniu. Pobici Tuskarorowie, wypędzeni ze swych dawnych siedzib, opuścili Karolinę i przenieśli się w roku 1714 na północ, gdzie zostali przyjęci przez Ligę Irokezów.

W rok później mieszkające w Południowej Karolinie plemię Yamassee, które przedtem wspierał Tuskarorów, rozpoczęło śmiertelną walkę o swe prawa. Wojna trwała dziesięć miesięcy i skończyła się wypędzeniem plemienia z terenów kolonii.

Tak to coraz inne ludy, doprowadzone do rozpaczы, wykopywały topór wojny spod drzewa pokoju i po odtąnczeniu tańców wojennych napadały na osiedla zaborców. Oprócz tych wielkich wojen, w których brały udział setki lub niekiedy tysiące wojowników, na pograniczu kolonii trwała nieustanna walka podjazdowa.

Wojny indiańskie w Ameryce Północnej przybrały nowy charakter, kiedy rozgorzała tu walka pomiędzy dwiema europejskimi potęgami kolonialnymi, zmierzającymi do podboju kontynentu — pomiędzy Anglią i Francją.

Pierwsze kolonie francuskie powstały w Kanadzie w początkach XVII wieku. Kolonizacja francuska miała inny charakter niż angielska. Podczas gdy Anglia znajdowała się wówczas na drodze rozwoju kapitalizmu, Francja była jeszcze w pełni sił ustroju feudalnego. Ta różnica w poziomie rozwoju gospodarczego odbiła się również na sposobie kolonizacji. Anglicy zakładali miasteczka i rozwijali rzemiosło, a przede wszystkim karczowali puszcze dla zdobycia ziemi uprawnej. Francuzi nie tworzyli większych kolonii, lecz małe osiedla, rozrzucone po puszczy, i trudnili się przede wszystkim handlem futrami. Kolonie angielskie były bardziej demokratyczne, w koloniach francuskich panował przeniesiony z macierzystego kraju feudalizm. Anglicy nie troszczyli się o nawracanie Indian. Francuzi prowadzili rozległą pracę misyjną. Kolonie angielskie posuwały się powoli na zachód zwartą ławą osadnictwa rolniczego, Francuzi w poszukiwaniu futer i nowych dusz dla Kościoła odkryli wielkie terytoria, na których zakładali forty prowadzące handel futrami. Anglicy tępił Indian przeciwstawiających się kolonizacji, Francuzi wyzyskiwali ich, skupując za bezcen futra, lecz pozornie roztaczali nad nimi opiekę, oczywiście we własnym interesie.

Już w roku 1634 Francuzi dotarli nad jezioro Michigan i Jezioro Górne, w roku 1666 odkryli Missisipi i prerie Illinois, w roku 1673 Marquette i Joliet popłynęli w dół Missisipi aż do ujścia Arkansas, a w dziewięć lat później La Salle, największy z francuskich odkrywców, dotarł z Kanady do ujścia Missisipi i założył nad Zatoką Meksykańską kolonię Luizjana. Tak więc pod koniec XVII wieku forty i faktorie francuskie rozciągały się od Rzeki Św. Wawrzyńca do ujścia Missisipi, poprzez region wielkich jezior, i przenikały do doliny rzeki Ohio.

Stosunki angielsko-francuskie na ziemi amerykańskiej nigdy nie były dobre. Usadowienie się Francuzów na dalekim zapleczu kolonii angielskich, groźba opanowania całego handlu z Indianami i zagarnięcia obszarów łowieckich przez Francuzów obudziły w koloniach angielskich dążenie do odparcia ekspansji. Francuzi prowadząc swoją politykę wcale nie ukrywali, że jest ona wymierzona przeciwko Anglikom. Na tym tle pod koniec XVIII wieku rozpoczęły się wojny, zakończone wyparciem Francuzów z Ameryki Północnej.

Konflikt obu narodów wywarł głęboki wpływ na dzieje Indian. Francuzi od początku swej kolonizacji zaplątali się w wojnę toczącą się wówczas pomiędzy Irokezami i Algonkinami. Stanęli po stronie Algonkinów, co ściągnęło na nich długotrwałą wrogość Ligi Sześciu Narodów. Irokezi więc należeli do stałych sprzymierzeńców Anglii w jej wojnach z Francuzami i odwrotnie, wrogie Irokezom plemiona Algonkinów znad wielkich jezior i z doliny Ohio były sprzymierzeńcami Francji. W wojnach między państwami europejskimi Indianie jako sprzymierzeńcy odgrywali poważną rolę. Dlatego oba państwa starały się pozyskać wojowników indiańskich do walk o zupełnie im obce cele. Właściwie pomagali oni białym najeźdźcom do ostatecznego złamania swoich własnych sił. Pozornie jednak Indianie ciągnęli stąd pewne korzyści, gdyż zabiegając o względy plemion oba rządy hamowały eksterminacyjne zapędy kolonistów i starały się zjednać je sobie różnego rodzaju podarunkami.

Pierwsza wojna pomiędzy obu państwami w Ameryce Północnej wybuchła w roku 1689 i trwała do 1697. Znana jest ona w historii Ameryki jako „wojna króla Williama“. Rozpoczęły ją napady Indian sprzymierzonych z Francuzami i prowadzonych przez dowódców francuskich na osiedla angielskich kolonistów. Wiele osad i miasteczek legło w popiołach. Anglicy odpowiedzieli napadami Irokezów na osiedla Kanady. W dziejach wojen indiańskich głośna jest zwłaszcza „rzeź Montrealu“, podczas której ponad tysiąc osadników padło ofiarą tomahawków. Była to odpowiedź Irokezów na inwazję francuską, która zniszczyła kilka ich wsi. Wojna toczyła się w olbrzymich puszczech, dzielących kolonie angielskie od Kanady, i plemiona indiańskie złożyły w nich hojną ofiarę własnej krwi na ołtarzu kapitalistycznej ekspansji.

Zawarty w roku 1697 pokój trwał krótko, gdyż już w roku 1702 wybuchła nowa wojna, zwana „wojną królowej Anny“, i toczyła się do roku 1714. Charakter jej był zupełnie podobny do poprzedniej. Prowadziły ją z obu stron przede wszystkim gromady Indian, myśliwych i francuskich *coureurs de bois*, które poprzedzały działania regularnych wojsk. Po wielu masakrach, zasadzkach i bitwach leśnych, nieudanych ekspedycjach wojsk — walka zakończyła się traktatem w Utrechcie w roku 1713 i na granicach kolonii zapanował względny pokój. Trwał on trzydzieści lat. Nowy konflikt na ziemi amerykańskiej, zwany „wojną króla Jerzego“, wybuchł w latach 1744—1748. Główna rola przypadła tym razem flocie i fortecom nadmorskim, zaś na granicach kolonii rozegrała się nowa wojna indiańska, w której sprzymierzone z obu państwami plemiona wzajemnie się tępiły lub ginęły w walkach z wojskami kolonii. Jednakże i ta wojna nie przyniosła

rozstrzygnięcia. Ani Anglii nie udało się zdobyć Kanady francuskiej, ani Francuzi nie zdołali złamać kolonii angielskich. Toteż pokój zawarty w 1748 roku nie zakończył właściwie działań wojennych w puszczy amerykańskiej. Obie strony prowadziły intensywne przygotowania do decydującej rozgrywki, wykorzystując Indian, aby możliwie najbardziej zaszkodzić przeciwnikowi, i starając się zająć dogodne pozycje wyjściowe.

Właśnie to zajmowanie pozycji wyjściowych do nowej wojny przyspieszyło jej wybuch. W koloniach angielskich rozwijały się kapitalistyczne kompanie, organizowane w celu kolonizowania i eksploataowania ziem leżących już na zachód od Alleghenów. Rozległa dolina rzeki Ohio (zwanej przez Francuzów „Piękną Rzeką“ — „La Belle Rivière“) stała się bezpośrednią przyczyną rozpoczęcia działań wojennych. W roku 1749 Francuzi formalnie zajęli dolinę Ohio w imieniu króla. W tym samym roku grupa bogatych Anglików z Wirginii założyła towarzystwo dla eksploatacji doliny rzeki Ohio (Ohio Company) i król Jerzy II przyznał mu 500 000 akrów ziemi pomiędzy rzekami Monongahela i Kanawha pod warunkiem, że osiedli się tam ono sto rodzin. O to, że ziemia była własnością mieszkających tam Algonkinów, nie troszczyli się ani Francuzi, ani Anglicy. Na południe od jeziora Erie Francuzi rozpoczęli budowę fortów, które miały odegrać poważną rolę w wojnie Pontiaka. Były to forty Presque Isle, Le Boeuf i Venango. Najbardziej jednak rozjątrzyło kolonie angielskie wzniesienie fortu Duquesne w widłach Ohio, gdzie obecnie leży miasto Pittsburgh. Wojna rozpoczęła się w roku 1754, kiedy grupa milicji z Wirginii pod dowództwem Washingtona próbowała wyrzucić Francuzów z tych okolic. Próba się nie udała — Anglicy, zaatakowani przez wielkie siły Indian i Francuzów, po całodziennej walce zakończonej rozejmem musieli się wycofać do Wirginii.

Obie strony podjęły gorączkowe przygotowania, zabiegając o pozyskanie pomocy Indian. Plemiona znad wielkich jezior i Ohio zorientowały się, że ich ziemie są przedmiotem niezgody i walki dwóch chciwych grabieżców, i wodzowie, zbierając się na długich naradach wokół ognisk, zastanawiali się, co czynić w tej sytuacji. Obie wojujące strony wysyłały zręcznych i przebiegłych agentów z bogatymi darami, przestrzegając przed stroną przeciwną i obiecując pomoc swoim czerwonoskórym braciom przeciwko ich angielskim czy francuskim wrogom. Francuzi, których polityka kolonialna opierała się przede wszystkim na ciągnięciu korzyści z handlu futrami, cieszyli się lepszą opinią wśród Indian, ponieważ przynajmniej pozornie dbali o swych podopiecznych,

zaopatrywali ich w proch i strzelby. Wprawdzie i oni potrafili masakrować i palić wioski Irokezów czy Natchezów w Luizjanie, ale w codziennych kontaktach okazywali zawsze braterskie uczucia. Najwybitniejszy z francuskich gubernatorów w Kanadzie, Frontenac, przywdziewał strój indiański i jaskrawo pomalowany i przyozdobiony tańczył z Indianami ich dzikie tańce. Anglicy natomiast prawie zawsze traktowali Indian z wyniosłą pogardą.

W wyniku narad, pertraktacji i zabiegów dyplomatycznych sprawy tak się ułożyły, że plemiona Algonkinów i Wyandotów, zagrożone ekspansją kolonii angielskich, opowiedziały się po stronie Francuzów i ofiarowały im swoje tomahawki, natomiast Anglicy, dzięki zabiegom swego zdolnego agenta do spraw indiańskich, Williama Johnsona, pozyskali sobie pomoc sześciu narodów.

Tak rozpoczęła się decydująca wojna o panowanie w Ameryce Północnej, wojna prowadzona na ziemiach Indian, przy ich pomocy, osłabiająca ludy indiańskie tych połaci kraju. Położenie ich w toku tej wojny zmieniło się zasadniczo i wytworzyły się warunki, które spowodowały bezpośrednio wybuch wojny Pontiaka.

Pierwszym działaniem zaczepnym było zorganizowanie angielskiej ekspedycji wojskowej w celu zniszczenia fortów francuskich w dolinie Ohio, a przede wszystkim fortu Duquesne. Wiosną 1755 roku około dwóch tysięcy regularnych wojsk i milicji z Wirginii wyruszyło na zachód, poprzez doliny i przełęcze Alleghenów, w kierunku zbiegu rzek Monongahela i Allegheny, które łącząc się tworzą Ohio. Tam właśnie, w objęciu ich połączonych ramion, znajdował się bardzo dogodnie położony fort. Trzystu wprawnych drwali rąbało drogę przez odwieczną puszczy. Wojsko, prowadząc długie tabory z zapasami żywności i amunicji, posuwało się wolno naprzód. Generał Braddock, dowodzący tą armią, był oficerem starej daty, zdolnym, lecz wyniosłym i pewnym siebie. Patrzył on z góry na milicję i osadników-myśliwych dobrze znających i puszczy, i indiańskie sposoby walki. Wprawdzie w jego sztabie znajdował się Jerzy Washington, który dał już dowody męstwa i umiejętności w walkach puszczańskich, ale Braddock nie słuchał rad młodego oficera. 8 lipca armia osiągnęła brzeg Monongaheli i przepравиła się na drugą stronę. Fort Duquesne był blisko i Braddock widział się już u celu. Mylił się jednak.

Każdy ruch jego armii obserwowany był przez zwiadowców indiańskich, którzy stale informowali oficerów francuskich w forcie. Dowódca Duquesne, Contrecoeur, zamierzał ewakuować fort, gdyż załoga jego stanowiła zaledwie ułamek armii Braddocka. Jednakże kapitan

Beaujeu przekonał dowódcę o konieczności walki i uzyskał jego zgodę, aby na czele małego oddziału wojska i obozujących wokół fortu Indian zaatakować Braddocka. Beaujeu zwołał gromady Szawanów, Delawarów, Odżibwejów, Ottawów, Wyandotów na naradę, wygłosił wielką mowę i wbił koło ogniska czerwono pomalowany topór wojny. Początkowo żaden z wodzów nie kwapił się z jego podjęciem. Jednakże następnego ranka, kiedy gońcy donieśli, że Anglicy są już blisko, Beaujeu powtórzył swój apel z lepszym skutkiem. Gromady wojowników pospieszyły za nim, zaopatrzyły się w forcie w proch i naboje, a następnie wyruszyły w puszcę naprzeciw Anglikom. Braddock maszerował spokojnie, nawet bez koniecznego ubezpieczenia przez zwiadowców. Nagle z obu stron huknęły salwy dobrze ukrytych wrogów. Anglicy odpowiedzieli wprawdzie celnymi strzałami, od których padł dzielny kapitan Beaujeu, lecz nie wpłynęło to na przebieg bitwy. Kilkuset Indian spoza drzew, krzaków i wzniesień raziło zwarte szeregi Anglików. Braddock nie pozwolił milicji z Wirginii walczyć na sposób indiański. Toteż wynik bitwy był dla Anglików tragiczny. Kilkuset zabitych i kilkuset rannych — podczas gdy Indianie stracili podobno tylko kilku ludzi. Resztki armii angielskiej uciekły w popłochu do Wirginii. Łatwe zwycięstwo przeciągnęło na stronę Francji plemiona Algonkinów, żądne zemsty, łupów i skalpów.

Wojna toczyła się dalej ze zmiennym szczęściem. Wynik jej był jednak przesądzony. Anglicy panowali na morzu i nie dopuszczali pomocy z Francji. Kolonie angielskie liczyły kilkakrotnie więcej mieszkańców niż Kanada francuska. Mimo, że Francuzi odnieśli szereg świetnych zwycięstw, mimo że wodzem ich był nieugięty i dobry dowódca, markiz Montcalm, Anglicy zdobyli i zniszczyli względnie zajęli forty francuskie, zdobyli Kanadę, zmusili Francuzów do kapitulacji. Jeszcze w roku 1755 wojska angielskie i sprzymierzone z nimi gromady Irokezów, prowadzone przez Johnsona, podbiły armię francuską nad Jeziorem Jerzego. W następnym roku Anglicy zorganizowali ekspedycję przeciwko plemionom na zachód od rzeki Susquehanna, które wykopały topory wojny i nękały granice kolonii nieustannymi atakami. Udało im się zaskoczyć i w rozpaczliwej bitwie pokonać Indian z dużego osiedla Kittanning. Bitwa ta złamała wojenną siłę tych plemion. W roku 1756 Montcalm zdobył fort William Henry, a jego indiańscy sprzymierzeńcy z Kanady i znad jezior dokonali masakry wycofującego się garnizonu. Sceny te znane są z opisu Coopera w powieści „Ostatni Mohikanin“. W roku 1758 Francuzi odnieśli jeszcze jedno zwycięstwo w bitwie pod fortem Ticonderoga, lecz w następnych latach szala przechyliła się na stronę Anglii. Jeszcze w roku 1758

sześciotysięczna armia pod dowództwem generała Forbesa wyruszyła ponownie, aby zdobyć fort Duquesne. W sztabie znajdowali się Washington i pułkownik Bouquet, który miał odegrać ważną rolę w wojnie Pontiaka. Francuzi nie mogli oprzeć się takiej sile, toteż ewakuowali Duquesne i spalili palisady. Wojska angielskie odbudowały fort i nadały mu nazwę Pitt, na cześć ówczesnego premiera Anglii. Rok 1759 przyniósł inwazję na Kanadę, zdobycie Quebecu, śmierć Montcalma i kapitulację armii francuskiej. Kanada francuska przestała istnieć i przeszła w ręce Anglii.

Taki wynik wojny radykalnie zmienił pozycję Indian jako siły politycznej i wojskowej w Północnej Ameryce. Dotychczas w pewien sposób decydowali oni o równowadze pomiędzy obu państwami. Rządy musiały więc jakoś się z nimi liczyć. W walkach z kolonistami angielskimi Indianie zawsze mogli spodziewać się jawnej lub cichej pomocy Francuzów i odwrotnie. Teraz natomiast stanęli sam na sam wobec całej potęgi kolonii brytyjskich, wzmocnionych zdobyciem Kanady, wobec silnego parcia na zachód, wobec zakusów licznych kompanii zamierzających wzbogacić się ich ziemiami. Plemiona indiańskie były poważnie osłabione przez wojnę. Niektóre zostały wybite, inne wypędzone ze swych siedzib na zachód. Ich puszcze i tereny łowieckie na wschód od Alleghenów były już stracone.

W dolinach rzek, na wschodnich stokach gór pojawiły się nowe osiedla. Armie przetały drogę przez puszcze i góry do portu Pitt. Wzdłuż dróg pojawiły się nowe forty i faktorie, a wokół nich nowi osadnicy zaczęli karczować lasy. Wzrastała liczba myśliwych tępiących zwierzyne, którą Indianie uważali za własność, gdyż stanowiła ona podstawę ich bytu. Plemiona o różnych językach i obyczajach, rozproszone po wielkich obszarach dziewiczej puszczy, skłócone starymi antagonizmami, nie mogły stworzyć jednolitej siły politycznej, kierowanej jedną koncepcją. Cechowała je jednak dzika miłość wolności, miłość rodzinnej ziemi, wysokie poczucie godności, fanatyczne przywiązanie do tradycyjnych sposobów życia, wojowniczość, odwaga, pogarda śmierci i niebezpieczeństwa. Toteż w walkach puszczańskich Indianie byli niezwykle groźnymi przeciwnikami. W ostatniej wojnie angielsko-francuskiej wykazali swoją przewagę nie tylko w bitwie z wojskami Braddocka, lecz także w wielu innych. Generałowie obu walczących stron zawdzięczali wiele sukcesów militarnych szybkonożnym gońcom, nie wiedzącym, co to zmęczenie, bystrym oczom indiańskich zwiadowców i ich niepohamowanej wojowniczości.

W roku 1760, kiedy został złamany ostatni opór wojsk francuskich w Kanadzie, plemiona indiańskie zakopały topory wojny, przeprowadzając ponury obrachunek. Nurtowała je głucha nienawiść do białych zaborców, do handlarzy wyzyskujących i oszukujących przy wymianie towarów, do myśliwych tępiących zwierzynę, do dumnych oficerów budujących forty na ich ziemi. Chociaż więc na granicach, w puszczech i nad jeziorami zapanował spokój — nie był on zbyt głęboki. Jak gdyby duchy poległych wojowników błąkały się po lasach, nawoływały nad pobojowiskami, krążyły nocą wokół wigwamów, wzywając do zemsty a jednocześnie wróżąc nowe klęski. Los plemion indiańskich nad wielkimi jeziorami, w dolinie Pięknej Rzeki i jej dopływów był przypieczętowany. Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że Indianie się z nim pogodzili.

Wówczas właśnie na arenę wystąpił jeden z najwybitniejszych indiańskich wodzów i organizatorów — Pontiak — wódz Ottawów spod Detroit i na fali świeżego rozgoryczenia rozpoczął wielką wojnę przeciw koloniom angielskim.

„Czarne wampумы głoszą wojnę“ to opowieść oparta przede wszystkim na klasycznej książce amerykańskiego historyka Francis Parkmana pt. *„History of the Conspiracy of Pontiac“*, poświęconej wojnie Pontiaka. Ponadto wykorzystano szereg innych opracowań dotyczących Indian, a wśród nich: *„Handbook of American Indian North of Mexico“* wyd. F. W. Hodge, Clark Wissler *„The American Indian“* oraz tegoż autora *„Indians of the United States“*, R. A. Palmer *„North American Indians“*, F. Gagern *„Das Grenzerbuch“*. Mapy pochodzą z *„Atlas of American History“* wyd. James Truslow Adams.

J.S.

Poznajemy bohaterów opowieści, plemiona Algonkinów i Irokezów

W wojnie, o której chcemy opowiedzieć, brały udział plemiona mieszkające na rozległych terenach, objętych od północy wielkimi jeziorami, od zachodu rzeką Missisipi, od południa doliną Ohio, a od wschodu pasmem gór Apalachów. Żyły tutaj dwie rodziny plemienne: Algonkinów i Irokezów.

Algonkinowie — to wielka rodzina plemion indiańskich, zamieszkująca w okresie przedkolumbijskim zasadniczo północno-wschodnie obszary dzisiejszych Stanów Zjednoczonych i południowo-wschodnie Kanady, przy czym niektóre jej plemiona rozrzucone były po całej przestrzeni Ameryki Północnej. Ojczyzna Algonkinów to północno-wschodnie puszcze leśne, ciągnące się nieprzerwanie na olbrzymich przestrzeniach, poprzerywane licznymi rzekami i usiane jeziorami. Nad rzekami występowały rozległe polany trawiaste, przechodzące w częściach zachodnich w prerie. Rzeki i jeziora łączyły się w rozległy system dróg wodnych, po których Indianie szybko śmigali w lekkich czółnach zbudowanych z kory i zwanych „canoe” (kanu). Lasy pełne były zwierzyny, przede wszystkim jeleni wapiti, dalej na północy łosi i jeleni karibu, po zachodnich polanach i preriach wędrowały stada bizonów. Rzeki i jeziora roiły się od ryb. Na obszarach tych łatwo można było znaleźć krzemień i inne nadające się do obróbki kamienie, z których otrzymywano narzędzia i broń. Nad jeziorem Górnym wydobywano miedź.

Szczepy Algonkinów żyły z myślistwa i rybołówstwa. Wcześniej również opanowały one metody pierwotnej uprawy ziemi i kiedy pierwsi koloniści europejscy pojawili się na ich terenach, rolnictwo stało tu już względnie wysoko. Uprawiano przede wszystkim ku-

kurydżę, fasolę, dynie i tytoń. Niektóre plemiona Algonkinów i Irokezów, nawożąc rozległe pola popiołem lub rybami, osiągały duże zbiory. Stopniowo rolnictwo stawało się podstawą utrzymania tych ludów (z wyjątkiem Kanady), chociaż mięso, kości, skóry i ścięgna upolowanych zwierząt stanowiły ciągle bardzo ważne elementy ich gospodarki.

Wszyscy znamy słowo „wigwam” i wiemy, że Indianie mieszkali w wigwamach. Otóż wigwamami nazywali swe domy właśnie Algonkinowie, a ponieważ byli oni pierwszymi, których Europejczycy napotkali na wybrzeżu Atlantyku, wiele cech kultury i obyczajów zaobserwowanych u nich przypisywano wszystkim Indianom. Wigwam zbudowany był ze stożkowatego lub półkolistego rusztowania z pali i gałęzi, pokrytego korą, skórą lub matami wypalonymi z łyka. Korę z drzew zdejmowano dużymi płatami, które suszono, przyciskając kamieniami, aby stały się płaskie, a następnie przymocowywano do pali rusztowania przy pomocy łyka. Wyposażenie wigwamu było dość prymitywne. Algonkinowie wypalali naczynia gliniane, a miski i łyżki sporządzali z drzewa. Z łyka i prętów wyplatali kosze różnych rozmiarów. Ziarna kukurydzy rozbijano na mąkę w drewnianych stępach lub między kamieniami.

Przed nadejściem Europejczyków ubierali się wyłącznie w skóry, które umieli mistrzowsko wyprawiać. Kobiety nosiły sięgające poniżej kolan spódnice ze skóry jelenia, wygarbowanej na biało, oraz suknie bardzo prostego kroju, ozdabiane haftami i frędzlami. Dużą uwagę zwracały na pielęgnowanie włosów, wiązanych zazwyczaj w węzeł przypominający ogon bobra. Chętnie nosiły ozdoby z muszel, naszyjniki różnego rodzaju i pióra. Nogi ich chroniły nagołenniki, zwane leginami, i mokasyny uszyte ze skóry łosia lub jelenia, wyszywane lub ozdabiane włosiem.

Mężczyźni nosili opaski na biodrach oraz wysoko sięgające leginy, które zastępowały spodnie. Na ramiona zarzucali płaszcze ze skóry, najczęściej bizoniej, lub koce, otrzymywane drogą handlu wymiennego od plemion z dalekiego południa, a później od białych. Wygarbowane skóry bizona, noszone futrem do środka, były po stronie zewnętrznej pokryte malowidłami przedstawiającymi bohaterские czyny właściciela takiego płaszcza. Po zetknięciu z białymi weszły w użycie koszule, spodnie, kurtki,

suknie i spódnice z materiałów bawełnianych i wełnianych. Pojawiały się także naczynia i narzędzia metalowe, uzyskiwane od handlarzy w zamian za skóry.

W stroju wszystkich Indian, a więc i Algonkinów, bardzo ważną rolę odgrywało malowanie twarzy i ciała oraz ozdoby z piór. Malowanie powodowane było nie tylko próżnością i chęcią zwrócenia na siebie uwagi, lecz było ono także wyrazem wyróżnienia i czynnością rytualną. Odpowiednie ceremonie (np. żałoba, wojna, narada pokojowa, taniec religijny itp) wymagały swoistych barw i deseni, mających znaczenie symboliczne. W ten sposób oznaczano także przynależność klanową lub plemienną. Indianie w ogóle lubowali się w żywych kolorach i zarówno ich ozdoby, ubrania, jak i dzieła sztuki były niezwykle barwne. Także pióra ptaków grały poważną rolę w gospodarce, dekoracjach, wojnie i ceremoniach religijnych. Niektóre plemiona Algonkinów hodowały nawet indyki i zabrane z gniazd orły, aby zdobyć pożądane pióra. Znane powszechnie olbrzymie pióropusze i sięgające ziemi ozdoby z piór stanowiły ceremonialny strój Indian prerii. Ozdoby z piór we włosach Algonkinów miały natomiast znaczenie symboliczne. A więc



inaczej nosił pióra wojownik na ścieżce wojennej, a inaczej w czasie pokojowej wędrówki. Ilość i rodzaj piór wojowników mówiły także o ich czynach i randze społecznej. Prócz tego noszono oczywiście, zwłaszcza kobiety, ozdoby z piór tylko dla dekoracji i upiększenia. Piórami ozdabiano także fajki, szczególnie podczas ceremonii i narad, broń i ubrania oraz przedmioty służące do zabiegów magicznych.

Uprawa ziemi i polowanie były sprawą społeczną całego rodu. Ziemię uprawiano za pomocą motyk z drzewa, kości lub muszli oraz zaostrzonych kijów. Mimo tak prymitywnych narzędzi wspólna praca pozwalała na uprawianie rozległych pól. Polowania również odbywały się przeważnie zbiorowo, co jednak nie wykluczało polowania w pojedynkę.

Utarło się przekonanie, że wojownicy indiańscy byli leniwymi nierobami, spychającymi całą pracę na kobiety. Rzeczywiście na kobiety spadał główny ciężar prac domowych (budowa domków, szycie, gotowanie, uprawa pola, garbowanie skór itp.), jednak i polowanie było pracą ciężką i niełatwą, zważywszy, że ilość mężczyzn zdolnych do brania w nim udziału była niska w stosunku do całości rodu czy plemienia. Wytropienie i podchodzenie zwierzyny wymagało wiele czasu i nieraz dalekich wędrówek, a po jej zabiciu trzeba było na własnych barkach przenieść z odległości wielu kilometrów np. jelenia ważącego przeciętnie 60—70 kg. Myślistwo wymagało więc hartu, siły fizycznej, niesłychanej wytrwałości i upor. Mniejszą zwierzynę łowiono w sidła lub pułapki. Polowania z nagonką najczęściej polegały na zapędzaniu zwierzyny do rzeki lub jeziora, gdzie wojownicy ubijali ją, pływając na swoich szybkich kanu. Bronią myśliwską były łuki i strzały, kamienne topory, maczugi i noże, a po zetknięciu z białymi również strzelby, topory i noże stalowe.

Ta sama broń służyła do celów wojennych. Najślawniejszą bronią wojenną Indian był tomahawk. Nazwa pochodzi z języka Algonkinów. Tomahawki były różnego rodzaju, począwszy od ciężkiej maczugi specjalnego kształtu, poprzez różne rodzaje toporów kamiennych, do stalowych toporków dostarczanych przez kupców europejskich. Niektóre plemiona posługiwały się także tarczami.

Organizacja społeczna i polityczna Algonkinów była słabo rozwi-

nięta. Podstawową jednostką społeczną była rodzina, przeważnie monogamiczna, chociaż zdarzało się, że wodzowie rodów lub plemion posiadali po kilka żon. Rodziny łączyły się w rody, zwane niekiedy klanami totemicznymi. Ród obejmował wszystkich krewnych, wywodzących się od jednego wspólnego przodka, zwykle domniemanego. Nazwy rodów pochodziły najczęściej od nazw zwierząt lub ptaków, uważanych za pierwszych ich przodków. Wszyscy członkowie rodu wybierali wspólnie wodzów lub usuwali ich, gdy okazali się niezdatni, zobowiązani byli do wzajemnej pomocy, obrony i zemsty za doznane krzywdy, nadawali nazwiska członkom rodu, wspólnie uczestniczyli w ceremoniach religijnych, dziedziczyli własność zmarłych członków rodu. Każdy ród posiadał swoją radę. Rody Algonkinów były egzogamiczne, tzn. mężczyźni musieli szukać żon w innym rodzie. Kilka lub kilkanaście rodów tworzyło plemię. Na czele plemienia w czasie pokoju stał sachem, kierujący sprawami codziennego życia zbiorowego. Na czas wojny wybierano przywódcę, którym mógł być również ten sam sachem. Niektóre plemiona łączyły się w luźne konfederacje.

Na wskazanym powyżej obszarze żyły i brały udział w wojnie Pontiaka najważniejsze plemiona Algonkinów: Kri (Cree), Illinois, Kikapu (Kickapoo), Menomini, Majamowie (Miami), Odżibwejowie (Ojibway), Ottawa, Potawatomi, Sauk (Sacs) i Fox, Szawanowie (Shawnee). Ponadto schroniły się na te tereny wyparte ze wschodu plemiona Delawarów, które osiedliły się między rzeką Muskingum i Ohio. Dalej na zachód, nad rzeką Scioto, posuwając się na południe poprzez Ohio, aż po rzekę Kentucky, polowali Szawanowie, Ottawowie, Potawatomi i Odżibwejowie tworzyli luźną federację. Ich tereny leżały między jeziorem Huron i Michigan, nad Jeziorem Św. Klary i rzeką Detroit. Majamowie osiedlili się nad górnym biegiem rzek Wabash, Maumee i St. Marys. Na zachód od jeziora Michigan, nad rzeką Fox, mieszkali Winnebagowie, należący do rodziny Siouxów, lecz poczuwający się do wspólnoty z Algonkinami i walczący razem z Pontiakiem. Na północ od nich rozłożyli się Menomini, na zachód, na rzeką Wisconsin, obozowały plemiona Sauków i Foxów, dalej na południe, między Rock River i Illinois River, były siedziby Kikapu, Illinois i in-

nych pomniejszych grup. Na południowym i zachodnim brzegu jeziora Erie żyły resztki Wyandotów, zwanych także Huronami, należących do rodziny Irokezów.

Bardzo trudno jest ustalić liczebność tych plemion. Najliczniejsze z nich było chyba plemię Odżibwejów, które wraz ze wszystkimi odgałęzieniami kanadyjskimi liczyło wówczas około 25 000 ludzi. Przeciętną liczebność innych plemion szacuje się na około 2—3 000 ludzi. Rodzina plemion Irokezów również liczyła najwyżej około 10 000 ludzi. Razem plemiona te miały około 50 000 głów, a przeciwko nim stała zwarta masa kilku milionów kolonistów, nie licząc ich europejskiego zaplecza.

*

Z wielkiej rodziny Irokezów (Iroquois) tylko plemię Seneków wzięło udział w wojnie Pontiaka. Jednakże postawa innych plemion również zaważyła na wyniku wojny.

Najbardziej znane spośród nich są plemiona Mohawk, Cayuga, Oneida, Onondaga i Seneca, które prawdopodobnie w XVI wieku połączyły się tworząc tzw. Ligę Irokezów. Celem tego związku było „wymuszenie pokoju”, jednak rychło stał się on narzędziem podboju i wojny. W początkach XVIII wieku do Ligi przyłączyło się także plemię Tuscarora, wyparte z Karoliny przez Anglików po przegranej wojnie. Ten związek „sześciu narodów” zajmował obszar na południe od jeziora Ontario, od Niagary do Rzeki Św. Wawrzyńca i rzeki Hudson. Prowadząc liczne wojny, Liga podporządkowała sobie Algonkinów i inne plemiona od Atlantyku po Missisipi.

Oprócz sześciu narodów do rodziny Irokezów należały plemiona Wyandotów, czyli Muronów, Erie, plemię nazwane przez Francuzów Neutrals i plemię Susquehanna, czyli Conestoga. Wszystkie one zostały podbite i mocno przetrzebione przez wojowniczą Ligę. Wyandoci schronili się na zachód od jeziora Huron, resztki Erie i Neutrals żyły na południowy zachód od Ontario. Później, pod opieką francuskich fortów, Huronowie osiedlili się także na południe od jeziora Erie, nad rzeką Sanduksy. Plemię Susquehanna żyło nad rzeką tej samej nazwy.

Zasadniczą podstawą utrzymania Irokezów była uprawa roli, stojąca u nich nieco wyżej niż u Algonkinów. Ziemię pod uprawę zdobywano karczując las ogniem. Sadzono przede wszystkim kukurydzę, której uprawa stała stosunkowo wysoko, a obfite zbiory nie tylko zaspokajały własne potrzeby, lecz służyły jako towar do wymiany. Fasola, dynie, słoneczniki, groch uzupełniały plony. Ponadto zbierano wiele nasion i korzeni dziko rosnących. Niektóre prace w polu i przy zbiorach wykonywali także mężczyźni. Hodowano również drzewa owocowe, trudniono się myślistwem i rybołówstwem. Mężczyźni polowali po zbiorach jesiennych do połowy zimy. Połów ryb przypadał na wiosnę. Polowano indywidualnie lub zbiorowo, podobnie jak u Algonkinów.

Irokezi różnili się od Algonkinów przede wszystkim ustrojem społecznym. Podstawową komórką społeczną była tzw. owaczira, czyli grupa skupiająca krewnych po linii matki, zwykle od 50 do 200 członków prowadzących wspólne gospodarstwo. Na czele grupy stała kobieta wybrana przez radę wszystkich zamężnych kobiet. Członkowie owacziry mieszkali w jednym długim domu — stąd właśnie Irokezi nazywali się „narodem długiego domu” (hodé-no-sau-nee). Domy takie, budowane z belek i kory, miały 6—10 metrów szerokości, około 8 metrów wysokości, a długości nieraz kilkadziesiąt metrów (najdłuższy znany dom miał 90 m długości). Każda z rodzin miała tu własne ognisko i pomieszczenia. Wyposażenie domów było bogatsze niż w wigwamach Algonkinów, a naczynia i narzędzia lepiej wykonane, choć również z drzewa, rogu, kości, łyka, kamienia lub gliny.

Związek kilku owaczir stanowił ród. Miał on wspólną nazwę, własnych wodzów, którzy reprezentowali go w radzie plemienia. W ogóle organizacja społeczna Irokezów była daleko bardziej zwarta i rozwinięta niż u Algonkinów. Rody skupiały się w bractwa, które połączone stanowiły plemię. Liga Irokezów była najwyższą stojącą organizacją polityczną Indian Ameryki Północnej. Na czele Ligi stała rada złożona z wodzów poszczególnych plemion i rodów. Np. Onondangowie, w których wsi o tej samej nazwie mieścił się dom rady Ligi, mieli w niej 14 miejsc, Senekowie 8, Kajugowie 10 itd. Rada ta decydowała w wojnach, traktatach i sprawach dotyczących wszystkich plemion Ligi. Dzięki tej wspólnej

władzy Liga osiągnęła wielkie sukcesy, a niektórzy historycy nazywali Irokezów „Rzymianami Puszczy”.

Religia Algonkinów i Irokezów polegała na wierze w duchy, siły nadmysłowe tkwiące w ludziach, zwierzętach, roślinach i rzeczach. Algonkinowie wierzyli w przenikającą cały świat siłę ogólną, zwaną przez niektóre plemiona Manitou. Wszystkie plemiona posiadały niezmiernie bogatą mitologię (zwłaszcza Delawarowie). Wśród wierzeń Irokezów charakterystyczny był kult Degonawide, proroka urodzonego z dziewicy, głoszącego wieczny pokój. Dużą rolę odgrywali szamani, umiejący zaklinać duchy i przepowiadać przyszłość. Istniały również tajne stowarzyszenia, mające specjalne cele religijno-magiczne. Każdy Indianin posiadał własny zbiór amuletów lub przedmiotów wyposażonych magicznymi właściwościami. Wierzono także w życie pozagrobowe. Natomiast powszechnie przypisywana Indianom wiara w Wielkiego Ducha wytworzyła się dopiero pod wpływem misjonarzy chrześcijańskich.

*

Umysłowość Indianina i jego postawa życiowa kształtowały się zależnie od warunków materialnych życia. Niektóre plemiona były nastawione wojowniczo, inne, trudniące się rolnictwem i zbieractwem — pokojowo. Wspólne wszystkim Indianom były: wpajana przez wychowanie wielka dyscyplina wewnętrzna, panowanie nad sobą, wytrzymałość w znoszeniu głodu, pragnienia, trudów i bólu. Indianin, który nie umiał panować nad sobą, ukrywać swoich popędów i namiętności, narażał się na śmiech i pogardę. Charakteryzował także Indian wielki indywidualizm, duma i niepohamowana ambicja, chęć wyróżnienia się i zdobycia sławy. Prowadziło do tego kilka dróg: czyny wojenne, umiejętności myśliwskie, jak również umiejętności wygłaszania przemówień, w czym Indianie okazywali wysoki kunszt. Wódz prowadzący wojowników na wojnę musiał odznaczać się odwagą, siłą fizyczną, chytryością i wytrzymałością oraz darem wymowy. Luźna organizacja społeczna i brak władzy wykonawczej powodowały, że Indianin słuchał tylko obyczaju kontrolowanego przez opinię publiczną i jej sankcje — pogardę i ośmieszenie. Jednakże trady-

cje rodowe okazywały się dostateczną siłą skupiającą grupy indiańskie i wypadki łamania obyczaju były bardzo rzadkie. Oczywiście, za bardzo ciężkie przestępstwa ród czy plemię mogły ukarać przestępcę wygnaniem lub śmiercią.

Wojny, które prowadzili Indianie, rzadko zasługiwały na miano wojen w europejskim tego słowa znaczeniu, tzn. realizowania zamierzeń i celów politycznych przy pomocy sił zbrojnych. Jedynie Liga Irokezów prowadziła w pewnym sensie takie wojny. Starcia między plemionami indiańskimi powodowało zazwyczaj naruszanie plemiennych terenów łowieckich, nakaz zemsty rodowej czy plemiennnej, rzadziej chęć zdobyczy lub wyróżnienia osobistego i zdobycia skalpów. Wśród niektórych plemion prerii młody wojownik mógł pojąć żonę dopiero wtedy, gdy wyróżnił się w walce. Częste były również starcia z białymi myśliwymi, kolonistami zabierającymi ziemię, napady na poszczególne osady i samotne chaty osadników.

Nie znali więc Indianie wypowiedzenia wojny i powszechnej mobilizacji. Każdy Indianin, jeżeli chciał, mógł wstąpić na ścieżkę wojenną. Jeden tylko rodzaj walki obowiązywał każdego wojownika: walka w obronie kobiet i dzieci, w obronie wsi i plemienia — dlatego właśnie w niektórych plemionach wyróżnienie się w walce obronnej stawiano wyżej niż wyczyny w walkach agresywnych.

Przygotowanie i przebieg wojny mogły mieć różny charakter. Jeżeli np. został zabity członek rodu, wtedy wódz wojenny wzywał ród do walki i rozpoczynał obrzędy przygotowawcze. Pomalowany barwami wojny, śpiewał pieśń wzywającą ród do zemsty i tańczył taniec wojenny na placu wokół czerwonego słupa. Wojownicy, którzy chcieli wziąć udział w wyprawie, malowali się barwami wojny i podejmowali wraz z nim taniec i pieśń. W ten sposób zbierała się grupa ochotników. Następnie wódz udawał się na odludne miejsce, tam przez kilka dni pościł i modlił się, śpiewał pieśni i czekał na jakiś mistyczny znak zwiastujący zwycięstwo. Najczęściej były to sny, gdyż wśród Indian wiara w sny i ich proroczą wartość zapuściła głęboko korzenie. Otrzymawszy taki znak, wódz ruszał do wsi, z daleka obwieszczając śpiewem swój powrót, zapraszał wojowników na ucztę, podczas której on

sam nie jadł, tylko paląc fajkę obserwował gości, po czym opowiadał o swej wizji i wygłaszał przemówienie zachęcające wojowników do walki. Wieczorem tego samego dnia, wokół pomalowanego na nowo słupa, zbierali się wojownicy przybrani w ceremonialne stroje, umalowani i w pełnym wojennym uzbrojeniu, aby odtańczyć w świetle ogniska taniec polegający na naśladowaniu walki wręcz. Wódz prowadził taniec i śpiewał pieśń sławiącą dzielność wojowników i chwałę zwycięzców. Uroczystość, której towarzyszyło bicie bębna, kończyła się przed świtem okrzykiem wojennym, po czym wódz dawał znak do wyruszenia. Wojownicy, przystrojeni we wspaniałe pióra i barwnie pomalowane skóry, pojedynczym szeregiem znikali w lesie, a za nimi szły kobiety, które po pewnym czasie wracały do wsi, odnosząc ich stroje. Tak więc oddział wstępował na ścieżkę wojenną, przemykając przez las cicho i nieopatrzenie, zachowując najdalej idącą ostrożność, podkradał się pod wioskę wroga, napadał nagle przed świtem, z dzikim, przejmującym okrzykiem wojennym, zabijał członków wrogiego rodu, zabierał ich skalpy lub wprowadzał jeńców, a następnie szybko wracał do wsi. Podczas takich wypraw Indianie dawali przykłady niesłychanej wytrwałości, przebiegłości, zaciekłości i odwagi. Jeżeli oddział, nie poniosłszy strat, wracał ze zdobyczą, skalpami i jeńcami — wieś witała go uroczyście i wybuchem olbrzymiej radości. Zwycięzcy śpiewali, tańczono nad skalpami zabitych wrogów, a wódz zdobywał wielką sławę. Jeżeli jednak oddział poniósł straty, wtedy we wsi rozlegało się zawołanie kobiet i wódz, który nie ustrzegł swych ludzi od śmierci, musiał słuchać gorzkich wymówek. Plemiona indiańskie były bardzo nieliczne i dlatego wojny prowadzono tak, by zadać możliwie największe straty, bez poświęcenia choćby jednego własnego wojownika. Stąd europejski sposób prowadzenia walki w zwartych szeregach Indianie uważali zawsze za szaleństwo. Najchętniej napadali oni niespodziewanie, z zasadzki lub podstępem, stwarzając sobie dogodną sytuację zapewniającą zwycięstwo.

Podobnie przedstawiała się sprawa, jeżeli wojnę zaczynało plemię. Wtedy jego wódz wojenny wysyłał do wszystkich wsi i do wszystkich rodów plemienia czerwono pomalowany topór i czarny pas wampumów. Wampumy wzywające do pokoju miały prze-

ważnie kolor zielony. Sporządzano je z muszli nanizanych na sznurki lub ścięgno. Służyły jako moneta w wymianie handlowej, nimi również spłacano odszkodowania. Naszyte na pas wampumy z różnokolorowych muszelek zastępowały listy. Poseł wzywający do wojny przyjmowany był przez radę rodu, plemienia lub danej wsi, odczytywał treść wampumów, wręczał je wodzowi, a następnie rzucał lub wbijał w ziemię topór wojenny. Jeżeli wódz podjął topór, oznaczało to przystąpienie do wojny.



Spotkanie nad jeziorem Erie

W zimny dzień listopadowy 1760 roku przez spienione, smagane północnym wiatrem fale jeziora Erie przedzierało się powoli na zachód piętnaście dużych łodzi wioząc stłoczonych ponad dwustu angielskich żołnierzy. Łodzie płynęły wzdłuż południowego brzegu, porosłego nieprzerwaną puszczą. Padał dokuczliwy deszcz i dowodzący wyprawą major Robert Rogers pilnie badał brzeg, szukając miejsca dogodnego do rozbicia obozu. Był to oficer o dużym doświadczeniu zdobytym w walkach prowadzonych w puszczy i dlatego jemu właśnie powierzono ten oddział, który zgodnie z aktem kapitulacji podpisanym przez markiza de Vaudreuil, następcę Montcalma *, we wrześniu 1760 roku, miał objąć francuskie forty wysunięte głęboko w zachodnie puszcze nad brzegami wielkich jezior. Po dwóch miesiącach uciążliwej podróży Rzeką Św. Wawrzyńca, a potem przez jezioro Ontario, po przeniesieniu ciężkich łodzi wokół wodospadów Niagary, żołnierze docierali do południowo-zachodnich krańców jeziora Erie. Nigdy jeszcze dotąd Anglicy nie zapuszczali się tak daleko na zachód.

Rogers wiedział dobrze, że posuwa się przez tereny stanowiące siedziby plemion, które w minionej wojnie ofiarowały swoje tomahawki królowej Francji i które w sercach nosiły gorącą nienawiść do angielskich mundurów, angielskich osadników i kupców. Zbyt był doświadczony, by nie wiedzieć, że z martwiejących jesiennych lasów, pozornie pozbawionych jakiegokolwiek życia, śledzą go od tygodni bystre oczy, że o każdym jego poruszeniu szybcy zwiadowcy przenoszą wiadomości do siedzib indiańskich, gdzie wokół ognisk

Patrz wstęp.

rady wodzowie ważą problem, jak wystąpić mu na spotkanie: z przyjaznym podniesieniem otwartych dłoni czy z toporem wojny. Toteż Rogers bacznie obserwował brzeg, by wybrać na obóz teren pozwalający na zabezpieczenie przed niespodziewanym napadem.

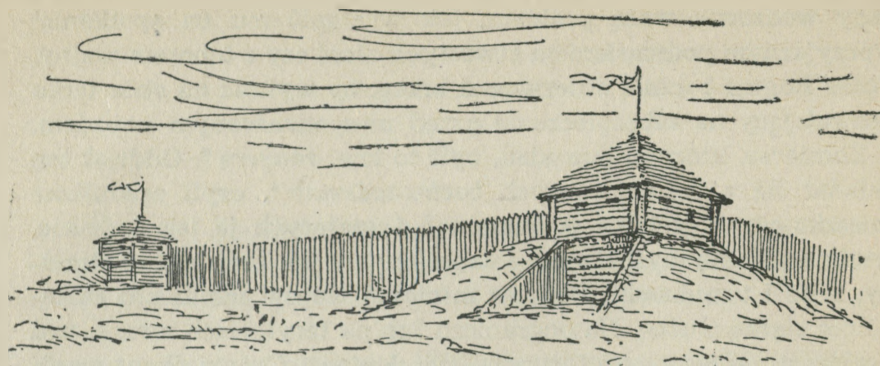
Żołnierze, którymi dowodził, byli to tzw. *rangers* *. Oddział ten składał się z doświadczonych *backwoodsmen* *, czyli osadników mieszkających głęboko w puszczech i znających je jak Indianie, trudniących się myślistwem, i uzbrojonych, jak Indianie, w strzelby, noże i tomahawki. Podczas minionej wojny pełnili oni szczególnie ciężką służbę. Na pograniczu lub na terytoriach wroga, nad Jeziorem Jerzego, pod fortami Ticonderoga i Crown Point zwalczali Indian — sprzymierzeńców francuskich, przechwytywali gońców, napadali na transporty, palili wioski, wycinając całą ich ludność. Wychowani w trudnej szkole puszczy, twardzi, bezlitośni i nieludscy — nie cofający się przed mordowaniem indiańskich kobiet i dzieci — żołnierze ci doskonale się nadawali do takiej wyprawy, gdyż równie dobrze jak Indianie znali sztukę czytania śladów i zastawiania zasadzek, a znacznie lepiej od nich strzelali.

Sam Rogers był wysokim i silnym mężczyzną, dobrze obeznanym z puszcza, stanowczym i niekiedy zuchwałym, a jednocześnie ostrożnym i rozważnym w działaniu. Życie w puszczy i wojna, w której dowodził, zacierały w nim stopniowo ślady wykształcenia i kultury. Jednakże sława, jaką zdobył dokonując czynów czasem wprost nieprawdopodobnych, zyskała mu uznanie nie tylko wśród swoich, lecz także wśród Indian. Dlatego generał Amherst, głównodowodzący wojsk angielskich w Ameryce, jemu powierzył zadanie obsadzenia francuskich fortów na zachodzie.

Bezpośrednim celem Rogersa był fort Detroit, najważniejszy w tej zachodniej sieci francuskich punktów oparcia. Prócz tego Francuzi posiadali na południe od jeziora Erie forty Presque Isle, Le Boeuf i Venango. Dalej na zachód, nad rzeką Sandusky, leżał fort tej samej nazwy, a na południowy wschód od niego dwa forty:

Rangers — tu: formacje wojskowe, tworzone przez Anglików z osadników amerykańskich, przeważnie z *backwoodsmen*.

Backwoodsmen — pionierzy osiedlający się głęboko w puszczech, trudniący się uprawą roli i myślistwem, doskonali strzelcy, znani jako wrogowie Indian.



Miami nad rzeką Maumee oraz Ouiatenon nad rzeką Wabash, strzegące drogi do francuskich posiadłości w Illinois nad środkową Missisipi. Fort Detroit leżał nad rzeką tej samej nazwy, łączącą jezioro Erie z Jeziorem Św. Klary i dalej na północ — z jeziorem Huron. Przejść przez cieśniny łączące jezioro Huron, Michigan i Górne pilnowały forty Michilimackinac i Sault Ste Marie. Na wschodnim wybrzeżu jeziora Michigan znajdował się fort Św. Józefa. Punktem oparcia i bazą dla tego całego systemu fortów rozrzuconych na olbrzymim obszarze był największy z nich, fort Detroit, posiadający najliczniejszą załogę. Dlatego właśnie Rogers dążył przede wszystkim do Detroit, aby stąd przejść stopniowo inne posterunki.

Około południa łodzie dotarły do ujścia rzeki Cayahoga koło wysuniętego cypla, który wydał się majorowi dobrym miejscem do rozbicia obozu. Skierował więc tam łodzie i grupka doświadczonych zwiadowców zbadała teren, a gdy wrócili z wiadomością, że w lesie nie ma nikogo, cały oddział wyszedł na brzeg, odgrodził się od ładu barykadą ze ściętych drzew i za taką osłoną rozbił namioty, rozpalił ogniska.

Jednakże zwiadowcy się mylili. Nie minęło parę godzin, gdy z lasu wysunęło się kilku młodych wojowników i nie zwracając uwagi na posterunki, ruszyło ku barykadzie; ostrzeżony przez wartowników major Rogers wyszedł przed nią w otoczeniu oficerów i żołnierzy. Indianie podeszli blisko. Otuleni byli w koce lub skó-

ry, twarze pomalowane mieli czarnymi kreskami. Tkwiące we włosach orle pióra wskazywały, mimo młodego wieku wojowników, na zdobyte skalpy i odniesione zwycięstwa. Rogers milczał i czekał, co powiedzą Indianie. Cisza trwała dłuższą chwilę, wreszcie jeden z nich przemówił: „Przynosimy słowa wodza Ottawów. Oczy naszych wojowników patrzą od wielu dni na waszą drogę. Czego szukają w naszych puszczech Czerwone Mundury?”

Major szybko rozważał słowa Indianina. Ton jego był wyniosły i pewny siebie. Nie użył zwykłej nazwy „biali bracia”, którą Indianie nadawali kolonistom. Rogers pamiętał o rozkazach generała Amhersta: obsadzić Detroit i inne forty, rozbroić załogi francuskie, unikać starć z Indianami i nawiązywać z nimi przyjazne stosunki. Toteż na pytanie Indianian odpowiedział uprzejmie, tłumacząc, że wojna została zakończona, Francuzi pobici i że Anglicy obejmują ich forty. Dodał, także, że swoim braciom-Indianom ofiarują przyjaźń i dary. Indianie słuchali uważnie, badając bystrymi oczami obozowisko białych. Wysłuchawszy odpowiedzi majora, przedstawiciel ich rzekł: „Wielki wódz Ottawów Pontiak wysyła nas z wezwaniem do angielskich żołnierzy, aby nie zbliżali się do naszych wsi, póki on sam nie siądzie z wami przy ognisku rady. Wódz nasz jest niedaleko. Ścieżka jego jest prosta. Nim noc wyjdzie z głębi lasów, stanie on w obozie Czerwonych Mundurów”. To rzekłszy i nie czekając na odpowiedź, odwrócił się z godnością i odszedł wraz z towarzyszami.

Deszcz padał bez przerwy i silny wiatr huczał w lesie. Mrok gęstniał. Obawiając się podstępu major nakazał wzmożoną czujność. Poleciał więc czuwać pilnie nad brzegiem jeziora na wypadek, gdyby nagle wyłoniła się z mgły flotylla indiańskich kanu, a jednocześnie wzmocnił posterunki w lesie. Nie lękał się jednak. Przeszło dwustu wyborowych strzelców na dogodnej pozycji stanowiło poważną siłę i wysłannicy Indian na pewno zorientowali się, że atak byłby szaleństwem. Rogers starał się uprzytomnić sobie, co słyszał dotychczas o Pontiacu. Niejasne pogłoski mówiły, że na czele gromady Ottawów brał udział w bitwie z wojskami Braddocka *, że Wielki Montcalm darzył go szczególną sympatią, że wy-

Patrz wstęp.

wierał on poważny wpływ na plemiona nad jeziorami. Rogers nie lubił Indian i gardził nimi. Nigdy nie rozumiał Francuzów, bratających się z czerwonoskórą hołotą. Był Anglikiem i podzielał zdanie wszystkich angielskich kolonistów, że między nimi i Indianami nie ma żadnej możliwości porozumienia się ani współzycia, że prędzej czy później Indianie muszą wyginąć, zniknąć, tak jak znika puszcza i jej wszyscy mieszkańcy. Brał udział w wielu walkach, pościgach, zasadzkach, wiele razy uciekał przed pościgiem Indian, lecz nigdy nie czuł dla nich uznania.

Pod wieczór straż zaalarmowała obóz i doniosły o pojawieniu się Indian. Wyszedłszy przed barykadę major zobaczył gromadę zbliżających się z godnością wodzów i wojowników. Wysuwali się z zamglonego lasu przystrojeni w pióra, zbrojni w strzelby, ubrani w płaszcze ze skór bizonów, obszyte frędzlami leginy i ozdobne mokasyny. Wtedy to, w deszczowym półmroku listopadowego dnia, w świetle ogniska Rogers po raz pierwszy zetknął się z Pontiakiem i jego raport jest pierwszym dokumentem mówiącym o tym wodzu, którego imię już wkrótce miało stać się sławne nie tylko w amerykańskich koloniach. Było to pierwsze spotkanie angielskiego oficera z wodzem Ottawów, a zarazem pierwsze zdarzenie w długim procesie, który doprowadził do krwawej wojny.

Rogers spotykał wielu wybitnych wodzów Mohawków, Seneków, Delawarów i innych ludów indiańskich. Ten jednak był zupełnie inny. Pontiak liczył wówczas około pięćdziesięciu lat. Był średniego wzrostu, lecz niesłychanie silnej budowy. Twarz o regularnych rysach wyrażała inteligencję i siłę charakteru. Trzymał się prosto i zachowywał dumnie, prawie wyniośle. W swoim raporcie Rogers pisał: „..., przybiera on pozory majestatu i książęcej wyniosłości; jest bardzo szanowany i czczony przez swoich podwładnych”. Każdy, kto się z nim spotkał czy to na polu bitwy, czy w kręgu rady, podkreślał jego przenikliwość, odwagę, dar krasomówstwa, zręczność w prowadzeniu spraw, inteligencję i spostrzegawczość oraz gotowość uczenia się od białych. Duszę jego nurtowała wielka ambicja i żądza władzy. Sprawował też władzę daleko większą niż zwykle wódz w indiańskim plemienu. Była to władza niemal despotyczna, oparta na ogromnym uznaniu, jakie zdobył sobie tak czynami wojennymi, jak mądrymi decyzjami i darem

wymowy. Wpływ jego osobowości sięgał daleko poza granice wiosek Ottawów. Pontiak znajdował posłuch także i wśród Potawatomic, Odżibwejów, Huronów, a nawet wśród dalekich Menominich, Delawarów i Winnebagów oraz plemion Kanady.

Twarz wodza ciemniejsza była od twarzy innych Ottawów. Płonęły w niej czarne oczy, przenikliwe i dumne. Rogers po raz pierwszy w życiu poczuł się nieswojo wobec Indianina. Pontiak powitał majora wyniośle i zapytał, czego Anglicy szukają na ziemiach Indian. Rogers powtórzył swoje słowa, przekazane już poprzednio gońcowi. Podkreślił mocniej pokojowe zamiary, twierdząc, że przyjeżdża zawrzeć pokój z Francuzami i ich sprzymierzeńcami indiańskimi. Oznajmił, że król Anglii i jego zastępca w Kanadzie zamierzają żyć w zgodzie z plemionami, szanować ich wolność i ofiarować im hojne dary.

Major zdawał sobie sprawę, że jego słuchacze przystrojeni są skalpami Anglików, zdobytymi w ostatniej wojnie, że w sercach ich wre nienawiść, że woleliby wpaść do jego obozu z dzikim okrzykiem wojennym niż ze słowami pokoju. Toteż przemawiał do nich ostrożnie, pragnąc pogłaskać ich dumę, sprawić wrażenie posła przyjaźni i pozyskać ich pomoc lub przynajmniej neutralność. Wiedział bowiem, że gdyby załoga francuska z Detroit mogła liczyć na pomoc okolicznych plemion, to jego oddział byłby niechybnie zgubiony w nierównej walce.

Pontiak słuchał z kamiennym spokojem. Ani jeden muskuł nie drgnął na jego twarzy, kiedy wreszcie oznajmił: „Wodzowie i wojownicy Ottawów zostaną do jutra na ścieżce Czerwonych Mundurów i jutro zasiądą z nimi u ich ogniska rady”. To rzekłszy odwrócił się, by odejść, lecz nagle zatrzymał się i spytał, czy Anglicy nie potrzebują czegoś, co rodzą pola i lasy Indian. Rogers bez wahania poprosił o kukurydzę i cukier klonowy. Wtedy orszak indiański zniknął we mgle wśród drzew i krzaków.

Znowu obawiając się podstęp, Rogers nakazał specjalne środki ostrożności i zwołał oficerów na naradę. Pontiak wywarł na wszystkich silne wrażenie. Nie dowierzając jego słowom, węszo- no indiański podstęp. Może zamierza uderzyć o świcie na obóz? Nikt nie wątpił, że z gęstwiny lasu bystre oczy śledzą każdy ruch w obozie. Jeżeli czują się dostatecznie silni, to mogą odważyć się

stkich ludów przeciw złodziejom ich ziemi. W tę noc, w noc spotkania z oddziałem Rogersa, po raz pierwszy zarysował się w jego umyśle wielki plan.

Kiedy następnego ranka na ścieżce przed obozem Anglików zjawił się znowu Pontiak ze swoją gromadą, zdziwieni żołnierze zauważyli, że Indianie niosą worki kukurydzy i w naczyniach z kory brzozy syrop z cukru klonowego. Wpuszczono ich do obozu, gdzie przed namiotem majora płonęło duże ognisko. Wokół niego zasiedli oficerowie wraz z kolorowo ubranymi i pomalowanymi gośćmi. Po chwili milczenia Pontiak wstał i zwracając się do majora, powiedział: „Ojczy, byliśmy wierni naszej przyjaźni z francuskimi ojcami. Lecz kiedy pobiliście naszych dawnych ojców, nie chcemy błędzić jak dzieci w ciemnościach. — Wydobywając zielony wampum pokoju, ciągnął dalej: — Ten wampum niech otworzy wasze uszy, aby wysłuchały naszych słów, niech z serc waszych usunie niepokój i troski. Ten wampum niech zetrze krew nęgdys między nami przelaną. Bracia, przychodzimy do was, bo słyszeliśmy wasze słowa pokoju. Ścieżka, która prowadzi do naszych wiosek, jest ścieżką pokoju. Przynosimy fajkę pokoju i Wielki Duch, który zsyła światło, złączy nas pokojem na zawsze”.

To mówiąc wręczył wampum Rogersowi, zdjął z szyi długą, ozdobioną piórami fajkę pokoju i czekał na słowa majora. Ów słuchał ze zmieszaniem uczuciami radości i podejrzenia. Zachowując głęboką powagę, odpowiedział jednak na mowę Pontiaka kwiecistym stylem, przyjaźnie i pochlebnie. Fajka obiegała krąg w uroczystym milczeniu, po czym wygłaszano mowy i zaproszono gości na ucztę, złożoną z pieczeni i bardzo słodkiej herbaty.

Rogers wykorzystał tę okazję, aby porozmawiać z Pontiakiem, gdyż chciał zasięgnąć od niego języka o fortach i okolicznych plemionach. Rychło jednak nabrał szacunku dla rozmówcy, bowiem Pontiak tak poprowadził rozmowy, że to raczej major, a nie on, stał się informatorem.

Zła pogoda przez kilka dni uniemożliwiła dalszą podróż. W tym czasie Indianie często przebywali w obozie Anglików i Anglicy odwieдали obóz Indian. Rogers mógł się więc przekonać, jaki wpływ wywierał wódz na swoich wojowników, jakim otoczony był szacunkiem i jak liczono się z jego wolą.

12 listopada znowu zepchnięto łodzie na spokojne już wody jeziora i oddział ruszył w stronę zachodniego brzegu. Przed nimi płynęły szybkie kanu gońców Pontiaka, niosąc wieści o zawartym pokoju. Rogers miał znowu okazję podziwiać potęgę wodza, która usunęła z ich drogi zaczajonych u ujścia rzeki Detroit kilkuset wojowników z różnych plemion Algonkinów, podburzonych przez dowódcę fortu w Detroit, kapitana Beletre. Łodzie Anglików płynęły bez przeszkód po rzece, wśród lasów i bagien nadbrzeżnych. Kapitan Campbell w małym kanu pojechał naprzód i złożył na ręce Beletre'a odpis dokumentu kapitulacji oraz odręczne pismo markiza de Vaudreuil, nakazujące przekazanie fortu wojskom angielskim.

Tak więc doszło do tego, że 29 listopada 1760 roku setki zgromadzonych wokół palisady wojowników zobaczyły dziwny i trudny do zrozumienia akt kapitulacji. Francuski garnizon opuścił fort w pełnym rynsztunku, w rozwiniętym szyku, w błyskach prezentowanych bagnetów i szpad oficerskich złożył broń przed wyprężonymi szeregami Anglików. Biała flaga z liliami zsunęła się powoli z masztu, a na jej miejsce wypłynął szybko czerwony krzyż Św. Jerzego. Z kolei złożyła broń milicja kanadyjska. Indianie patrzyli na to w podnieceniu i z podziwem, nie wiedząc, dlaczego tylu Francuzów składa broń przed garstką Anglików. Była to dla nich lekcja siły, przekonująca lekcja końca panowania francuskiego.

W puszcze nad jeziorami, nad Maumee i Wabash, aż po Ohio, wkraczał nowy porządek. Niewielu jednak ludzi domyślało się, jakie to pociągnie za sobą skutki, a może tylko jeden Pontiak wiedział, że łopocący na maszcie sztandar zwiastuje śmierć indiańskim ludom.



Pod panowaniem angielskim

Mijały już dwa lata od chwili, kiedy na oczach zebranych licznie Indian garnizon francuski w Detroit złożył broń przed oddziałem Anglików. W ciągu kilku następnych miesięcy załogi angielskie obsadziły całą sieć fortów zachodnich. Francuzi wycofali się do Illinois. Dwa lata już mijały od czasu, kiedy Indianie z zachodnich puszczy i znad jezior poznali Anglików w bezpośrednim zetknięciu.

Do wioski Ottawów, siedziby Pontiaka, położonej na wschodnim brzegu rzeki Detroit, niedaleko Jeziora Św. Klary, docierały złe wieści. Przynosili je młodzi gońcy, gnający tajemnymi ścieżkami przez knieje i ostępy, przynosili wojownicy z fortów, z polowań i narad międzyplemiennych. Wodzowie i starcy, pełni troski i powagi, rozważali w domach rady — co dalej? Coraz częściej wodzowie plemion i rodów kierowali swoje czółna w stronę rzeki Detroit i Jeziora Św. Klary. Wszak to Pontiak wprowadził do kraju załogi angielskie i przekonał zebranych pod fortem wojowników, że lepiej się poddać niż walczyć. Niechże więc radzi.

A Pontiak? Często wspominał jesienną noc, w której zdecydował się zawrzeć układ z Rogersem. Zawiodły jednak rachuby. Zawiodły nadzieje, że przyjaźń z Rogersem zapewni mu wpływ na kształtowanie stosunku Anglików do Indian. Przekonał się o tym rychło, kiedy wiosną 1761 roku do Detroit przyjechały łodzie z zapatrzaniem dla fortów. Pontiak i inni wodzowie wiedzieli, że przywożą one także dary dla plemion. Przecież Rogers wyraźnie to obiecał. Dary wdzięczności dla Pontiaka za pomoc. Miały być strzelby i amunicja, koce, kociołki, noże, siekiery i sól, miały być koszule i mąka, suknie dla kobiet i szklane paciorki. Indianie

wcześniej wysłędzili łodzie zbliżające się po jeziorze i zgromadzeni pod fortem oczekiwali kryjąc żądzę i niecierpliwość pod maską kamiennego opanowania. Miała być woda ognista. Francuzi zawsze na wiosnę urządzali przyjęcia dla wodzów i wojowników wracających z łowów zimowych. Wodzów przyjmowali oficerowie, pili z nimi, tańczyli, obejmowali jak braci. Więc Indianie czekali.

I oto pierwsze rozczarowanie. Łodzie przybiły do przystani. Wyładowano toboły, skrzynie i paki. Indianie jednak nie otrzymali nic prócz przekleństw i pogróżek. Pontiak pamiętał dobrze ten słoneczny dzień majowy. Pamiętał rudego handlarza, mówiącego coś szybko z kapitanem Campbellem — dowódcą fortu i oficerami. Pamiętał zjadliwy uśmieszek i lisią minę porucznika, który przywiózł transport. Z ich gestów i spojrzeń Pontiak zrozumiał: dary przeznaczone dla Indian zagarnięto. A potem sprzedano im je drogo za futra, skóry i kukurydzę. W pamiętny dzień majowego słońca żołnierze z muszkietami w ręku usunęli Indian z fortu groźbą kolb i bagnatów. To było coś nowego. Pontiak i inni wodzowie opuścili fort spokojnie, lecz pod wyniosłymi maskami unosili głęboką urazę i nienawiść. Więc to tak? Tak zaczynają Anglicy?

Tak zaczęli. Wkrótce podnieśli ceny strzelb, prochu i wszystkich towarów. Indianie zapamiętali pierwszą wizytę angielskich handlarzy we wsi. Było to latem 1761 roku. Przyjechali w deszczowy dzień dużymi łodziami, zbudowanymi na sposób białych. Weszli do pierwszego wigwamu bez słowa powitania. Było ich czterech: handlarz i trzech pomocników, a zarazem przewodników. Ubrani byli w skóry, na wpół po indiańsku, uzbrojeni w długie strzelby, pistolety, noże i tomahawki. Rośli, silni, brudni i zarośnięci. Zachowywali się brutalnie. Indianie przyjęli ich gościnnie, jak kazał obyczaj. Ustąpiono im miejsca koło ogniska, a kobiety szybko postawiły przed nimi miski z mięsem. Nie umyli palców — jak to czynili Indianie — lecz chciwie rzucili się na jedzenie bez słowa podziękii. Potem obeszlą wieś i sprzedawali towary, żądając wysokich cen. Klęli, potracali kobiety, a po ich odjeździe stwierdzono, że skradli futra i nowe mokasyny w wigwamie, w którym spali.

Pontiak pojechał do fortu na skargę. Przecież francuscy kupcy podlegali królowi i król ustalał, co Indianie mają otrzymać za futra. Ale oficerowie w Detroit wyśmiali go. Angielscy kupcy

robią, co im się podoba, i biorą tyle, ile Indianie dają. Jeśli Ottawom to nie odpowiada — mogą nie kupować. I Pontiak znowu otrzymał lekcję. Tak, Anglicy nie mają praw. Nie znają obyczajów. Nie można im wierzyć i ufać. Słowa ich króla są jak dym nad ogniskiem.

A później? Pontiak pamiętał naradę wodzów Ottawów, Potawatomich, Odzibwejów w wielkim domu rady w wiosce Potawatomich. Ninivay — wódz tego plemienia — wrócił z podróży na wschód. Był w forcie Niagara, był także w wioskach Delawarów nad rzeką Allegheny i w wioskach Huronów nad Sandusky. Przywoził kamienny ciężar troski i niepokoju, który chciał złożyć w ręce wodzów całej konfederacji plemiennej. Na czele tej konfederacji stał Pontiak. Z północy przyjechali wodzowie Odzibwejów: Wasson, Wapocomoguth, Sekahos i inni. Była to jesień 1761. Mijał właśnie rok od czasu, kiedy Pontiak przekonał tych właśnie wodzów, że nie należy walczyć z Rogersem. Jakie wieści przywoził Ninivay?

W ponurej ciszy, przerywanej tylko trzaskiem ognia, Ninivay głosem opanowanym i cichym opowiadał, że we wszystkich fortach dzieje się to samo, że wszędzie oficerowie i żołnierze odnoszą się do Indian źle i brutalnie, że wszędzie kupcy obdzierają ich i okradają. Więcej. Ninivay mówił o wielkim niepokoju plemion nad Ohio. Oto wokół fortów wyrastają nowe osady i niknie puszcza. Na drodze między dawnym fortem Duquesne z koloniami zbudowano wiele nowych fortów i placówek. Ze szczytów gór Indianie widzą coraz nowe kolumny dymów wznoszące się ku niebu. To ogień pożera puszcę, a w ziemię jeszcze ciepłą i spopielałą wchodzi pług kolonistów. Fala białych osadników prze za zachodzącym słońcem.

Pontiak wspominał opowiadania starców o wodzu znad wielkiej słonej wody — Metacomie. Wspominał testament tego tragicznego wojownika, przekazany wszystkim czerwonym ludom — jednoczcie się i zjednoczeni wytepcie białych. Czyż białe niebezpieczeństwo nie grozi tak samo Delawarom, jak Irokezom, Szawanom czy Ottawom? Wodzowie radzili do późnej nocy i wyjechali posępni. Cóż pozostawało? Za Anglikami szło widmo głodu i śmierci. Wykopać topory wojenne? Nie mogli zdobyć się na taką decyzję.



Wkrótce potem, w listopadową mglistą noc, do wsi Pontiaka zainwazyły dwa indiańskie kanu. Odbyły one daleką drogę z Illinois w górę Missisipi, przez wielkie morza słodkiej wody. Pod osłoną ciemności przyjechał agent francuski, Pierre Chouteau, w towarzystwie trzech *coureurs de bois*. Ukryli starannie swoje czółna i weszli do chaty Pontiaka. W blasku małego ognia przesiedzieli z wodzem wiele godzin, a przed świtem zniknęli w mgłę i nocy, wracając na północ. Przywieźli dary — wodę ognistą i pasy wampumów, liście tytoniu i strzelby, piękne noże i perkal. A także wieści. Dziwne wieści. Mówili, że król Francji spał długo i w tym czasie Anglicy zagarnęli Kanadę. Lecz oto król się obudził i zawrzał strasznym gniewem. Kazał przygotować wielkie skrzydlate łodzie i ogromną armię, która wkrótce ruszy, by wypędzić z Kanady Czerwone Mundury. A swoje czerwono-skóre dzieci król wzywa, by były znowu gotowe do walki.

Rósł niepokój wśród Indian, rosło niezadowolenie.

Znajdowało to różne przejawy. Niektóre plemiona składały do władz petycje, powołując się na zawarte traktaty, prosząc o zburzenie fortów i zlikwidowanie garnizonów. Tak na przykład chrześcijańscy Indianie z plemienia Oneida wysłali na ręce angielskiego agenta do spraw Indian, Williama Johnsona, pismo z prośbą, aby usunąć forty i garnizony z ich ziemi, gdyż żołnierze tam przebywający nie boją się Boga, obrażają uczucia religijne Indian i zakłócają ich spokój. Przeważnie jednak wojownicze plemiona myślały raczej o tomahawkach i skalpach niż o petycjach. Na tym tle powstawała idea walki wszystkich Indian przeciwko Anglikom.

Idea ta nie zrodziła się w głowie jednego wodza — Pontiaka. On może pierwszy ją sformułował i obmyślił dla niej formy realizacji. Sama idea była następstwem zjawisk noszących charakter ruchu religijnego i społecznego. Mianowicie w plemionach zjawili się prorocy głoszący nawrót do dawnych obyczajów, wzywający do wyrzeczenia się towarów europejskich i „wody ognistej”. Z działalnością takich proroków związane były wszystkie powstania indiańskie od Metacoma aż do ostatniego buntu Dakotów w 1890 roku. Nawoływali oni do odnowy moralnej i zjednoczenia wszystkich plemion do wspólnej walki przeciw najeźdźcom. Najgłośniejszy stał się za czasów Pontiaka prorok, który pojawił się wśród Delawarów. Sława jego rozeszła się szeroko, a wojownicy wielu plemion odbywali długie podróże, by usłyszeć jego słowa; pod ich głębokim wrażeniem wracali do swych wiosek i powtarzali je na uroczystych zebraniach wokół ognisk rady.

Nic więc dziwnego, że niecierpliwi zaczęli otwarcie mówić o zbrojeniu się i wojnie. Już w roku 1761, w kilka miesięcy po zajęciu fortów przez Anglików, zapalczywy Kiashuta, wódz Seneków, rozesłał do Wyandotów z okolic Detroit wampumy wojny z wezwaniem do wytopienia garnizonu tego fortu, a inne plemiona nawoływał do ataku na inne garnizony. Jednakże kapitan Campbell, który wówczas dowodził załogą w Detroit, dowiedział się w porę o spisku, zawiadomił generała Amhersta oraz inne forty i Indianie musieli zrezygnować ze swoich zamiarów. Generał Amherst nie przywiązywał jednak do tych wiadomości większego

znaczenia. Indianami pogardzał i nie uważał ich za niebezpiecznych przeciwników. Nie wyciągał więc żadnych konsekwencji z ostrzeżenia. Podobnie i w następnym roku w wielu wioskach wojownicy tańczyli wokół czerwono pomalowanych słupów i śpiewali pieśni wojenne, przygotowując się do ataku na forty. Ale i tym razem agenci angielscy, kupcy, traperzy i płatni zdrajcy-Indianie, nieustannie myszkujący po puszczy, w porę ostrzegli dowódców fortów i konspiracja została zduszona w zarodku.

Wtedy, w roku 1762, na arenę wystąpił Pontiak z dojrzałym, przemyślanym planem wielkiej wojny wszystkich plemion nad jezior i z dorzecza Ohio przeciwko wrogowi niosącemu zagładę.

Wróciwszy z zimowych łowów wiosną 1762 roku Pontiak udał się do fortu Detroit z gromadą wojowników, aby odtńczyć tradycyjny taniec pokoju i przyjaźni. Przy okazji chciał porozmawiać z dowódcą załogi. Był nim teraz major Gładwyn, Anglik opanowany i chłodno uprzejmy. Przyjął Pontiaka grzecznie, uściśnął mu rękę i poczęstował tytoniem. Wojownicy na placu tańczyli i śpiewali otoczeni tłumem żołnierzy i mieszkańców fortu. Pontiak przypomniał Gładwynowi umowę z Rogersem, jego obietnice, przypomniał obyczaje Francuzów, mówił o niepokoju, jaki panuje wśród plemion z powodu postępowania Anglików, kolonizacji, tępienia zwierzyny i zabierania ziemi. Major odpowiedział chłodno, że Anglicy kraj ten zdobyli siłą broni i mają prawo urządzać go według własnych obyczajów, tak jak Francuzi urządzali go według własnych. „Lecz to jest ziemia Indian” — rzekł Pontiak z naciskiem. Wtedy Gładwyn podszedł do okna i wskazał na sztandar angielski łopocący na maszcie. „Gdzie powiewa ten sztandar, tam jest ziemia angielska i panują Anglicy” — odparł mocnym głosem. Pontiak wydobyl z torby kawał kory brzozonej, na której narysowana była czarna wydra, totem jego rodu. „Przodkowie moi pochodzą od Czarnej Wydry, która żyła w tych wodach i lasach od czasu, kiedy Wielki Duch powołał je do istnienia. To jest ziemia naszych ojców i naszych dzieci.” Gładwyn był zbyt zręcznym dyplomatą, by wszczynać spór. Załagodził napięcie deklaracjami o przyjaźni i opiece. Pontiak jednak zrozumiał. Indianie powinni siedzieć spokojnie i nie przeszkadzać Anglikom, a gdy ci będą dostatecznie liczni i silni — Indianie muszą odejść. Dokąd?

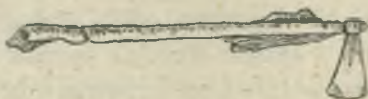
Mieszkając o kilka kilometrów na północny wschód od Detroit, głównej bazy angielskiej nad jeziorami, gdzie przecinały się drogi z Kanady i kolonii angielskich, Pontiak mógł lepiej niż inni wodzowie obserwować ruchy Anglików na ziemiach indiańskich i ostrzej zarazem doświadczał ich skutków.

Uświadamiał on sobie, że luźne, skłócone plemiona zostaną zmiecione przez postęp kolonizacji, że skuteczną zaporą przeciwko niej może być tylko zjednoczona siła całej czerwonej rasy. Jako sachem plemienia Ottawów wywierał poważny wpływ na Potawatomich i Odżibwejów, związanych z Ottawami luźną konfederacją. Osobę jego otaczał nie tylko szacunek, lecz także zabobonny lęk. Legenda o nim krążyła nawet wśród Winnebagów na zachodnim wybrzeżu Michiganu i wśród plemion nad dolnym biegiem Missisipi.

Pontiak znał siłę angielskich kolonii, przed którą musiały się ugiąć nawet armie Montcalma. Szukał więc oparcia i sprzymierzeńców, a tych widział we Francuzach. Nadzieje na ich pomoc nie były pozbawione podstaw. Oto bowiem agenci francuscy, a za nimi wszyscy mieszkańcy Kanady powtarzali i rozpuszczali wśród Indian pogłoski o nowej wojnie i rychłym wypędzeniu Anglików.

Przykładem dla wielkiego wodza była zjednoczona Liga Irokezów, która wprawdzie nie miała już takiego znaczenia, jak na przełomie XVII i XVIII wieku, lecz wciąż jeszcze żyła pamięć o jej groźnej sile.

Pontiak snuł plany ogólnego powstania, słuchając wieści biegnących przez puszcze, rozmawiając z *coureurs de bois* docierającymi do jego wioski i z francuskimi osadnikami mieszkającymi wokół fortu. Na samotnej wyspce pobliskiego Jeziora Św. Klary pościł i modlił się prosząc Wielkiego Ducha o znak. Wreszcie w lecie 1762 roku postanowił działać.



Konspiracja

Pewnego sierpniowego wieczoru 1762 roku w wielkim wigwamie rady w wiosce Ottawów zapłonęło ognisko. Wszędzie dawał się odczuć nastrój podniecenia. Od rana stary wojownik chodził od chaty do chaty, wzywając wodzów i wybitnych wojowników na naradę. Gońcy pobiegli także do pobliskich wiosek Wyandotów i Potawatomic, leżących na południowy zachód od fortu, nad obu brzegami rzeki. Wojownicy malowali twarze, przywdziewali odświętne stroje i ozdoby z piór świadczące o ich czynach. Wszyscy oczekiwali czegoś nadzwyczajnego.

I nie zawiedli się. Na tej naradzie Pontiak wygłosił wielką mowę, w której przedstawił groźną sytuację plemion, wrogie zamiary Anglików, zabieranie ziemi, wycinanie lasów, zakładanie garnizonów i budowanie coraz nowych fortów, pod osłoną których osadnicy zmieniają puszcze w pola uprawne. Wskazywał na los Delawarów i Szawanów, wypędzonych ze swej ziemi, przypominał dzieje Algonkinów znad Atlantyku, wytopionych przez kolonistów. Odmalował czarnymi barwami wyzysk i złodziejstwa angielskich handlarzy. Wreszcie wezwał do wojny. Płomienne, dzikie, lecz jednocześnie pełne godności były mowy wygłoszone na tej naradzie. Nie było nikogo, kto by sprzeciwił się wojnie. Pontiak wyrażał to, co czuli i myśleli wszyscy. Toteż kiedy wódz Ottawów podniósł wysoko nad głowę czerwono pomalowany topór wojny, błyszczący krwawo w blasku płomieni, zatoczył łuk nad głowami siedzących i z rozmachem wbił go w ziemię — wszyscy zerwali się z miejsc, wznosząc potężny okrzyk. Zapadła decyzja o wojnie.

W swoim przemówieniu Pontiak przedstawił również plan działania. Można by powiedzieć, że był on prosty: zjednoczyć plemiona

i zapewnić ich udział w wojnie, wyznaczyć jeden dzień równoczesnego ataku na wszystkie forty w zachodnich puszczech, zdobyć je i zniszczyć garnizony, a następnie całą siłą wszystkich plemion uderzyć na kolonie i wrzucić je do morza. Być może Pontiakowi światał jakiś plan zjednoczonego państwa indiańskiego, być może wyobrażał sobie, że po zwycięstwie nastąpi powrót do tradycyjnych form życia.

Plan ten rzeczywiście można streścić w dwóch zdaniach, lecz jego wykonanie wymagało olbrzymiej energii i siły, gdyż środki, jakimi rozporządzał Pontiak, były niezmiernie skromne i prymitywne. Plemiona, które chciał pozyskać dla swoich celów, mieszkaly na olbrzymich obszarach, równych obszarowi środkowej i zachodniej Europy. Jedyńm środkiem komunikacji były chyże kanu lub silne nogi gońca biegnącego tajemnymi ścieżkami przez puszcze. Przy najważniejszych i najbardziej dostępnych drogach wodnych stały forty Anglików, w wioskach indiańskich pętali się handlarze, w puszczech myszkowali traperzy. A jeżeli plan miał się powieść, Anglicy nie mogli się o niczym dowiedzieć.

Pontiak przede wszystkim ułożył przemówienie, które jego wysłańcy mieli wygłaszać w wioskach i obozowiskach.

„Bracia, należymy wszyscy do jednej rodziny; wszyscy jesteśmy dziećmi Wielkiego Ducha, wszyscy chodzimy po tej samej ścieżce i u tego samego źródła gasimy nasze pragnienie. Bracia, kiedy biali pierwszy raz dotknęli stopą naszej ziemi, nie mieli nic do jedzenia; nie mieli nawet miejsca na rozpalenie ogniska. Ojcowie nasi zlitowali się nad ich biedą i dobrowolnie podzielili się z nimi darami, które Wielki Duch dał swoim czerwonym dzieciom. Żywili przybyszów, kiedy ci przymierali głodem, darowali im ziemię, aby mogli polować i uprawiać kukurydzę. Bracia, biali podobni są jadowitym węzom. Kiedy kostnieją na zimnie, są słabi i nieszkodliwi, ale kiedy się ogrzeją i ożywią, kąsają swoich dobroczyńców. Biali byli słabi, kiedy do nas przybyli, a my sami zrobiliśmy ich silnymi. Chcą nas wybić albo wypędzić, jakbyśmy byli wilkami lub panterami. Bracia, biali ludzie nie są przyjaciółmi Indian. Z początku żądali tylko tyle ziemi, żeby móc na niej wybudować dom. Teraz żądają, aby im oddać wszystkie nasze tereny łowieckie od wschodu do zachodu słońca. Bracia, kiedy Wielki Duch stworzył ziemię,

dał białym ludziom ojczyznę po tamtej stronie Wielkiej Wody. Na tej tutaj ziemi namnożył zwierzyny i podarował swoim czerwonym dzieciom. Dał im też siłę i męstwo, aby mogły bronić swego kraju. Bracia, wiecie, że biali składają się z dwóch narodów. Najpierw przyszli Francuzi. Żyliśmy z nimi w zgodzie. Nie oszukiwali nas i jedli z nami z jednej misy. Potem dopiero zjawili się Czerwone Kubraki i ich krewni, Długie Noże. Przekroczyli oni góry, wybudowali forty i chcą nam wydrzeć nasze losy. Wypędzili Francuzów i teraz chcą nas wypędzić. Bracia, kim są biali, abyśmy się mieli ich obawiać? Nie potrafią oni szybko biegać i stanowią dobry cel dla naszych strzał. Są tylko ludźmi, a nasi ojcowie wielu z nich położyli trupem. Bracia, musimy się zjednoczyć, musimy palić tę samą fajkę, a każdy z nas winien bronić ziemi swojego sąsiada. Bracia, chcemy, abyście razem z nami podnieśli tomahawki. Bracia, kiedy się zjednoczymy, wówczas Wielki Duch zniszczy naszych wrogów i obdarzy znowu szczęściem swoje czerwone dzieci.” *

Wybrano posłów. W wigwamie rady Pontiak uczył ich słów przemówienia i uczył, jak należy je wygłaszać. A tymczasem jego żony i inne kobiety Ottawów przygotowywały pasy wampumów, na których zanotowana była treść przemówienia. Posłowie mieli je wręczyć wodzom wszystkich plemion i rodów wezwanych do udziału w wojnie. Były to czarne wampumy, witane w wioskach dreszczem podniecenia, nadzieją zdobyczy i sławy, zwiastujące pochody, walki i śmierć.

Jesień zapalała się w puszczy blaskiem wszystkich barw. Nastąpiły ciepłe dni „indiańskiego lata”. Z wioski Ottawów wyruszały posłańcy wielkiego sachema, niosąc głęboko ukryte czarne wampumy, czerwone tomahawki i tytoniowe liście w darze. Wyruszały nocami, skrycie, w mgłach porannych i wieczornych, ostrożnie jak łanie prowadzące młode do wodopoju. Goniec niosący wampum odpowiadał za jego doręczenie życiem i honorem. Jeżeli wampum wpadł w ręce wroga, wojownik okrywał się hańbą na zawsze.

Zaopatrzeni w zapasy pemikanu *, uzbrojeni w najlepszą broń,

Tekst przemówienia Pontliaka, przytoczony według książki Anny Jürgen pt. „Błękitny Ptak”, wydaje się wysoce prawdopodobny.

Pemikan — mięso suszone na słońcu, starte na proszek.

pouczeniu surowymi instrukcjami — najsilniejsi i nie znający zmęczenia Indianie rozbiegli się po ogromnych przestrzeniach Ameryki Północnej. Nocami po bystrych rzekach mknęły zwrotne kanu, prowadzone pewną ręką wojowników nie wiedzących, co to głód i przeszkody. Ścieżkami zagubionymi w puszczech dniem i nocą szły grupki posłów „indiańskim szeregiem”, szybko i w milczeniu, starając się nie zostawiać za sobą żadnych śladów, zatrzymując się tylko nad źródłami na krótkie posiłki, nie rozpalając ognisk i bacznie unikając spotkania z jakimkolwiek człowiekiem. Do źródeł Potomacu i Susquehanny, nad rzeką Mohawk i Św. Wawrzyńca, do puszczy nad zatoką Hudsona, na zachód od Jeziora Górnego i w dół potężnych rozlewów „Ojca Wód”, do plemion Muskongów w południowych Apalachach, wzdłuż całego dorzecza Ohio — nocami czy w żarze południowego słońca, w mgłach, burzach, ulewnych deszczach czy w wyziewach bagien — niestrudzeni, twardzi, przejęci ważnością swej misji przemykali wojownicy wielkiego wodza. Wokół fortów angielskich trzeba było przenosić kanu wiele kilometrów przez las, oczywiście nocą, lub prześlizgiwać się cicho wzdłuż ciemnych brzegów pod nawisłymi chojarami. W puszczy posłańcy pilnie badali ślady zwierząt i nasłuchiwali głosów ptaków, by się zorientować, czy nie ma w pobliżu ludzi. Jak duchy mknęli przez wielkie polany i trawiaste prerie.

Przez całą jesień Pontiak prowadził gorączkową akcję. Konspiracja zataczała coraz szersze kręgi. W domach rady, na polanach i w leśnych uroczyskach gromadziły się pstre kręgi pomalowanych wodzów, by słuchać przemówień posłów i wygłaszać zapalczywe mowy. Hasła padały na podatny grunt. Wszędzie podejmowano wojenne topory Ottawów, złowróźbne czarne wampumy i kawałki kory brzozonej z wizerunkami Czarnej Wydry. Wioska za wioską, ród za rodem, plemię za plemieniem odsyłały Pontiakowi wampum wyrażający gotowość wzięcia udziału w wojnie. Siatka czarnych wampumów oplatała puszcze.

Cały ten ruch był starannie ukryty przed Anglikami. Trzeba jednak przyznać, że bystre oczy amerykańskich traperów zauważały czasem podejrzaną grupę gońców, że nieraz, czatując na jeniec do późnej nocy nad wodopojami, dostrzegali oni kanu przemykające bezszelestnie i szybko, że kiwając domyślnie głowami,

rzucali w fortach i osiedlach słowa ostrzeżenia. Kupcy i handlarze czuli się nieswojo, patrząc, jak Indianie wykupują broń, amunicję i płacą każdą cenę, lecz z oczyma tak pełnymi nienawiści, że dreszcz przechodził po skórze. Ale po cóż właściwie niepokój? Zawsze jesienią, przed rozejściem się na łowy zimowe, Indianie kupują większe ilości strzelb i amunicji. Oficerowie w garnizonach wzruszali ramionami na przestrogi. Przecież Indianie zachowują się całkiem spokojnie, a że kręcą się nocami po puszczy? Cóż w tym dziwnego? Zawsze tak robią te dzikusy. Francuzów z Illinois i Luizjany Anglicy się nie obawiali, gdyż w Paryżu przygotowywano traktat pokojowy, który miał przypieczętować angielskie zdobycze. O działalności i agitacji osadników wiedzieli bardzo mało. W wiosce Pontiaka bawił Francuz z fortu Chartres znad Missisipi, a major Gladwyn, kolejny dowódca Detroit, nic o tym nie wiedział, mimo że mógł dostrzec wioskę Ottawów ze swej baszty.

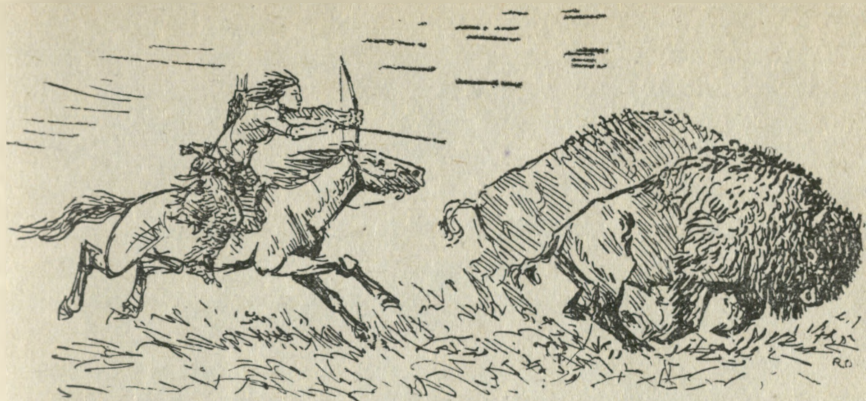
Wokół fortów wojownicy kręcili się jak zawsze, starając się zdobyć trochę wódki, perkalu, tytoniu czy prochu. Twarze ich były jak zawsze spokojne i nieprzeniknione niby maski z brązu. A jeśli czasem pijany metys bredził coś o angielskich skalpach, to nikt do tego nie przywiązywał znaczenia. Jednakże Kanadyjczycy wyczuwali, że coś wisi w powietrzu. Toteż kiedy w październiku 1762 roku nad Detroit i okolicami spadł czarny deszcz, wszyscy dopatrywali się w tym zapowiedzi jakichś klęsk. Nastąpiła zima i wojownicy rozprzyszyli się głęboko w lasach na polowania.



Narady i plany

Z ogromną niecierpliwością oczekiwał Pontiak wiosny 1763 roku. Jeszcze w ostępach leśnych leżały zaspy zlodowaciałego śniegu, jeszcze nie pękły brązowiejące pączki klonów i buków, a już jego posłańcy gnali ścieżkami przez lasy lub wiosłowali po wezbranych nurtach rzek. Wymijając kry na jeziorach północnych, wśród nagłych zadymek śnieżnych lub wiosennych ulew odwiedzali zimowe leża i wyszukiwali łowiska Wyandotów, Odżibwejów, Potawatomich, Menominich, Majamów, Kikapu, Seneków nad Ontario, Mohikanów, Delawarów, Szawanów oraz innych plemion, które wyraziły gotowość przystąpienia do wojny. Wieźli liście tytoniowe w darze i wezwanie do udziału w wielkiej radzie, na której miano ustalić ostateczny plan działań.

Około 20 kwietnia Pontiak wraz z żonami, dziećmi i gromadą Ottawów zjawił się nad brzegami rzeki Ecorse, zachodniego dopływu Detroit, o kilkanaście kilometrów na południe od fortu, w miejscu, które wyznaczył na naradę. Wiosna była już w pełni. Słońce wyczarowało jasną zieleń na ścianach lasów iglastych wzdłuż rzeki i wesoło błyszcząca biel kory brzozy, nadało złotawy odcień czerwonym i szarym pniom świerków i jodeł. Wódz wybrał miejsce na obozowisko. Była to rozległa polana, otoczona z jednej strony potężnymi dębami, z drugiej gęstym borem, ciągnącym się wiele kilometrów, aż do rzeki Detroit, a od rzeki Ecorse oddzielona tylko wąskim pasmem zarośli. Kobiety Pontiaka szybko wzniosły kopulaste wigwamy. W ciągu następnych dni ściągaly tu coraz nowe gromady i rody, grupki wodzów i znaczniejszych wojowników z wszystkich wezwanych plemion, aż wreszcie polana zapełniła



się gęsto postawionymi chatkami, szałasami i namiotami z mat, skór i kory.

Pontiak spędzał czas w wigwamie, pograżony głęboko w myślach. Obozowisko wrzało zwykłym życiem indiańskich wiosek. Kobiety łowiły ryby, gotowały strawę, szyły i naprawiały ubrania, dzieci bawiły się w słońcu na skraju lasu. Wojownicy spędzali czas na łowach, grach lub opowiadaniach. Wybrani i pouczeni przez Pontiaka wodzowie czuwali nad porządkiem w obozie. Niełatwe to było zadanie. Wszak spotykały się tu plemiona i rody od dawna zwaśnione i widok skalpów wiszących u pasa czy przed wigwamem jakiegoś Odżibweja mógł przypomnieć Irokezowi, że jest to skalp jego ojca lub brata, i przytłumioną niechęć rozpalić w biały płomień nienawiści. Jak wszystkie ludy pierwotne, tak i Indianie w nagłym porywie gniewu mogli w każdej chwili zapomnieć o wielkich celach przyszłości i plac wspólnej rady zamienić nagle w pobojowisko. Tak więc „policja obozowa” pilnie baczyła, by nie rozległ się zniecacka przeraźliwy okrzyk wojenny i nie błysnęły noże w nagłej bójce. Po obozie krążył jednak wyniosły i posepny wódz — Pontiak. Wojownicy z szacunkiem usuwali mu się z drogi, kiedy otulony w płaszcz kroczył z godnością wśród wigwamów, i nikt nie ważył się zapominać o jego zaleceniach.

Wreszcie przybyli reprezentanci najodleglejszych nawet lu-

dów. 27 kwietnia heroldowie Pontiaka od rana przebiegali obóz, zwołując donośnym głosem na naradę. Po południu pod wielkimi dębami rozpalono ognisko, a wokół niego w wielkim kręgu zebrał się wojownicy. Wysocy, prawie nadzy Odzibwejowie, z łukami i kołczanami na plecach, z lekkimi maczugami u pasów, siedzieli obok otulonych w koce Ottawów, dalej Wyandoci z pękami piór we włosach, w skórzanych malowanych koszulach i ozdobnych leginach, Winnebagowie w skórach bizonów upolowanych na zachodnich preriach, smukli i niespokojni, ponurzy Szawanowie obok łagodnych Delawarów. Wielka, ozdobna fajka w milczeniu krążyła wśród zebranych. Następnie Pontiak podniósł się i stanął pośrodku koła, pomalowany, w pełnym wojennym stroju. Przez chwilę patrzył na barwny krąg słuchaczy, a potem zaczął przemawiać głosem głębokim, pełnym hamowanych namiętności i żaru. Mowa ta, zanotowana w kronikach, jest uważana za jedno ze szczytowych osiągnięć indiańskiego kunsztu oratorskiego.

Pontiak rozpoczął od przedstawienia niesprawiedliwości, zaborczości, brutalności i chciwości Anglików zagarniających odwieczne ziemie Indian i tępiących zwierzynę, która jest podstawą ich utrzymania. Spokojny, opanowany głos podnosił się, nabrzmiewał pasją i nienawiścią, kiedy wódz mówił o doznawanych upokorzeniach i pogardzie, z jaką Anglicy odnoszą się do czerwono-skórych wojowników. Wypędzenie Francuzów było początkiem ostatecznej rozprawy z Indianami, którzy nie mogą teraz spać spokojnie, gdyż nie wiedzą, kiedy angielskie garnizony napadną na ich wioski. Lecz oto Francuzi zamierzają znowu rozpocząć wojnę. Król Francji obudził się z długiego snu i dowiedziawszy się o utracie Kanady, wysłał wielkie wojenne kanu i wielką armię, by zniszczyć Anglików. Pontiak pokazał otrzymany od króla Francji wampum, wzywający Indian do pomocy. Indianie i Francuzi zawsze byli braćmi i teraz znowu będą walczyć ramie przy ramieniu, jak w poprzednich wojnach. Pontiak przypomniał zasadzkę, w której żołnierzy Braddocka wystrzelano jak gołębie.

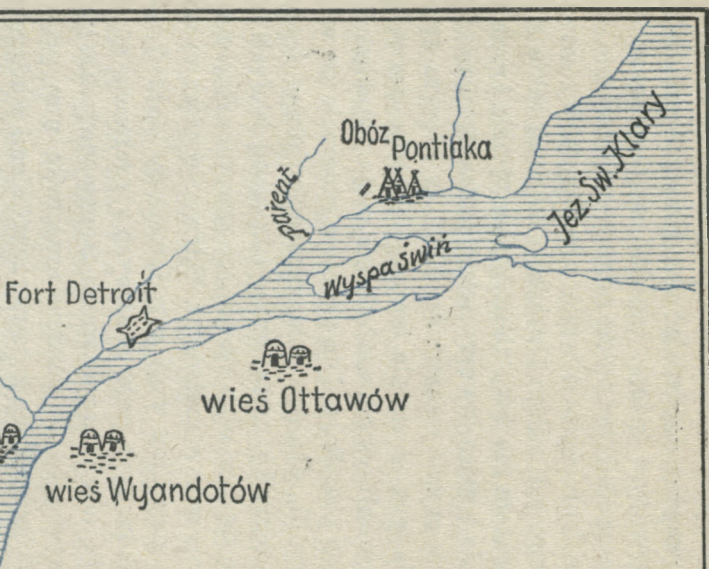
Namiętne akcenty nienawiści i gwałtowna gestykulacja mówcy rozpałały w audytorium gniew i żądzę walki. Głuche okrzyki przytakiwały słowom Pontiaka. Wtedy przeszedł on do dalszej części swej dobrze przemyślanej mowy. Cóż pozostaje ludom

puszczy? Sam Wielki Duch udziela im na to pytanie odpowiedzi i wskazuje, co mają czynić. Tu Pontiak przytoczył słowa proroka Delawarów, który pragnąc dowiedzieć się, jaką przyszłość Wielki Duch gotuje czerwonym ludom, zagłębił się w puszcę i tam w odludnym miejscu modlił się i pościł prosząc o objawienie. Mówca szczegółowo opisał przeżycia i wizje proroka, który wreszcie stanął twarzą w twarz z Wielkim Duchem i usłyszał takie słowa: „Ja jestem stwórcykiem niebios i ziemi, drzew, jezior i rzek oraz wszystkich rzeczy. Ja jestem stwórcykiem ludzkości i ponieważ was kocham, musicie czynić moją wolę. Kraj, w którym żyjecie, stworzony został dla was, a nie dla innych. Dlaczego pozwalacie, aby biali ludzie mieszkali wśród was? Dzieci moje, zapomnieliście o obyczajach waszych przodków. Dlaczego nie ubieracie się w skóry, tak jak oni czynili, dlaczego nie używacie łuków i strzał, jak oni? Kupujecie strzelby, noże, kotły i koce od białych ludzi i teraz nie możecie się bez nich obejść, co gorsza, pijecie wodę ognistą, która zmienia was w szaleńców. Odrzućcie precz to wszystko i żyćcie tak mądrze, jak wasi przodkowie żyli przed wami. A co się tyczy Anglików, tych psów odzianych w czerwone mundury, którzy przyszl tu, aby rabować wasze tereny łowieckie i przepędzać waszą zwierzynę — to musicie przeciwko nim podnieść wasze tomahawki. Zetrzyjcie ich z powierzchni ziemi, a odzyskacie znowu moją łaskę i będziecie żyli szczęśliwie, w pomyślności. Dzieci moje, król Francji nie jest taki, jak Anglicy. Nie zapominajcie nigdy, że Francuzi są waszymi braćmi. Są mi drodzy, gdyż kochają moje czerwone dzieci i rozumieją, jak należy mnie czcić”.

Następnie Pontiak przedstawił swój plan wojenny. Wszystkie plemiona, wracając z łowisk zimowych, zgromadzą się wokół fortów. Nie powinno to wzbudzić podejrzeń, gdyż co roku Indianie przychodzą wiosną do fortów, aby sprzedać swoje futra i skóry, uzupełnić zapasy. Potem, jeszcze w maju, zaatakują je nagle, a po zniszczeniu garnizonów wspólną siłą uderzą na osiedla.

Wiele jeszcze mów zostało ogłoszonych na tej naradzie, lecz nikt nie spisał ich treści. Wiadomo jednak, że wszyscy mówcy zaaprobowali plan Pontiaka. Ustalono czas potrzebny do przygotowania ataku na forty i w przybliżeniu daty uderzeń. Wysoki autorytet

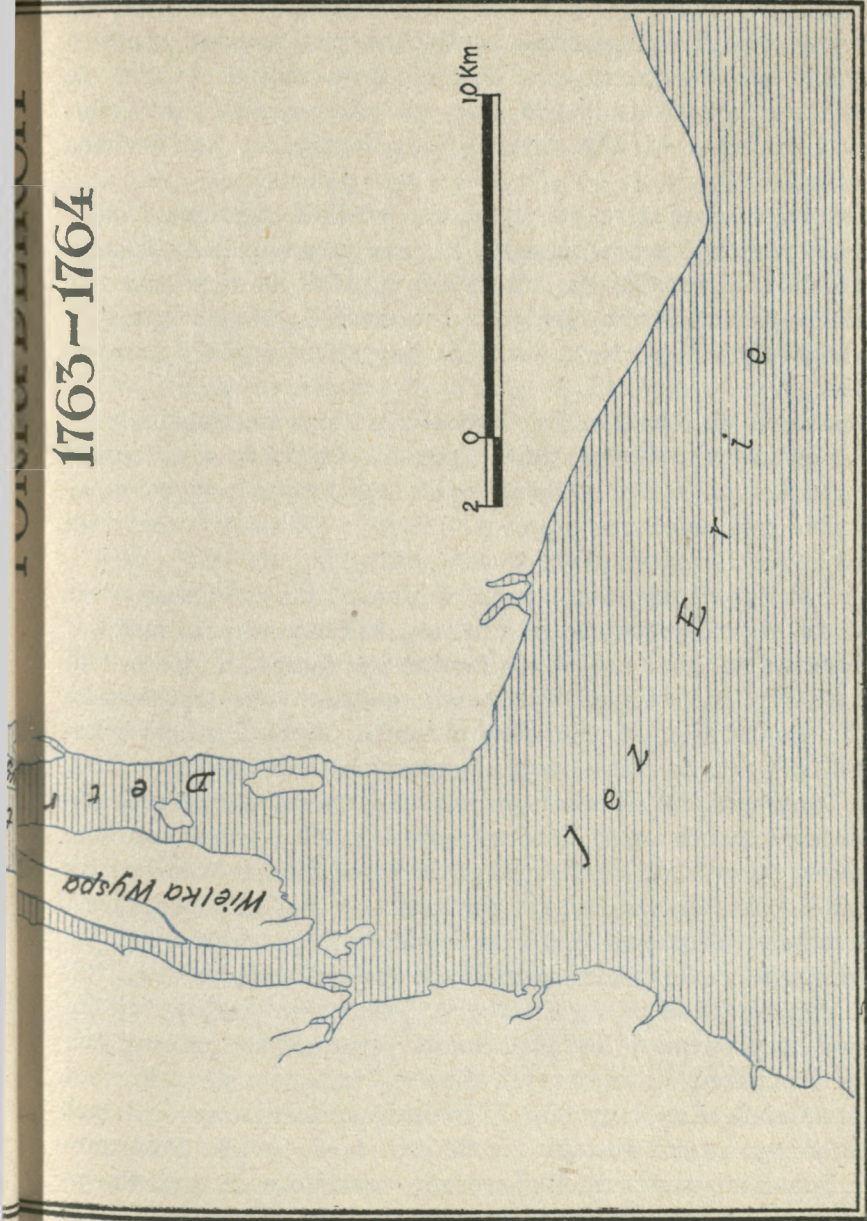




FORT DETROIT

1761

1763-1764



sachema Ottawów i pełna płomiennej pasji jego sztuka wymowy odniosły całkowite zwycięstwo. Plemiona miały wrócić z łowisk do swych wiosek i nieznacznie skupić się pod fortami, a potem zdobyć je siłą lub podstępem. Pontiak zapowiedział również, że wejdzie do fortu Detroit pod pozorem odtąnczenia tańca kalumetu, czyli tańca ku czci fajki pokoju, i przy tej okazji zbada siłę załogi.

Wieczorem narada zakończyła się wielkim, dzikim, różnie brzmiącym okrzykiem wojennym i zaraz potem kobiety zaczęły zwijać obozowisko. Gdy zapadł zmierzch, ostatnie kanu zniknęło w cieniu nadbrzeżnych krzaków i ostatnie gromady pieszych pochłonał mrok lasu. Na polanie zostały tylko popioły licznych ognisk.

W następnych dniach wioski Ottawów, Potawatomich i Wyandotów, położone w okolicy fortu Detroit, wypełniły się pracowitymi gromadami kobiet zarządzających wigwamy i przygotowujących pola pod wiosenne uprawy. Liczni wojownicy zajęci byli jednak zupełnie innymi przygotowaniem.

Jak każdej wiosny, tak i teraz w dniu 2 maja Pontiak wraz z czterdziestoma wojownikami udał się do fortu, aby po zimowej nieobecności odnowić znajomość i odtąńczyć taniec kalumetu. Major Gładwyn po pewnych wahaniach zgodził się na wpuszczenie watahy nie uzbrojonych Indian za palisady. Gdyby Pontiak wykorzystał tę okazję do ataku, wojna przybrałaby zupełnie inny obrót. Wódz jednak działał ostrożnie i traktował taniec tylko jako okazję do rozpoznania sił wroga. Podczas gdy Pontiak i trzydziestu wojowników tańczyli na niewielkim placu przed domem komendanta, pozostali Indianie rozeszli się po zaułkach i uliczkach Detroit. Zgromadzeni oficerowie i żołnierze patrzyli na dziki rytm indiańskiego tańca i słuchali gardłowych pieśni sławiących bohaterские, nieporównane czyny Ottawów. Tymczasem wojownicy indiańscy liczyli armaty, oglądali kwatery, starali się policzyć żołnierzy i uzyskać od znajomych Kanadyjczyków inne potrzebne informacje. Skończywszy taniec, Indianie spokojnie opuścili fort.

Następnego ranka Pontiak zwołał naradę do wioski Potawatomich. Ponad stu wojowników i wodzów zasiadło w dużym wigwamie z kory wokół ogniska. Liczne posterunki zabezpieczyły ze-

branych przed niepożądanymi oczyma. Na tej naradzie Pontiak przedstawił typowo indiański plan zdobycia Detroit. Wiedział on, że gdyby wezwał wojowników do otwartego szturm na fort, nikt by za nim nie poszedł. Co więcej, jeszcze tego samego dnia przestałby być wodzem jako człowiek, któremu Wielki Duch odebrał rozum. Toteż plan jego był podstępny. Oto — proponował — pojutrze wraz z gromadą wodzów pójdzie do fortu i zażąda rozmowy z komendantem. Wokół fortu zgromadzą się wojownicy. Pontiak i jego towarzysze ukryją broń pod płaszczami ze skóry i kocami. W czasie rozmowy wręczy majorowi zielony wampum pokoju, poda go jednak w sposób odwrotny niż zazwyczaj, muszelkami w dół. Na ten znak jego towarzysze zastrzelą oficerów i rzucają się na załogę. Na odgłos strzelaniny wojownicy z zewnątrz wpadną do fortu na nieprzygotowanych żołnierzy. W ten sposób zniszczą zaskoczony garnizon i wymordują wszystkich Anglików. Natomiast mienie, domy i życie francuskich mieszkańców fortu i osady pod nim mają pozostać nietknięte.

Plan Pontiaka przyjęto z uznaniem. Po jego mowie podniosły się głośnie okrzyki podziwu, po czym wodzowie i wojownicy rozbiegli się do wiosek, aby poczynić ostatnie przygotowania. Podobne narady odbywały się w wielu osiedlach indiańskich na całym obszarze objętym konspiracją.

Prawie wszystkie kolonie angielskie pozbawione były w tym czasie większych sił zbrojnych. Armia, która podbiła Kanadę, została zdemobilizowana lub przeniesiona do innych części imperium, a wojska lokalne (provincials) rozpuszczone. W fortach na zachodzie stacjonowało łącznie kilkuset żołnierzy — liczba śmiesznie mała jak na tak wielki obszar. W niektórych fortach w głębi puszczy było zaledwie po kilkudziesięciu żołnierzy, rzadko do pięćdziesięciu. Jedynie w Detroit było około stu czterdziestu ludzi i w forcie Pitt około trzystu. Na granicach osiedli pełniło służbę kilkuset żołnierzy, a w Kanadzie też nie więcej. Na czele tych słabych sił stał sir Jeffrey Amherst. Dowodził on armią angielską w czasie wojny siedmioletniej i był w niej ostatnim naczelnym wodzem na ziemi amerykańskiej. Niektórzy historycy charakteryzują go jako żołnierza zdecydowanego, energicznego i przewidującego, umiejącego natchnąć podwładnych zapalem.

Z drugiej strony miał on jednak wszystkie cechy angielskiego arystokraty, patrzącego z góry na kolonistów, a coś dopiero na Indian. Właśnie to niedocenywanie Indian jako ewentualnego przeciwnika spowodowało prawie zupełne pozbawienie Ameryki sił wojskowych i ciężkie klęski kolonistów w pierwszym okresie wojny.

1 lutego 1763 roku zawarty został w Paryżu traktat pokojowy z Francją, na mocy którego Anglia przejęła wszystkie posiadłości francuskie w Ameryce na wschód od Missisipi. Rząd angielski, chcąc zachować dobre stosunki z Indianami, wyznaczył dorzecze Ohio jako teren, na którym nie wolno osiedlać się kolonistom. Jednakże proklamacja ta przyszła za późno, a ponadto przedsiębiorczy *backwoodsmen* zwracali diabelnie mało uwagi na rządowe deklaracje. Po zawarciu pokoju z Francją Anglicy czuli się w Ameryce Północnej całkowicie bezpieczni. Któż bowiem mógł im zagrozić, Indianie? „Indianin buntujący się przeciwko nam jest w moich oczach komiczną figurą” — oświadczył generał Amherst, gdy doszły go pierwsze wieści o spiskach w latach 1761—2. Nikt nie sądził, że „wojna króla Filipa” * może się powtórzyć.

Toteż kiedy w puszczech rozlegał się głos bębnów, a wokół czerwono pomalowanych słupów tańczyli fantystycznie pomalowani i przystrojeni wojownicy gotując się do wielkiej wojny — w garnizonach i osiedlach życie płynęło zwykłą falą codziennych zajęć.

Patrz wstęp.



Zdrada

Wokół założonego w roku 1701 fortu Detroit po obu stronach rzeki rozrastało się osiedle. Równoległe do rzeki ciągnęły się drogi, przy których stały domki osadników, a za nimi sady, pola uprawne i ogrodzone pastwiska. W roku 1760, kiedy Rogers rozbroił załogę francuską, osiedle liczyło około 2 500 mieszkańców. Graniczyły z nim trzy wioski indiańskie: Ottawów, Potawatomich i Wyandotów. Indianie żyli z kanadyjskimi Francuzami w najlepszej zgodzie.

Fort był otoczony palisadą wysokości około siedmiu metrów. Wewnątrz mieściło się około stu małych drewnianych domków, o dachach z kory lub trawy. Na wszystkich rogach palisady znajdowały się bastiony zbudowane z bierwion i uzbrojone w armatki. Fort, leżący nad samą rzeką, posiadał dwie bramy: lądową i wodną, bronione przez specjalne wieże. Przed bramą wodną urządzono mały port, w którym stały na kotwicy dwa szkunery z armatkami na pokładzie.

Wewnątrz fortu oprócz domków mieszkalnych znajdował się dom komendy, baraki dla żołnierzy, sklepy handlarzy i mały kościółek. Uliczki były bardzo wąskie. Tylko między domami i palisadą zostawiono szerokie przejście — „chemin de la ronde” * — dla wart i żołnierzy broniących fortu. Było to osiedle żyjące własnym życiem, odcięte od świata, gdzie rzadko zawijały łodzie z zapasami dla wojska, łodzie handlarzy, kanu gońców przywożących listy. Wtedy dowiadywano się, co się dzieje w świecie. Kanadyjczycy zresztą troszczyli się o to bardzo mało i żyli prawie tak, jak ich indiańscy sąsiedzi.

Chemin de la ronde (franc.) — droga okólna, droga warty.

W roku 1763 garnizon liczył około stu czterdziestu oficerów i żołnierzy. Załogę uzupełniali handlarze i ich *engagés*, tj. przewodnicy i pomocnicy, którzy byli jednocześnie myśliwymi znającymi świetnie metody walk w puszczy. Razem było ich wtedy w forcie około czterdziestu. Rzeka Detroit osiągała tu blisko osiemset metrów szerokości i armatki fortu mogły ją zamknąć w każdej chwili.

Dnia 5 maja tego pamiętnego roku ostrzegano Gładwyna, że Indianie knują coś niedobrego. Żona Kanadyjczyka St. Aubin, która poszła do wioski Ottawów, aby kupić mięsa, zobaczyła wojowników obcinających pilnikami lufy strzelb. Wróciwszy opowiedziała o tym sąsiadom i wtedy kowal przypomniał sobie, że Indianie pożyczali u niego pilniki i inne narzędzia, nie podając powodu. Wielu Francuzów zapewne dobrze wiedziało, o co chodzi, lecz milczeli ciesząc się, że Anglicy będą mieli kłopoty. Znalazł się przecież bogaty osadnik Gouin, który poszedł do Gładwyna i ostrzegł go przed groźącym niebezpieczeństwem. Major zlekceważył jego słowa.

Wieczorem jednak zmienił zdanie. Otrzymał bowiem dokładne informacje o zamiarach Pontiaaka i wynikach narady w wiosce Potawatomich. Żyła tam pewna dziewczyna indiańska, prawdopodobnie z plemienia Odżibwejów, nawrócona przez jezuitę Pothier i ochrzczona imieniem Katarzyna. Wyróżniała się ona urodą spośród innych dziewcząt indiańskich i kiedy przynosiła do fortu mokasyny i skóry na sprzedaż, major zwrócił na nią uwagę. Nawiązał się romans. Gdy Katarzyna dowiedziała się o wynikach narady i planach Pontiaaka, pełna lęku o los ukochanego zjawiała się w forcie pod pozorem sprzedaży mokasynów i po długich wahaniach opowiedziała majorowi, co słyszała. Wtedy Gładwyn przypomniał sobie ostrzeżenie Gouina. Podziękował swej miłej, obdarował ją hojnie i odesłał do wioski, zalecając milczenie.

Majorowi nie brakło odwagi i zdolności decyzji. Natychmiast zwołał oficerów na odprawę i wydał związane rozkazy. Zarządził pogotowie, kazał zdwoić posterunki w wieżach i bastionach, a poło-

wie garnizonu czuwać na zmianę pod bronią. Żołnierze, którym nie powiedziano o przyczynach tych posunięć, dziwili się widząc, jak często oficerowie sprawdzają posterunki, a major do późna stoi na dachu wieży, nasłuchując i patrząc w ciemną noc, skąd wiatr przynosił odgłosy bębna i śpiewów.

7 maja o świcie mgła legła nad rzeką gęstym tumanem, lecz w słońcu rozproszyła się szybko. Indianie wykorzystali ten czas, by zebrać się na placu pod palisadami fortu. Gromadzili się tu wojownicy, kobiety i dzieci kręcąc się niespokojnie i jakby przygotowując się do zabawy. Nagle na drodze wiodącej wzdłuż zachodniego brzegu rzeki do bramy lądowej fortu ukazał się Pontiak, a za nim w „indiańskim szeregu” sześćdziesięciu wodzów i wojowników szczelnie otulonych kocami lub płaszczami ze skór. Twarze pomalowane mieli w czarne, czerwone i białe kreski, długie włosy powiązane w czuby i ozdobione piórami orłów i kruków. Od wysokich, muskularnych i smukłych postaci biła dzika siła. Zbliżywszy się do bramy, Pontiak krzyknął do wartownika, że przychodzą do komendanta w ważnej sprawie. Uprzedzony przez majora strażnik uchylił bramę i orszak indiański wszedł do fortu.

Gdy wódz znalazł się za bramą, okrzyk zdziwienia zamarł na jego ustach. W uliczce dwoma szeregami stali żołnierze w pełnym rynsztunku, z muszkietami u nogi. Bagnety błyszczały w słońcu. Angielscy handlarze futer i ich kanadyjscy *engagés* stali w bramach swych domów uzbrojeni po zęby. Gdzieś w głębi fortu miarowo biły wojskowe bębny.

Pontiak opanował się natychmiast i z podniesioną głową, z twarzą jakby zastygłą kroczył szpalerem żołnierzy powoli, majestatycznie, a za nim jego gromada, nie zdradzając niczym zaskoczenia. Natychmiast zatrzaśnięto za nimi bramę. Jej stuk ostatecznie uświadomił Pontiak, że plan jego został zdradzony; bramy bowiem nigdy nie zamykano w dzień. Wódz Ottawów niewzruszenie szedł do domu komendanta, widząc wszędzie zbrojnych żołnierzy, obsadzone baszty i armatki gotowe do strzału.

Gladwyn czekał na nich otoczony przez oficerów w pełnym uzbrojeniu z pistoletami i szpadami u pasa. Tak zaczęła się dramatyczna rozmowa, pierwsza klęska Pontiak, a w nie rozpoczętej jeszcze wojnie. „Dlaczego widzę żołnierzy naszych ojców, sto-



jących na ulicach z bronią?” — zapytał wódz. Kanadyjczyk La Butte tłumaczył jego słowa. Gładwyn odpowiedział, że wojsko stoi pod bronią, ponieważ jest to dzień jego ćwiczeń. Wówczas wodzowie usiedli, a po dłuższym milczeniu, wymaganym przez indiański obyczaj, Pontiak wstał, aby wygłosić przemówienie. Sprzeczne uczucia miotaly jego duszą. Zdawał sobie sprawę z przegranej partii. Mimo to jednak zaczął od zapewnienia Anglików o przyjaźni. Przyszedł tu wraz z wodzami, aby wypalić fajkę pokoju i umocnić łańcuch łączący ludy Ottawów z angielskimi ojcami. W rękę trzymał zielony wampum, który na zakończenie przemówienia miał wręczyć majorowi w sposób odwrotny niż zazwyczaj, dając tym sygnał do ataku. Siedzący na ziemi wojownicy z głębokim niepokojem w sercach, lecz z kamiennymi twarzami oczekiwali, co uczyni wódz: czy poda wampum w sposób ustalony obyczajem, czy też da znak do walki. Każdy wiedział, że atak byłby samobójstwem. Pontiak wiedział to równie dobrze. Toteż wyciągnął rękę, trzymając wampum w zwykłej pozycji. Gładwyn jednak gwałtownym ruchem wyrwał szpadę i uderzył nią w wampum, odrzucając go na bok. Oficerowie dobyli pistoletów i wymierzili je w Indian, a do izby wpadli żołnierze z muszkietami gotowymi do strzału.

W raporcie do generała Amhersta Gladwyn napisał później, że nie znając planów Indian, ostrzegł ich przed podejmowaniem jakichkolwiek prób napaści i zapewnił, że póki będą się zachowywać spokojnie, mogą liczyć na jego przyjaźń, po czym Pontiak i wodzowie wyszli spokojnie z fortu. Jednakże raport ten został sporządzony 14 maja, a więc w tydzień po owym zajściu, kiedy działania wojenne były już w pełnym toku, a Gladwyn spodziewał się zarzutów, że mając w ręku Pontiaka i sześćdziesięciu wodzów, mógł ich zatrzymać i nie dopuścić do wybuchu wojny.

Inne źródła przedstawiają tę scenę inaczej. Mianowicie Gladwyn, odrzuciwszy wampum, zerwał płaszcz z Pontiaka, a odsłaniając ukrytą pod nim broń, zarzucił mu zdradę i polecił opuścić fort. Pontiak natomiast ciągle zapewniał o przyjaźni i oświadczył, że za kilka dni powróci ze swoją rodziną, aby uścisnąć ręce oficerów. Gladwyn jednak kazał natychmiast wyprowadzić Indian za bramę. Pobity i wściekły wrócił wódz do swego obozu. Po dwóch dniach próbował jeszcze raz wejść do fortu pod pozorem pertraktacji, lecz major nie wpuszczał już teraz nikogo.

Tak więc 9 maja Pontiak ostatecznie zrzucił maskę — zgromadzeni pod fortem wojownicy Ottawów wpadli do nielicznych domów brytyjskich osadników i wymordowali ich, pokazując załodze krwawe skalpy. Żołnierze odpowiedzieli strzałami. Zaczęło się oblężenie fortu. Pontiak rozkazał przenieść wioskę na zachodni brzeg rzeki i tu, w nowym obozie nad Parent River, odtąnczono taniec wojenny, po czym w ciągu nocy wojownicy otoczyli fort. Następnego dnia zwabiono do zasadzki nad Jeziorem Św. Klary i zastrzelono dwóch oficerów angielskich wracających z północy.

Załoga fortu trwała nieustannie w pogotowiu. Garnizon czuwał całą noc, która przeszła spokojnie. Ledwie jednak świt począł szarzyć od wschodu nieba, z wszystkich stron rozległ się wściekły okrzyk wojenny i ciemne, nagie postacie rzuciły się ku palisadom. Jednocześnie zasypano strzałami baszty, wieże i strzelnice. Załoga natychmiast odpowiedziała ogniem. Indianie jednak nie przystąpili do generalnego szturm, nękając tylko oblężonych pozorowanymi atakami. W czasie tej strzelaniny pięciu żołnierzy odniosło rany. Przez cały dzień, ukryci za płotami, krzakami, w tra-

wach, za kamieniami i drzewami, czatowali wojownicy wokół palisad, strzelając i wznosząc okrzyki.

Po południu strzelanina ucichła. Gładwyn wciąż jeszcze myślał, że chodzi tu o jakiś wybuch niezadowolenia w wioskach pod Detroit, i dlatego zamierzał rozpocząć z Pontakiem rozmowy, aby skłonić go do zaprzestania walki. Ponadto fort był prawie zupełnie pozbawiony żywności i major chciał wykorzystać zawieszenie broni dla uzupełnienia zapasów. Wysłał więc tego popołudnia dwóch Kanadyjczyków wraz z tłumaczem La Butte do kwatery Pontiaka.

Wódz przyjął ich z wielką uprzejmością i choć twarz jego pozostała nieprzenikniona, wyraził zgodę na wszystkie propozycje. La Butte uradowany wrócił do fortu, donosząc Gładwynowi, że Pontiak gotów jest złożyć broń i oczekuje jego wysłańców. Wśród oficerów zdania były podzielone. Major nie dowierzał Indianom i spodziewał się podstępny. Natomiast zastępca jego, major Campbell, poprzedni dowódca fortu — stary żołnierz, który wiele lat spędził w puszczy — przekonany, że dojdzie do porozumienia, uprosił go o zgodę na wyjście z fortu i rozpoczęcie rozmów. Po długich debatach major Campbell wraz z porucznikiem Mac Dougalem w otoczeniu kilku Francuzów udali się do obozu Pontiaka. Po drodze spotkali paru Kanadyjczyków, którzy usilnie doradzali im wrócić za palisady. Campbell jednak uparł się, że doprowadzi do zakończenia działań wojennych.

Zgoda wyrażona przez Pontiaka była rzeczywiście podstępem. Rozmowy nie dały rezultatu, a obaj oficerowie zostali zatrzymani przez Indian jako zakładnicy. Wódz umieścił ich w domu osadnika Meloche, gdzie pozostali pod strażą aż do smutnego końca.

Generał Amherst w liście z 22 czerwca surowo skarcił Gładwyna, że pozwolił oficerom wyjść z fortu.



Obleżenie Detroit

Następnego dnia do obozu Pontiaka nadciągnęły z północy pierwsze gromady Odżibwejów mieszkających nad zatoką Saginaw, na zachodnim brzegu jeziora Huron. Również i nawróceni przez jezuitę Pothier Wyandoci po pewnych wahaniach zdecydowali się przystąpić do wojny. Jak wszyscy nawróceni Indianie, tak i oni bardzo szybko zapomnieli o swoim chrześcijaństwie. Pontiak rozpoczął regularne obleżenie. Rzeka została zamknięta zasadzką poniżej fortu; wokół ukryci byli najlepsi strzelcy; inni wojownicy wciąż przebiegali pod palisadami, aby wywabić żołnierzy zza osłony. Przez cały dzień i noc nękano załogę strzałami i dzikimi okrzykami.

Nastroje w forcie były ponure. Zapasy mogły wystarczyć za ledwie na trzy tygodnie, a nie było nadziei na pomoc w tak krótkim czasie. Jak informuje list jednego z oficerów, na naradzie zwołanej w drugim dniu obleżenia tylko Gładwyn wyrażał zdanie, że należy się bronić, wszyscy inni doradzali ewakuację fortu i przebiecie się na wschód, do fortu Niagara położonego nad wodospadami. Komendant jednak zdecydował, że należy utrzymać się w forcie, dopóki to jest możliwe, i skupiając tu siły Indian, nie dopuścić do ich marszu na wschód. W domach mieszkańców fortu przeprowadzono rewizję i skonfiskowano wszystkie zapasy żywności, gromadząc je w jednym magazynie. Bez pomocy Kanadyjczyka Baby, mieszkającego po drugiej stronie rzeki, naprzeciw bramy wodnej, załoga zostałaby jednak z pewnością wygłodzona. Z zagrody jego co noc transportowano przez rzekę krowy, świnie i zboże, dopóki Indianie nie dowiedzieli się o tym. Obleżenie przeciągało się. Co noc, nawet podczas deszczowej pogody, oficerowie,

żołnierze i *engagés* spali pod palisadami z bronią w rękę, gotowi do odparcia ataku. Urządzano częste wypadki dla oczyszczenia przedpola i palono budynki, pod osłoną których Indianie podkradali się do palisad. Dla ochrony przed pożarami ustawiono wszędzie beczki z wodą. Dużą pomocą dla oblężonych były szkunery, które żeglowały po rzece, ostrzeliwując z armatek obóz Indian i skupiska wojowników. Wkrótce po rozpoczęciu działań wojennych Gładwyn wysłał większy szkuner do fortu Niagara, przesyłając dokładne raporty i prosząc o szybką pomoc. U wejścia na jezioro Erie szkuner został zaskoczony przez flotyllę licznych kanu, lecz pomyślny wiatr pozwolił mu wymknąć się z opresji bez walki. Tą drogą oblężeni otrzymali pierwszą pomoc.

Pontiak również rozwinął energiczną działalność. Jest to jedyny wypadek w dziejach wojen indiańskich, że jednemu wodzowi udało się utrzymać „stałą armię”, złożoną z wojowników różnych plemion, oblegać miesiącami fort i jednocześnie kierować wojną na dużym obszarze. Widząc, że indiańska taktyka jest przy oblężeniu bezskuteczna, starał się pozyskać pomoc Francuzów i nauczyć się od nich europejskiej sztuki oblegania. Jednakże ciemni osadnicy, żyjący w puszczy i odcięci od cywilizacji, nie mogli mu udzielić żadnej pomocy.

Do obozu Pontiaka, ukrytego w lasach na zachodnim brzegu rzeki, przybywały ciągle nowe gromady wojowników. Zwłaszcza po pierwszych zwycięstwach i po zdobyciu licznych fortów w puszczy ciągle wzrastała liczba wojowników oblegających Detroit, przyprowadzano coraz nowych jeńców. Miało to strony dodatnie, lecz także wiele ujemnych. Indianom szybko zabrakło żywności, wobec czego nachodzili domy Kanadyjczyków, prosząc o zapasy lub zabierając je gwałtem. Wtedy to osadnicy wysłali do Pontiaka delegację z prośbą o położeniu kresu tym napaściom.

Wódz Ottawów żywił ciągle nadzieję, że Francuzi go poprą i chwycą sami za broń. Toteż na wieść o delegacji francuskiej zwołał wodzów na wielką naradę i tu osadnicy przedstawili swoje skargi, grożąc, że jeżeli wróca wojska francuskie, to upomną się o ich krzywdy. Pontiak wysłuchał spokojnie delegatów, po czym w odpowiedzi wygłosił następującą mowę, zanotowaną przez jednego z uczestników narady: „Bracia, nigdy nie chcieliśmy czynić wam

krzywdy ani pozwolić, by ktokolwiek wam ją czynił; lecz między nami jest wielu młodych wojowników, którzy — chociaż pilnowani — znajdują okazję do czynienia zła. Rozpoczęliśmy wojnę, aby pomścić nie tylko nasze krzywdy, ale także i wasze. Kiedy Anglicy nas obrażali, obrażali także was. My wiemy, że zabrali wam broń i kazali podpisać papier, który odesłali do domu, i zostawili was bezbronnych. Teraz ja chcę zniszczyć Anglików, lecz nie podnoszę ręki na was. Nie znacie wszystkich powodów naszej wojny. Powiedziałem wam tylko to, co was dotyczy. Przyjdzie czas, że dowiecie się wszystkiego, i wtedy przestaniecie mnie uważać za szaleńca. Wiem, że między wami jest wielu, którzy sprzyjają Anglikom. Żałuję ich, gdyż — kiedy nasi ojcowie wrócą — wskażą ich im, a wtedy zobaczycie, co się z nimi stanie.

Nie wątpię, bracia, że ta wojna jest dla was bardzo uciążliwa, że nasi wojownicy ciągle przechodzą przez wasze osady. Bardzo wam współczuję i nie zgadzam się z tym, aby wam czyniono szkody. A jako dowód przypomnijcie sobie wojnę z Foxami i mój udział w niej. Przed siedemnastu laty Odżibwejowie z Michillimackinac wraz z Foxami i Saukami przyszli tu, by was zniszczyć. Któż was wtedy bronił? Czyż nie ja i moi młodzi wojownicy? Mickinac, wielki wódz tych ludów, powiedział wtedy, że zaniesie do swej wsi głowę waszego komendanta, wydrze jego serce i będzie pił jego krew. A któż stanął w waszej obronie? Czyż nie poszedłem do jego obozu i nie powiedziałem mu, że najpierw musi zabić mnie i moich wojowników? Czyż nie pomogłem wam wtedy ich przepędzić? A teraz myślicie, że ja zamierzam podnieść broń przeciwko wam? Nie, moi bracia. Ja jestem ten sam francuski Pontiak, co przed siedemnastu laty. Jestem Francuzem i chcę umrzeć Francuzem. Powtarzam wam, że my i wy jesteśmy tym samym. Nie proszę was o pomoc, ponieważ nie leży to w waszej mocy. Proszę was tylko o zapasy żywności. Gdy Anglicy zostaną wypędzeni, przyrzekam wam, że wrócimy do naszych wiosek i tam będziemy spokojnie czekać powrotu naszych francuskich ojców. Słyszeliście, co powiedziałem. Pozostańcie w spokoju, a ja będę pilnował, aby żaden Indianin nie czynił wam krzywdy”.

Po tej naradzie Pontiak zastosował wiele zabiegów organizacyjnych. Zabronił surowo poszczególnym wojownikom samowolnego

zabierania zapasów, sam natomiast dokonał inspekcji domów w osiedlu i ściągnął kontrybucję w żywności, którą zmagazynowano w domu Melocha. Ustanowiona przez wodza komisja wydawała codziennie żywność wojownikom.

Nie mogąc od razu zapłacić osadnikom za żywność, Pontiak wystawiał „banknoty” z kory brzozonej, na których wyrysowany był totem jego rodu — Czarna Wydra. Za podobne weksle zaopatrywał się również w broń i amunicję. Jak głosi trydycja, wszystkie te „weksle” zostały wykupione i zapłacone w futrach. Ponadto Pontiak zorganizował własny sekretariat, o którym generał Gage, zastępca Amhersta, tak pisał: „...Pontiak jest nie tylko dzikusiem posiadającym najbardziej wyrafinowaną chytrą, naturalną u Indian, lecz jest także osobą o nadzwyczajnych zdolnościach. Ma on na przykład dwóch sekretarzy: jeden pisze listy dla niego, a drugi czyta mu nadchodzące i dzięki temu nie wiedzą oni nawzajem, z czym się stykają”. Pontiak zabronił deptania pól uprawnych, rozumiejąc, że zniszczenie ich oznacza głód. Wiele źródeł mówi, że został on wierny swoim francuskim przyjaciółom i okazywał im zaufanie, a nawet wtedy, gdy za jego głowę została wyznaczona wysoka nagroda, przebywał wśród nich, wierząc w ich lojalność.

Jeden z pierwszych listów, jakie Pontiak wysłał po wybuchu powstania, był skierowany do komendanta załóg francuskich w Illinois, pana Neyona. Donosząc o rozpoczęciu działań wojennych, prosił o przysłanie wojsk i armat dla zniszczenia Detroit i rozpoczęcia wspólnego ataku na kolonie. Pisząc ten list, Pontiak nie wiedział, że w tym samym czasie kurier z Francji wiózł dla Neyona oficjalne wiadomości o zawartym w Paryżu pokoju i odstąpieniu przez Francję wszystkich ziem na wschód od Missisipi. Nie wiedział także, że odpowiedź Neyona przypieczętuje jego klęskę.



Rozbicie wyprawy Cuylera

Wkrótce po rozpoczęciu działań wojownicy Pontiaka odnieśli pierwsze zwycięstwo w starciu z wojskami angielskimi.

Co roku na wiosnę do fortów na zachodzie dowożono zapasy amunicji, żywności, narzędzi, mundurów i wszystkiego, co było potrzebne dla wojska. Droga była niesłychanie uciążliwa. Przewadziła ona w górę rzeki Mohawk, gdzie trzeba było ciężko wiosłować pod ostry prąd, aż do fortu Stanwix, potem drogą lądową przez puszcze do rzeki Wood Creek i nią do jeziora Oneida, następnie rzeką Oswego do jeziora Ontario i stąd już znanym systemem dróg wodnych do wszystkich fortów. Poważną przeszkodę stanowiły wodospady Niagara, w pobliżu których wznosiły się dwa forty. Tu łodzie transportowano drogą wzdłuż brzegu. Fort Niagara stanowił niejako pierwszą większą bazę wysuniętą na zachód. Stąd wyruszały uformowane konwoje z zaopatrzeniem.

13 maja, nic jeszcze nie wiedząc o powstaniu plemion i oblężeniu Detroit, porucznik Cuyler wraz z dziewięćdziesięcioma sześćdziesięcioma żołnierzami w licznych łodziach wiozących transport dla fortów zachodnich wypłynęli na wody jeziora Erie i wiosłując powoli wzdłuż północnego brzegu, po dwóch tygodniach zbliżali się do Detroit. Załoga oblężonego fortu oczekiwała ich z niecierpliwością. Ale o wiosennych dostawach pamiętali również Indianie. Z wysokich drzew na przylądkach bystroocy zwiadowcy Pontiaka wypatrywali, czy nie zbliża się konwój, a nocami małe kanu jak duchy krążyły po jeziorze, aby nie pozwolić na przemknięcie dostaw. I kiedy załoga w forcie czekała pełna niepokoju, wysłana przez Pontiaka setka Wyandotów wraz z wodzem Takee czyhała nad jeziorem gotowa do ataku na pierwsze hasło zwiadowców.

Płynąc przez dwa tygodnie po jeziorze, porucznik Cuyler nie spotykał ani przyjaciół, ani wrogów. Nie spotkał również szku-nera z Detroit, który przemykał wzdłuż południowych brzegów. 28 maja, znajdując się już blisko celu, przybił spokojnie do brzegu i wylądował na półwyspie Point Pelée, aby tu spędzić ostatnią noc podróży. Oczywiście nie wiedział nic o tym, że równolegle z nim wzdłuż brzegu cicho sunęło lasem stu wojowników śledzących każdy jego ruch. Po wylądowaniu łodzie wciągnięto na piasek, a żołnierze zaczęli rozbijać obóz i krzątać się wokół posiłku. Jedni gromadzili opał, drudzy rozbiegli się po brzegu, inni wydobywali zapasy, jeszcze inni zdejmowali mundury, aby się wykapać. A tymczasem za drzewami, krzakami, poprzez trawy i chaszczce wojownicy Wyandotów ostrożnie podsuwali się coraz bliżej, gotując się do skoku.

W poszukiwaniu suchego opału jeden z żołnierzy z towarzyszącym mu chłopcem zapaścił się w las głębiej niż inni. Nagle chłopiec schylając się po gałęzie dostrzegł leżącego za krzakiem Indianina. Krzyknął, lecz w tej samej chwili błysnął tomahawk Wyandota i chłopiec zwałił się na ziemię. Widząc to żołnierz rzucił się ku brzegowi, lecz nim wybiegł z lasu, huknęły strzały, a pierwsi zabici i ranni upadli na piasek.

Cuyler w mig zorientował się w sytuacji. Krzyczał na żołnierzy, usiłując sformować półkole przed łodziami, nakazał otworzyć ogień i jednocześnie spychać łodzie. Ale żołnierze jego strzelali na ślepo, nie widząc wroga, podczas gdy strzały z lasu były celne. Nim łodzie zostały zepchnięte, pośród drzew zabrzmiał przeraźliwy, mrozący krew w żyłach okrzyk i z lasu wypadła chmara pomalowanych wojowników z podniesionymi tomahawkami. Ogarnięci paniką żołnierze nie osłonili się zaporą bagnetów, lecz rzucili się do łodzi. To przypieczętowało ich los. Póki stali w zwartym szeregu, mogli jeszcze liczyć na odparcie ataku, lecz w odosobnionych pojedynkach wręcz szanse ich stawały się minimalne. Indianie atakowali z kocią zręcznością i liczba poległych zwiększała się szybko. Pięć łodzi udało się zepchnąć na wodę i stłoczeni w nich żołnierze starali się szybko oddalić od brzegu. Widząc panikę i klęskę, Cuyler usiłował zepchnąć jeszcze jedną z łodzi, a kiedy mu się to powiodło, zaczął cofać się za nią do wody, ostrzeliwując się z pistoletów.

Wreszcie żołnierze wciągnęli go do łodzi. Właśnie Indianie w pozostałych łodziach wyruszyli w pościg. Trzy łodzie, których załoga w popłochu zostawiła broń na brzegu, nękane ogniem poddały się i zostały odholowane na ląd. Tylko dwie łodzie z porucznikiem zdołały obronić się i uciec przed pogonią. Udało im się podnieść żagle i odpłynąć szybciej, niż Indianie mogli wiosłować.

Z klęski tej Cuyler wyprowadził około trzydziestu ludzi, w tym wielu rannych. Łodzie skierowały się na południe, do fortu Sandusky, lecz przybywszy tam, Anglicy zastali tylko zgliszcza. Wobec tego, wiosłując z trudem na wschód, dotarli do Presque Isle, ostrzegając komendanta fortu, chorążego Christie, przed spodziewanym atakiem, a następnie do fortu Niagara, gdzie Cuyler zdał szczegółowe sprawozdanie majorowi Wilkinsowi. Gońcy ponieśli raport do naczelnego wodza.

Tymczasem załoga Detroit przeżywała ciężkie chwile. Wprawdzie ataki Indian ustały, lecz obrońcy ciągle trwali w pogotowiu, a strażę czuwały na bastionach i pod palisadami. Okolica fortu jakby zamarła, gdyż i osadnicy francuscy ograniczali swoje ruchy do minimum. Wartownicy tęsknie wypatrywali w dół rzeki, czy nie pojawi się tam upragniony konwój. Wreszcie rankiem 30 maja okrzyk wartownika poderwał na nogi załogę i mieszkańców fortu. W dali ukazały się łodzie. Otwarto bramę wodną i podniecony, uradowany tłum skłębił się nad brzegiem. Widać było wyraźnie wiosłujących żołnierzy i sztandar angielski powiewający na dziobie pierwszej łodzi. Załoga fortu z daleka witała ich okrzykami. Gładwyn nakazał oddać strzał armatni, aby oznajmić nadpływającym, że załoga jeszcze się trzyma.

Lecz oto w łodziach podnieśli się nagle ciemni, półnaczy, pomalowani Indianie i wywijając bronią nad głowami wiosłujących Anglików, wydali tryumfalny okrzyk. Teraz dopiero załoga dostrzegła, że wiosłujący żołnierze są jeńcami.

Straty Anglików w zabitych i jeńcach wyniosły ponad sześćdziesięciu ludzi. Liczba ta może się nam wydawać niewielką, lecz w stosunku do sił wojska stacjonującego w fortach było to dużo. Największym jednak sukcesem Indian było zdobycie znacznej ilości broni, amunicji i zapasów żywności. Niestety, w łodziach znalazły się także liczne baryłki z rumem. Wieczorem przy ogni-

skach Indianie spili się do utraty przytomności, wywiązały się bójki i wielu zginęło lub odniosło rany. Ci, którzy po pijanemu zbliżyli się do fortu, zostali zastrzeleni przez Anglików. Podczas pijatyki wybito także większość jeńców, według sprawozdania osadnika Gouina — sześćdziesięciu czterech. Liczba ta wydaje się zbyt wysoka, gdyż tylu jeńców Indianie wówczas nie mieli.

Zwycięstwo dodało ducha powstańcom. Wieść o nim rozniosła się szeroko i nowe gromady wojowników pospieszyły ze wszystkich stron do obozu Pontiaka. Tymczasem pod Detroit napływały coraz nowe wieści o upadku fortów. Załoga angielska, niesłuchanie przygnębiona, przemęczona i wygłodniała, żyła tylko nadzieją, że szkuner wysłany do Niagara przywiezie albo pomoc, albo rozkaz ewakuacji, a więc jakieś wyjście z ciężkiego położenia.



Zdobywanie fortów w puszczach

Po pewnym czasie Gładwyn przekonał się, że z wyjątkiem Detroit wszystkie inne forty położone na zachód od Niagara i Pitt znajdują się w rękach Indian, a zatem że panowanie angielskie nad tymi połaciami kraju praktycznie się skończyło. Ze zdobytych fortów przysyłano jeńców i wiadomości do obozu Pontiaka, skąd poprzez Kanadyjczyków docierały do majora.

Z tego okresu zachowały się bądź to raporty dowódców, wziętych do niewoli i zwolnionych po zakończeniu wojny, bądź opisy walk sporządzone przez jezuitów — misjonarzy, jeszcze tu działających, lub przez osadników francuskich, skupionych wokół fortów w mniejszych lub większych koloniach.

Pierwszy został zdobyty fort Sandusky na południowym brzegu jeziora Erie. Dokonali tego mieszkający w okolicy Wyandoci, wspomagani przez oddział swych współplemieńców spod Detroit. Oto jak się to stało: 16 maja chorąży Paully, komendant fortu, dowiedział się od wartownika, że siedmiu Indian stoi w bramie i chce z nim rozmawiać. Kilku z nich znał dobrze, więc też polecił bez wahania przyprowadzić ich do siebie. Po przywitaniu goście zapalili fajki, przy czym dwóch z nich usiadło po obu bokach chorążego, jeden tuż koło drzwi, a reszta rozproszyła się po pokoju. W pewnej chwili Indianin siedzący koło drzwi podniósł rękę i na ten znak dwaj wojownicy rzucili się na oficera, powalili go i błyskawicznie skrepowali. Jednocześnie na dziedzińcu rozległy się krzyki i strzały, tupot nóg i odgłosy walki. Kiedy chorąży został wyprowadzony, walka już się skończyła. Na placu leżały trupy żołnierzy, zaskoczonych zniemacka i niezdolnych do stawienia jakiegokolwiek zorganizowanego oporu. Pod wieczór zaprowadzo-

no chorążego na brzeg jeziora i wsadzono do kanu. Gromada wojowników wyruszyła wraz z nim pod Detroit z wieścią o zwycięstwie. Jezioro oświetlały czerwone blaski ognia — to palił się zdobyty fort. Po przybyciu do obozu Pontiaka, jeńca otoczyła gromada kobiet i dzieci, bijąc go kijami i kamieniami. Nieszczęsny oficer już się przygotowywał na śmierć, kiedy jedna z kobiet, której mąż poległ niedawno, oświadczyła, że chce go przyjąć za męża. Według zwyczaju Paully został wykąpany w rzece i już jako wojownik Ottawów zaprowadzony do wigwamu. Później udało mu się zbiec z obozu.

Fort Św. Józefa, położony nad rzeką o tej samej nazwie, wpadającą do południowo-wschodniej części jeziora Michigan, powstał na miejscu zabudowań dawnej misji jezuickiej, działającej tu od początku XVIII wieku. Po przejęciu fortu przez Anglików dowództwo nad nim objął chorąży Schlosser. Załoga składała się tylko z czternastu żołnierzy. Fort, położony między olbrzymim jeziorem i oceanem lasów, odcięty był zupełnie od cywilizacji. W lasach mieszkali Indianie z plemienia Potawatomi. 25 maja osadnicy francuscy poinformowali chorążego, że do osiedla przybyła duża grupa Potawatomi spod Detroit z widocznie wrogimi zamiarami. Schlosser wybiegł ze swojej kwatery i zobaczył, że zarówno plac w forcie, jak i baraki żołnierzy pełne są Indian i osadników. Niewątpliwie pomogła im okoliczność, że zawsze mieli swobodny dostęp do fortu. Schlosser nakazał sierżantowi zebrać żołnierzy i usunąć Indian za bramę fortu, sam zaś wezwał osadników francuskich do pomocy. Nagle z kwater żołnierzy rozległy się dzikie okrzyki. W tej samej chwili tłum Indian wtargnął przez bramę do fortu, zabijając wartownika. W ciągu kilku minut padło jedenastu żołnierzy, resztę, wraz ze Schlosserem, skrupowano rzemieniami i wyprowadzono z fortu. Pomieszczenia i budynki w forcie zostały doszczętnie ograbione. Wkrótce potem chorążego wraz z trzema żołnierzami odtransportowano pod Detroit, gdzie Potawatomi wymienili ich za kilka swoich wojowników wziętych do niewoli przez garnizon angielski w czasie jednego z wypadów. W ten sposób Gładwyn dowiedział się o upadku drugiego fortu.

W trzy dni później przybył do Detroit ojciec Jonois, jezuita z misji znajdującej się w pobliżu fortu Michillimackinac, z listem

od tamtejszego dowódcy, kapitana Etheringtona, donoszącym, że znajduje się on w niewoli, że fort jest zdobyty, załoga częściowo wybita, częściowo w niewoli. Była to poważna strata, gdyż fort ten, strzegący przejścia z jeziora Huron na jezioro Michigan, obsadzony był przez stosunkowo silną załogę, liczącą około sześćdziesięciu żołnierzy, ponadto znajdowali się tam handlarze angielscy i ich pomocnicy, mogący, podobnie jak w Detroit, wzmocnić załogę. Fort ten leżał na tzw. Północnej Drodze na zachód, która prowadziła systemem rzek wpadających do jeziora Huron, a omijających jezioro Ontario. Zbudowali go Francuzi w roku 1671 tuż przy misji jezuitów. Fort ten był swego rodzaju centrum handlowym nad zachodnimi jeziorami, a kupcy docierali stąd aż do prerii nad Missouri. Wokół fortu, w kilku wioskach znajdujących się bądź na wyspach, bądź na wybrzeżu jeziora Michigan, żyły plemiona Ottawów i Odżibwejów. Wielu z nich było nominalnie katolikami. Oba plemiona były wobec Anglików zdecydowanie wrogie. Dotkliwie odczuwały one brak korzyści, jakie przynosił im handel z Francuzami. Wysłańcy Pontiaka, niosący wezwanie do wojny, znaleźli tu gorące przyjęcie. Po wybuchu walki pod Detroit, zgodnie ze zobowiązaniem powziętym na naradzie nad Ecorse River, Odżibwejowie i Ottawowie z północy zbrali się, aby ustalić plan opanowania fortu. Kanadyjczycy ostrzegali Etheringtona, jednak pyszałkowaty oficer nie tylko się tym nie przejął, lecz nawet zagroził więzieniem wszystkim rozpuszczającym takie pogłoski.

Dnia 4 czerwca, w dzień urodzin króla, żołnierze zwolnieni byli od zwykłej służby. W forcie panował świąteczny nastrój. Wczesnym rankiem gromady Indian ściągnęły na pola pod fortem i wodzowie zwrócili się do kapitana z prośbą, aby dla uczczenia święta królewskiego zezwolił na rozegranie zawodów piłki pomiędzy Odżibwejami i Saukami. Etherington wyraził zgodę, a zadowoleni oficerowie i żołnierze wylegli przed bramę fortu, oczywiście bez broni. W cieniu palisad przed bramą siedział zbity tłum kobiet indiańskich zakutanych w koce i płaszcze ze skóry. Pośród nich było również sporo okrytych kocami wojowników. Prócz tego tu i ówdzie stały gromady nieuzbrojonych Indian.

Szybko przygotowano do zawodów pole przed fortem. W grze



tej, zwanej baggattaway, posługiwano się rodzajem raket. Rakietą taką sporządzoną była z kijka wygiętego w półkole wyplecione ścięgnami. Gra polegała na tym, aby od słupa znajdującego się na środku pola przetrzucić piłkę do bramki przeciwnika. Brało w niej udział po kilkuset zawodników z obu stron.

Indianie byli mistrzami w tym sporcie. Patrząc na rozpoczętą grę, Anglicy rychło zaczęli zapominać o całym świecie. Poczyniono zakłady. Etherington i porucznik Leslie odchodzili coraz dalej od bramy w stronę pola gry, nie zauważając, że wokół nich zaczynają się gromadzić wodzowie obu plemion. Tłum graczy falował na boisku. Nagle piłka, uderzona jakoś niezręcznie, przeleciała łukiem ponad palisadą i wpadła na teren fortu. Kilku graczy podbiegło do bramy, poprosiło żołnierzy o podanie jej i gra potoczyła się dalej.

Zwinne postacie Indian z rozwianymi długimi włosami przebiegały wśród okrzyków pole gry. Napięcie rosło, a zacięta walka

coraz bardziej pochłaniała widzów. Kiedy piłka po raz drugi wpadła za palisadę i gromadka graczy pobiegła za nią, nikt nie zatrzymał ich w bramie. Po pewnym czasie powtórzyło się to znowu, tłum graczy pobiegł w kierunku palisad, a w tej samej chwili Etherington i Leslie poczuli, że silne ręce chwytają ich za gardła i ramiona. W kilka minut później, skrzepowani, na barkach Indian przeniesieni zostali do pobliskiego lasu za polem gry. Jednocześnie kobiety i wojownicy pod bramą zrzucili z siebie koce, błyskawicznie podając ukrytą pod nimi broń nadbiegającym wojownikom. Zaskoczeni żołnierze zostali natychmiast rozbrojeni, związani lub zabici. Indianie wtargnęli do fortu. Nawoływania graczy zmieniły się w okrzyki wojenne. Większość handlarzy angielskich padła pod ciosami tomahawków. Jednakże jeden z nich, nazwiskiem Henry — który przybył do Michillimackinac jeszcze przed przejściem go przez garnizon angielski — został ukryty przez Francuzów, uszedł z życiem i opisał dokładnie zdobycie fortu, wybite załogi i późniejsze losy jeńców. Jezuita Jonois uzyskał list od kapitana i pojechał do Detroit. Etherington omawiał krótko zdarzenia i prosił o przysłanie pomocy. Gładwyn jednak nic nie mógł uczynić.

Pierwszego czerwca Indianie opanowali również podstępem maty fort nad rzeką Wabash, znany pod nazwą Ouiatenon. Dowódcę załogi, porucznika Jenkinsa, zaproszono do pobliskiej wsi indiańskiej, a kiedy wszedł do wigwamu, powalono go i skrzepowano. W podobny sposób zwabiono i pojmano również kilku żołnierzy, a potem zażądano kapitulacji fortu za cenę życia zakładników. Porucznikowi doniesiono o zdobyciu innych fortów, o oblężeniu Detroit i skłoniono go do kapitulacji. Indianie nie zachowywali się zbyt wrogo. Nikt z załogi nie stracił życia. Stało się to dzięki pośrednictwu dwóch bogatych Francuzów, którzy złożyli okup za życie jeńców.

Dwudziestego siódmego maja Indianie zdobyli fort Miami, położony nad rzeką Maumee, w głębi olbrzymich lasów, odizolowany od innych osad setkami kilometrów puszczy, bagien i jezior. Komunikację z nim utrzymywano tylko systemem rzek, a w zimie, podobnie jak inne forty, był całkowicie odcięty od świata. Komendant Holmes wiedział, że Indianie coś knują, i miał się na baczności. Jednakże kiedy 20 maja przysłała do niego znajoma dzie-

wczyna z prośbą, by udał się z nią do chorej matki, młody chorąży zapomniał o ostrożności. Gładwyna uratowała wierna dziewczyna indiańska. Dziewczyna Holmesa była wierniejsza plemieniu niż kochankowi. Chorąży poszedł za nią do wsi, ale kiedy zbliżał się do wigwamu, huknęły dwa strzały i Anglik upadł bez życia na ziemię. Zaniepokojony sierżant nieostrożnie wybiegł z fortu w ślad za oficerem. Również i on został powalony i skrepowany. Wtedy Kanadyjczyk Godefroy udał się do fortu i rozpoczął pertraktacje z żołnierzami. Widząc skrepowanego sierżanta, wokół którego Indianie tańczyli z tomahawkami w rękach, i krwawy skalp oficera, przerażeni żołnierze ulegli namowom, złożyli broń i wpuścili Indian do fortu. Jeńców odprowadzono do obozu Pontiaka, gdzie powitały ich dzikie okrzyki triumfu. Wieści o nowej klęsce pogłębiły jeszcze bardziej przygnębienie załogi Detroit.

W połowie czerwca został zdobyty fort Presque Isle, położony nad samym brzegiem jeziora i otoczony palisadą. W jednym z rogów stał tu zbudowany z grubych belek dwupiętrowy blokhaus o piętrach szerszych od parteru, tak że obrońcy mogli razić atakujących również poprzez otwory w wysuniętych górnych podłogach. W gontowym dachu znajdował się otwór do zlewania blokhausu wodą w razie pożaru. Jednakże fort położony był nisko, a wokół wznosiły się wzgórza, z których można było ostrzeliwać plac wewnątrz palisady.

Wczesnym rankiem 15 czerwca żołnierze uświadomili sobie obecność nieprzyjaciela pod fortem. Indianom udało się co prawda zabić wartownika, ale nie zaskoczyli załogi nagłym atakiem. Garnizon opuścił ostrzeliwane ze wzgórz pozycje i wycofał się do potężnego blokhausu, odpowiadając Indianom ogniem z wyższych pięter.

Chorąży Christie nie zamierzał łatwo kapitulować. Indianie jednak atakowali nie tylko z zaciekłością, lecz także z zimną rozważnością. Zgromadzili się tu wojownicy z plemion walczących pod Detroit oraz Delawarów z doliny Ohio, doświadczonych już w oblężeniu blokhausów i osad otoczonych palisadami. Toteż kiedy zaczęły ich razić strzały z pięter blokhausu, pościnali drzewa w lesie, przytoczyli je na wzniesienie koło fortu i spoza takiej barykady zasypywano blokhaus płonącymi strzałami oraz bryłami palą-

cej się smoły. Wysuszony słońcem dach, a nawet ściany kilkakrotnie zajmowały się od tych ognistych pocisków. Zapasy wody w beczkach wyczerpały się wreszcie, a studnia znajdowała się na placu pod obstrzałem oblegających. Nie było innej rady: na rozkaz chorążego część żołnierzy odeszła od strzelnic i z rozpaczliwym wysiłkiem rozpoczęła kopanie studni w samym blokhauzie.

Tymczasem Indianie wpadli na nowy pomysł. Pod osłoną barykady ze ściętych drzew zaczęli drażyć tunel pod palisadami.

Od wczesnego ranka przez cały dzień nie milkły strzały i krzyki, nie ustawała praca. Dach blokhauzu zapalił się znowu. Wtedy jeden z żołnierzy, ryzykując życie, wspiął się na dach i zrzucił płonące gonty, wychodząc cało spośród gradu kul. W nocy sytuacja zmieniła się o tyle, że żołnierze dokopali się do wody, a Indianie przeryli pod palisadami tunel do domu komendanta, wyłamali podłogi, weszli do środka i natychmiast go podpálili. Budynek ten stał obok blokhauzu i buchające płomienie lizały jego ściany. Położenie żołnierzy stało się groźne. Dusząc się w dymie, ślaniając w żarze, polewali ściany wodą z nowo wykopanej studni. Była to praca nieludzko ciężka — wiadra noszono na górne piętra w rozpalonym powietrzu. Jednakże udało się uratować blokhauz i doczekać chwili, kiedy dom komendanta dopálili się i niebezpieczeństwo bezpośredniego pożaru zostało zażegnane. Ale atak trwał dalej. Indianie podchodzili partiami. Żołnierze — według raportu chorążego Christie — byli już „wyczerpani do najwyższych granic”.

Wieczorem wezwano ich w języku francuskim do poddania się, gdyż został wykopany tunel, pozwalający na bezpośrednie podpalenie fortu. Christie zapytał, czy jest wśród Indian ktoś mówiący po angielsku. Wtedy z okopów indiańskich wyszedł dawny żołnierz angielski, który w czasie wojny francuskiej dostał się do niewoli Delawarów; upodobawszy sobie życie w puszczy, został przyjęty do plemienia i teraz walczył przeciwko swym rodakom. W rozmowie z nim Christie zażądał przerwania walki do rana dla namysłu, na co Indianie się zgodzili i zaprzestali ognia. W ten sposób chorąży uzyskał krótki odpoczynek dla wyczerpanego garnizonu.

Wczesnym rankiem Christie wysłał dwóch żołnierzy, aby roz-

poczęli pertraktacje i jednocześnie przekonali się, czy rzeczywiście podkop jest tak niebezpieczny. Niestety, była to prawda. Żołnierze poprosili więc dwóch wodzów na naradę z dowódcą załogi. Spotkanie nastąpiło w połowie drogi między blokhauzem i barrykadą Indian. Przekonany o bezskuteczności dalszej obrony Christie starał się uzyskać możliwie najlepsze warunki kapitulacji. Postanowiono, że załoga złoży broń i będzie mogła odejść do fortu Niagara. Po zakończeniu rozmów wyczerpani, czarni od dymu i poranieni żołnierze wyszli z osmalonego blokhauzu i skierowali się na wschód. Tłum Indian patrzył na nich w milczeniu, z mściwą zaciekleścią. Nie uszli daleko, kiedy otoczyła ich gromada wojowników, zatrzymała się i zawróciła. Może przeważało uczucie zemsty lub może spostrzeżono, że Christie skierował jednego z żołnierzy do fortów na południe z ostrzeżeniem, w każdym razie garnizon zatrzymano i po dwóch dniach odwieziono w czółnach do Detroit. Ów żołnierz natomiast udał się do fortu Le Boeuf i Venango, stwierdził, że oba są już zdobyte i spalone, i po długiej wędrówce, całkowicie wyczerpany dotarł do fortu Pitt, przynosząc wieści o klęskach.

Krótką historię zdobycia fortu Le Boeuf zawiera raport jego dowódcy. Wieczorem 18 czerwca fort został nagle zaatakowany przez wielką liczbę Indian. Napastników było około dwustu — trzystu, co oczywiście w porównaniu z kilkunastoosobową załogą stanowiło wielką siłę. Żołnierze nie zostali zaskoczeni, bramy fortu zamknęto i na atak odpowiedziano salwami z muszkietów. Jednakże pod osłoną ciemności Indianie podkradli się pod palisady i blokhauz, zasypując je płonącymi pociskami i jednocześnie ostrzeliwując. Po kilku godzinach walki dach blokhauzu stanął w płomieniach i żołnierze nie mogli już ugasić pożaru. Wtedy Indianie skupili się przed bramą czekając na jej otwarcie i wyjście załogi. Ale chorąży Price i jego żołnierze byli wyciosani z twardego drzewa. Dusząc się w dymie i żarze, z rozpaczliwą energią wyrabali na tyłach fortu otwór w balach, przez który udało im się niepostrzeżenie wymknąć do lasu i po długiej wędrówce dotrzeć do fortu Pitt. Indianie zorientowali się zbyt późno i kiedy rankiem zorganizowali pościg, Price był już daleko, a ślady zatarte.

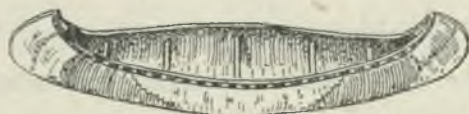
Historię upadku fortu Venango opowiedział już po wojnie

jeden z Seneków Williamowi Johnsonowi. Fort zdobyli Senekowie podstępem. Do nie przeczuwającego nic porucznika Gordona przybyło kilku ich wodzów, prosząc o rozmowę. Porucznik przyjął ich w swoim pokoju. Rozmowa trwała krótko; gospodarza obezwładniono i skrupowano; zabito wartownika, otworzono bramę, wpuszczono tłum wojowników i nim żołnierze zdołali chwycić za broń, zostali wybici, fort ograbiono i spalono. Porucznik Gordon, przywiązany do pala, zginął w męczarniach.

W ręce Winnebagów wpadł fort Green Bay na zachodnim brzegu jeziora Michigan. Był to najdalej na zachód wysunięty fort angielski, utrzymujący kontakty z plemionami prerii i zachodniego obszaru puszczy. Porucznik Gorell, dowodzący nieliczną załogą od roku 1761, umiał pozyskać sobie sąsiadujące z fortem plemiona Winnebagów, Menominich, Foxów, Sauków, toteż zdołał powstrzymać wybuch wojny, wykorzystując zadawnione pomiędzy nimi antagonizmy. Gorell wraz z załogą opuścił jednak fort i pod osłoną wiernych mu Menominich odpłynął łodziami do Michillimackinac, gdzie uwolnił kapitana Etheringtona, porucznika Leslie i kilku żołnierzy pozostających w rękach tamtejszych Ottawów, a następnie przez jezioro Huron i rzekę Ottawa dotrzeć do Montrealu.

Fort Saul Ste Marie, położony na północ od Michillimackinac, po spaleniu w przypadkowym pożarze w roku 1762 został ewakuowany i w chwili wybuchu wojny był opuszczony przez wojsko.

Tak więc w ciągu dwóch miesięcy pierwsza część planu Pontiaka została całkowicie urzeczywistniona: z wyjątkiem Detroit, Pitt i Niagara wszystkie forty na ziemiach indiańskich były zdobyte, załogi zniszczone. Gdyby powiodło się oblężenie Detroit, Pontiak mógłby skuteczniej realizować drugą część planu: skupiwszy większe siły wojowników, zaatakować kolonie. Jednakże fort broniony przez Gładwyna zatrzymywał pod swoimi palisadami armię indiańską, liczącą okresami do tysiąca wojowników. Niemniej wojna na granicach kolonii trwała już od samego wybuchu powstania.



Wojna na granicach kolonii

Kolonie brytyjskie w Ameryce Północnej w roku 1763 nie przekraczały jeszcze Alleghenów. Kolonia Nowy Jork sięgała najdalej, do górnego biegu rzeki Mohawk. W Pensylwanii najbardziej wysuniętym na zachód był fort Bedford. Podobnie osady Wirginii nie wysuwały się dalej, wyjąwszy pojedyncze osiedla szczególnie przedsiębiorczych *backwoodsmen*, którzy uważając, że *hills are the best neighbours* * zapuszczali się ze swoimi rodzinami w doliny wschodnich wybiegów gór. Natomiast na drodze do fortu Pitt, znajdującego się u zbiegu rzek Allegheny i Monongahela, stało kilka wysuniętych fortów, jak Augusta, Ligonier i inne posterunki handlowe Ohio Company *. Granica kolonii nie była tu wyznaczona ani ustalona. W razie napadu Indian mieszkańcy pojedynczych farm chronili się w otoczonych palisadami osadach nadgranicznych. Dla ochrony granicy poszczególne kolonie utrzymywały nieliczne posterunki zbrojne w małych fortach lub blokhauzach w głębi puszczy.

Czoło owego pochodu osadników na zachód stanowili *backwoodsmen*, którzy odegrali wybitną rolę w podboju Ameryki Północnej. To oni właśnie, a nie zbrojne armie, złamali siły Indian. Bez ich pomocy wojska regularne byłyby zawsze tak zwyciężone, jak zwyciężony został Braddock.

Historycy amerykańscy utrzymują, i chyba słusznie, że życie na pograniczu lub krótko: na granicy (*frontier*) odegrało wielką

Hills are the best neighbours (ang.) — góry są najlepszymi sąsiadami.

Ohio Company — towarzystwo organizujące kolonizację i handel w dolinie rzeki Ohio.

rolę w kształtowaniu narodu amerykańskiego. Granica biegła między osiedlami i cywilizowanym krajem a puszcza, preriami i górami. Najpierw w puszczy pojawiał się pionier z rodziną; karczował siekierą las, budował prymitywną chatkę z nie ociosanych pni, ogradzał małe pólko i siał kukurydzę, a do czasu pierwszych plonów żył z polowania. Strzelba i siekiera były jego nieodłącznymi towarzyszami. Osadnicy — narażeni na ciągłe niebezpieczeństwa, zagrożeni w każdej chwili atakiem Indian, napadem dzikich zwierząt, pożarem puszczy, klęskami żywiołowymi, zdani wyłącznie na własne siły, zmuszeni do zdobywania własną pracą wszystkiego, co potrzebne było do życia — cieszyli się w zamian nieograniczoną wolnością, dziką swobodą, nie znaną zupełnie mieszkańcom cywilizowanej Europy ani nawet większych osad w koloniach. Poczucie równości ze wszystkimi pionierami, których siedzi-by były dokoła w wielkiej puszczy, poczucie pełnej odpowiedzialności za własne czyny, jak również głęboka świadomość własnej niezależności stały się podstawowymi cechami ich charakteru. Pojęcie „granicy” ukształtowało się nad brzegami Atlantyku wraz z pierwszymi osadami. Pionierzy musieli zdobyć ziemię w krwawych walkach, uprawić ją, zbudować osady i miasta. Stąd rozpoczął się trwały pochód na zachód, który w latach 1880-tych doprowadził do zniknięcia „granicy”, do ostatecznego podboju całego obszaru Stanów Zjednoczonych. Ludzie granicy nie uznawali żadnej władzy prócz tej, którą sami ustanawiali dla wspólnej obrony. Roszczenia arystokracji były im całkowicie obce i niezrozumiałe. Wobec wszelkiej władzy zachowywali się podejrzliwie. Oni zdobyli kraj w ciężkiej walce, wśród niebezpieczeństw, płacąc wysoką cenę krwi własnej i swych rodzin — Indianie bowiem nie ustępowali bez walki, a w walkach puszczańskich byli mistrzami — i dlatego każda władza, siedząca gdzieś daleko i nie wiadomo dlaczego żądająca podatków, była im nienawistna. Stąd wywodziła się niezachwiana wiara w prawo do samorządzenia, do samostanowienia o swych losach, w demokrację i równość wszystkich ludzi, poleganie tylko na własnych siłach, odwadze i energii — słowem, ten bezwzględny indywidualizm, który wywarł tak silny wpływ na cywilizację amerykańską. Pionierzy ci byli nie tylko przednią strażą kapitalistycznej ekspansji. Byli także jej ofiarami. Ziemia „należa-

ła” do różnych kompanii i fundatorów, którzy „otrzymywali” ją od króla, a następnie sprzedawali osadnikom z odpowiednim zyskiem. Tak np. Ohio Company otrzymała od króla potężny szmat ziemi nad rzeką Ohio pod warunkiem, że osiedli tam przynajmniej sto rodzin. *Backwoodsmen* nie troszczyli się o żadne przywileje i nadania. Szli w puszcze, karczowali ją, uprawiali półka kukurydzy, polowali i zakładali rodziny. Bronili tej ziemi wydartej Indianom, płacili ciężki okup krwi i potu. I oto po latach zjawiał się agent, dowodził, że ziemia wywalczona przez osadnika należy do kompanii, żądał zapłaty lub dowodu kupna. Wtedy pionier zgrzytając zębami chwycił strzelbę, siekiere, Biblię, ładował rodzinę i skromny dobytek na konia i zapuszczał się dalej w puszcze, odbierać Indianom nowe łowiska, torować ścieżkę, po której kiedyś znowu miała dotrzeć do niego znienawidzona papierowa cywilizacja.

Ludność na granicy rekrutowała się z najbardziej przedsiębiorczych, odważnych, a nawet awanturnicznych elementów, wśród których często zdarzali się i przestępcy, uciekający przed ramieniem sprawiedliwości. Szczególnie wojowniczy byli osadnicy na granicy Wirginii, lecz i w innych koloniach nie brakło twardych, prostych, prawie barbarzyńskich pionierów przyszłej cywilizacji amerykańskiej. Żyli oni w niezwykle prymitywnych warunkach, zaspokajając swe potrzeby prawie wyłącznie płodami pola i puszczy, kupując tylko strzelby i amunicję, siekiery i noże. Ubierali się wzorem indiańskim w skóry lub materiały utkane na ręcznych warsztatach. Twardość tych ludzi wynikała zarówno z warunków życia w puszczy, jak i z surowych purytańskich obyczajów. Każde przestępstwo traktowane było inaczej niż w miastach. Drobną kradzież mogła oznaczać śmierć i zgubę uszkodowanego, toteż z całą bezwzględnością karano ją śmiercią. Poczucie wspólnoty w obliczu wszystkich niebezpieczeństw grożących w puszczy było pierwszym warunkiem utrzymania się na granicy, dlatego łamanie solidarności zdarzało się niesłychanie rzadko.

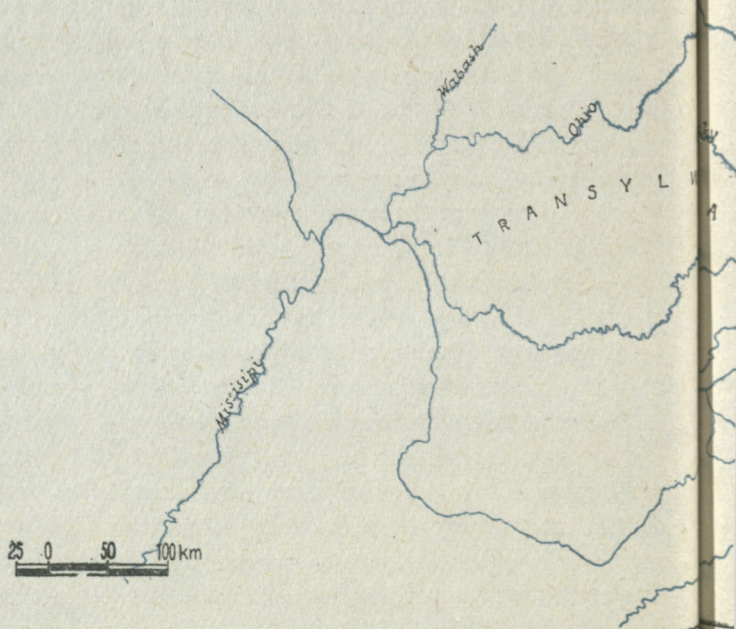
Utrzymujący się z polowania pionierzy, choć nigdy nie dorównali Indianom w czytaniu śladów, tropieniu zwierząt, wrogów i w umiejętności przystosowywania się do surowych warunków, w jednym zdecydowanie ich prześcigali — w sztuce celnego strzelania. Ich mistrzostwo przeszło do legendy. Ulubiona zabawa

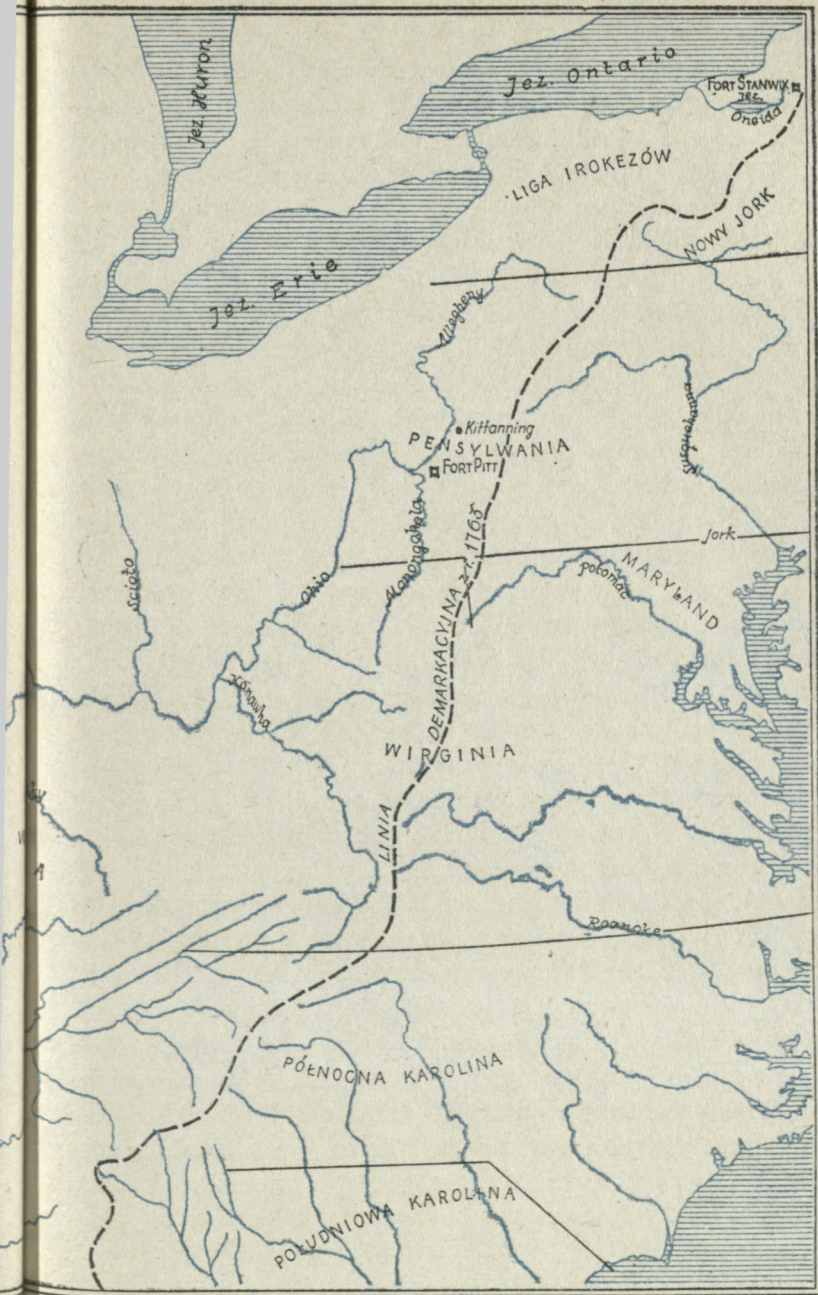


polegała na strzelaniu do świecy. Zapaloną świecę ustawiano o zmroku w ciemnym miejscu pod drzewem, a następnie strzelano do niej tak, by kula musnęła tylko spalony knot i świeca zapłonęła jaśniejszym płomieniem. Wszystkie legendy o umiejętnościach strzeleckich Sokolego Oka czy innych bohaterów opowieści indiańskich nie są wcale przesadzone. Umiejętność celnego strzelania była podstawowym warunkiem utrzymania się przy życiu w puszczy. W tej umiejętności amerykańscy pionierzy z granicy byli niedoścignieni.

Przeciwko tym ludziom zwróciły się ataki Indian występujących do walki z koloniami. Oni właśnie byli zaporą przeciwko fali czerwonoskórych wojowników. Niestety, pierwotny plan Pontia, zarysowany w czasie narady nad Ecorse River, nie został zrealizowany. Plan ten przewidywał, że po zniszczeniu garnizonów w puszczach połączone siły wszystkich plemion uderzą razem na kolonie. Nigdy jednak do tego nie doszło, a to z kilku powodów. Indianom nie udało się zdobyć fortów Detroit i Pitt. Główna jednak przyczyna leżała w strukturze społecznej plemion, w ich organizacji i tradycyjnych sposobach prowadzenia wojen. Aby pokierować tak wielką kampanią, trzeba było jakiejś potężnej indywidualności, wodza umiejącego skupić luźne plemiona wokół jednego

KOLONIE ANGIELSKIE
W AMERYCE PÓLNOCNEJ
1763 r





zadania. Taką indywidualnością był Pontiak, który pod Detroit potrafił przeprowadzić systematyczną blokadę, wbrew wszystkim tradycyjnym indiańskim wyobrażeniom o wojnie. Jednakże Pontiak był uwięzany pod Detroit, a wśród Indian prowadzących wojnę w dolinie Ohio i w Alleghenach brakło wodza o dostatecznie szerokim horyzoncie umysłowym, odpowiednio wpływowego i inteligentnego, posiadającego jakąś polityczną koncepcję tej wojny. Ani ponury Gienkwatha („Chodzący w dymie”) Seneków, ani Wielki Wilk Szawanów, ani Shingas, ani Serce Żółwia Delawarów nie dorównywali Pontiakowi — i dlatego wojna potoczyła się tu według tradycyjnych wyobrażeń i sposobów indiańskich. Rozpoczęła się ona od bezplanowych ataków małych grup młodych wojowników, szukających na własną rękę skalpów, zdobyczy i sławy. Napaści te, niszczące przede wszystkim myśliwych, handlarzy, pojedyncze farmy i chaty osadników, ostrzegły tylko forty nadgraniczne, pozwoliły im przygotować się do obrony. Ostrzegły także władze kolonii i spowodowały, że plan Pontiaka, zresztą nigdy nie wprowadzony w życie, pozbawiony został jedynej szansy sukcesu, na jaką Indianie mogą liczyć, mianowicie zaskoczenia kolonii przez zorganizowaną, liczną armię synów puszczy.

Pierwszy atak skierował się przeciwko handlarzom, przebywającym w znacznej liczbie w wioskach indiańskich. We wszystkich wioskach znajdowali się również wysłannicy wodza Ottawów, wygłaszano mowy i przygotowywano się do wojny — a jednak te chytre lisy nie zważały nadchodzących wydarzeń, co dobrze świadczy o zdolnościach konspiracyjnych Indian. Atak ten był po prostu wyładowaniem śmiertelnej i, dodajmy, dobrze zasłużonej, nienawiści. Handlem bowiem zajmowały się również kompanie lub wielcy przedsiębiorcy, a z towarami do puszczy jeździli podli awanturnicy, szukający szybkiego wzbogacenia się drogą pospolitego oszustwa lub oczywistego rabunku. Nie mając innego wyjścia, Indianie musieli oddawać piękne futra i skóry za marne towary, stanowiące zaledwie ułamek ich rzeczywistej wartości, lecz w sercach wrzała głęboka chęć zemsty. Toteż jednocześnie z atakami na forty dokonali oni krwawej rozprawy z kupcami. Kroniki, listy, raporty i prasa tych czasów notują wiele faktów tej bezlitosnej masakry.

Oto np. handlarz Calhoun, przebywający z grupą pomocników w samotnej wiosce Tuskarorów na północny wschód od fortu Pitt, został nagle w nocy zbudzony przez wodza. Zaspany handlarz szybko oprzytomniał, gdy zrozumiał, o co chodzi. Oto nadciąga oddział Ottawów i Odżibwejów, którzy wykopali topory wojny, zniszczyli forty na północy, a teraz prą na południe, tępiąc po drodze wszystkich białych. Tuskarorowie chcą ocalić swoich białych przyjaciół i dlatego proponują, żeby Calhoun i jego ludzie pozostawili broń i towary w wiosce, a w zamian zostaną odprowadzeni pod eskortą do fortu. Żaden biały w puszczy nie oddawał dobrowolnie strzelby — i handlarz również nie chciał na to przystać. Wódz jednak nalegał: jeżeli uzbrojeni napotkają Ottawów — zginą niechybnie, jeżeli pójdą bezbronni, pod ochroną przyjaciół — ocaleją. Zastraszony Calhoun zgodził się wreszcie, wydał broń, towary i biali konno, pod eskortą Tuskarorów, zapuścili się w ciemny gąszcz lasu. Droga ich była krótka. Przewodnicy wprowadzili handlarzy w zasadzkę. Od jednej salwy padło jedenastu pomocników Calhouna, on sam, szczęśliwie nie trafiony, gnając konia co sił, uciekł z jednym towarzyszem i po długim błakaniu się w puszczy dotarł do fortu.

Przykład ten nie jest wyjątkiem, lecz regułą. Wszyscy handlarze i ich brutalni, na wpół dzicy *engagés*, zostali wybici, a nieraz ginęli u pała w okrutnych męczarniach. Podobnie jak Tuskarorowie, tak i inne plemiona chwytaly handlarzy podstępem. W wioskach Wyandotów koło fortu Sandusky skupiła się liczna kolumna handlarzy udających się w zachodnie puszcze. Liczyła ona kilkudziesięciu uzbrojonych mężczyzn, władających dobrze bronią. Dlatego Indianie nie chcieli ryzykować otwartej walki. Podobnie jak Tuskarorowie, nagle zaalarmowali białych przyniesioną przez zdyszanego gońca wiadomością, że wielkie siły okolicznych plemion, które rozpoczęły wojnę, zdążają do wioski. Szybko zwołano naradę, na której jeden z wodzów przedstawił taki oto plan uratowania handlarzy: zostaną oni skrupowani i powiązani, tak jak gdyby byli już jeńcami Indian. Gdy nadciągną wrodcy wojownicy, zobaczą, że biali zostali już pojmani, i spokojnie odejdą dalej. Następnie Indianie wypuszczą handlarzy i pozwolą im schronić się w forcie. Czas nagił, naradę prowadzono w podnieceniu. Wreszcie han-

dlarze zgodzili się na projekty Indian — pozwolili się powiązać. W ten sposób bez walki obezwładniono kilkudziesięciu wrogów, z których żaden już nie wyszedł z życiem.

Nie zachowały się dokładnie dane, ilu białych zginęło w podobny sposób na obszarach objętych powstaniem. Niektórych handlarzy uratowali osadnicy francuscy, lecz były to tylko nieliczne wyjątki. Cały majątek kupców zagarnęli Indianie, ale w warunkach pokojowych, narzuconych im po zakończeniu wojny, musieli go zwrócić z procentem.

Następną ofiarą wojny na granicach stały się najdalej na zachód wysunięte farmy i chaty pionierów, szukających w puszczy wolności i życia nie skrępowanego żadnymi prawami. Zaledwie w osadach pogranicza zaczęły krążyć pierwsze niejasne pogłoski o niepokoju w wioskach indiańskich, o napadach na kupców, o podejrzanych ruchach grup wojowników, o gońcach biegnących nocami, zaledwie wracający z ostępów myśliwi, przechodząc koło chat i palisad, rzucili słowa ostrzeżenia — już niebo zaczerwieniło się łunami i słupy dymu, wznoszącego się nad koronami drzew, potwierdziły te wieści. Osadnicy graniczni umacniali rygle chat, opatrywali palisady i gotowali broń, czujnie wypatrując w jasne wiosenne noce, nasłuchując głosów i szmerów dochodzących z puszczy. Jeszcze nie widziano, czy to tylko niewielkie gromady młodych wojowników szukają skalpów i łupów, czy też jakieś plemię mści krzywdę lub zabójstwo popełnione przez białego myśliwca lub kupca. Rychło jednak pogłoski o powszechnym powstaniu plemion puszczańskich stały się krwawą rzeczywistością. Za grupkami młodych zawadiaków, napadających o świcie na odosobnione chaty i mniejsze osiedla, runęły jak lawina liczne i silne gromady. W większych osadach Wirginii ludność szukała schronienia za palisadami i bastionami. Ale zanim zorientowano się w rozmiarach wojny, setki rodzin złożyły głowy pod tomahawkami. Gromady wojowników napadały w biały dzień, kiedy farmerzy pracowali na polach. Zwłaszcza w Pensylwanii — która dotychczas nie знаła indiańskiej wojny, gdzie osady nie były przygotowane do obrony — płomień i topór indiański zbierały obfity plon. Osadnicy z północnych dolin Alleghenów, znad Kanawhy i Susquehanny, Juniaty i innych rzek płynących z Apalachów, uciekali w popłochu na wschód.

W ślad za nimi zjawiały się watahy wojowników. Krążyły wyolbrzymione wieści o zdobyciu fortów, o bitwach i klęskach w puszczy. Osiedla szły z dymem, Indianie niszczyli pola uprawne, wybijali bydło, uprowadzali jeńców. Pogranicze Pensylwanii i Marylandu pustoszało, tysiące uciekinierów skupiały się w większych miasteczkach. Panika powiększała rozmiary katastrofy, tym bardziej że kolonie pozbawione były wojska.

Pożary rozświetlały nocę w puszczach i dolinach górskich. Ale i w dzień koloniści nie byli pewni życia. Np. dom osadnika Campbella w dolinie Juniaty został napadnięty w chwili, gdy sześciu mężczyzn siedziało w izbie przy obiedzie. Byli to sąsiedzi, którzy zeszli się, aby pod ochroną kilku strzelb pracować w polu. W czasie obiadu nagle otworzyły się drzwi i pięciu Indian wpadło do izby. Huknęła salwa — wojownicy ciosami kolb dokonali krwawego dzieła. Tylko chłopiec siedzący koło okna ze strzelbą w rękę zdążył wypalić do napastników, wyskoczył z domu i uciekł. Pędząc co sił przez las dopadł do najbliższego osiedla, skąd dwunastu uzbrojonych mężczyzn przebiegło przez grzbiet górski do doliny Tuscarora, aby ostrzec położone tam osady. Przybyli za późno. Część domów stała pusta, z innych pozostały już tylko zgliszcza. Wszędzie wałały się trupy. Świeży ślad wskazywał, dokąd Indianie odeszli z łupem i jeńcami. Nieostrożna dwunastka, płonąć pragnieniem zemsty i chęcią odbicia jeńców, ruszyła tym śladem, podczas gdy doświadczony myśliwy poszedłby na pewno okreśną drogą. Dwunastu osadników zwartą grupą szybko parło przez las. Nagle spoza drzew i krzaków posypał się na nich grad kul i strzał. Sześciu upadło natychmiast. Rannych dobili Indianie, którzy z krzykiem wypadli z zasadzki. Tylko czterech białych, ratując się rozpaczliwą ucieczką przez las i góry, dotarło do Carlisle.

Backwoodsmen z Wirginii wyciosani byli z twardego drzewa. Sprawy przybierały tu inną postać niż w Pensylwanii. Wojna indiańska, obrona ufortyfikowanych osiedli, potyczki w puszczy, gdzie decydowała zimna krew i celny strzał, były dla nich chlebem powszednim. Zabezpieczywszy swe rodziny za palisadami osiedli, żądni zemsty, organizowali oddziały doświadczonych myśliwych, znających puszcze i taktykę walk indiańskich, niezawodnych strzelców i tropicieli śladów. Początkowo oddziały te, formo-

wane samorzutnie, grzebały zabitych, ratowały rannych lub ścięły watahy Indian wprowadzające jeńców. Później zorganizowano także służbę wywiadowczą, aby uprzedzić i przygotować obronę przed napadami. Setki starć i potyczek stoczono w puszczy. Niekiedy zwyciężali osadnicy, gdy udawało się im zaskoczyć Indian, niekiedy sami wpadali w przebiegle zastawione pułapki, płacąc życiem lub nowymi gromadami jeńców.

Nad brzegami Kanawhy na przykład oddział Szawanów liczący około sześćdziesięciu wojowników szczególnie systematycznie prowadził dzieło zniszczenia. Przez zaskoczenie lub podstęp zdobyli oni szereg umocnionych osiedli, wybijając mieszkańców i zabierając cały ruchomy dobytek. Jako specjalnie pamiętną kroniki zanotowały masakrę osadników w Greenbier, gdzie za palisadą osiedla zbudowanego przez kolonistę Glendeninga schroniło się ponad stu mieszkańców. Pewnego dnia do osiedla zbliżyło się trzech Indian. Niektórzy osadnicy ich znali, więc wpuszczono ich bez obawy za palisadę. Po chwili jeszcze kilku wojowników weszło do fortu i zabawiało obecnych tam mieszkańców przyjazną rozmową. Stopniowo liczba Indian w forcie zwiększyła się do kilkudziesięciu. Wtedy na dany znak wojownicy runęli na białych. Zaskoczeni stawili słaby opór. Był to początek ogólnej masakry, z której tylko kilka osób zdołało się uratować. Szawanowie ograbili domy, podpalili je, a łup i jeńców uwięzili na zdobytych koniach.

Kroniki, listy, raporty i sprawozdania zachowane z tej wojny pełne są scen przerażających potwornością i okrucieństwem. Zwłaszcza w roku 1764, kiedy władze angielskie wyznaczyły nagrody za skalpy zbuntowanych Indian, dokonywano z zimną krwią wielu straszliwych mordów. Obie strony nie znały litości. Szawanowie, noszący w sercach dziką nienawiść do białych, i Senekowie, ci „Indianie wśród Indian”, odznaczali się szczególną zaciekłością. Wielkie połacie kraju, od źródeł Roanoke na południe do źródeł Susquehanny na północy, opustoszały, gdyż osadnicy tysiącami uciekali na wschód. Jednocześnie Indianie wprowadzali setki jeńców na zachód, za Muskingum, nad Scioto, nad jeziora. Była to dla nich droga pełna męczarni. Maszerowali o głodzie i chłodzie lub w skwarze i pragnieniu, prowadzeni szybko przez wytrwałych i nie znających zmęczenia Indian, którzy spieszyli do swych wio-

sek, by odtńczyć taniec zwycięstwa. A jeśli komuś nocą udało się uciec, to czekały go długie dnie i noce wędrówki przez gęstwiny i bezdroża, rozlewiska rzek i bagna, łańcuchy górskie pokryte nieprzejrzanym lasem, przez ocean puszczy, gdzie łatwo było zabłądzić, gdzie nawet w słoneczny dzień poprzez gęstwinę liści nie przedzierał się żaden promyk mogący wskazać strony świata — tak że ucieczka często kończyła się śmiercią z głodu i wyczerpania.

*

Już w kilka tygodni po rozpoczęciu wojny osiedla i miasta Pensylwanii przepełnione były uciekinierami, żyjącymi w nędzy i poniewierce. Władze odwoływały się do dobroczynności obywateli, aby znaleźć dla tych nieszczęśliwców środki utrzymania. Gubernator kolonii Hamilton zwołał w początkach lipca parlament i zażądał uchwalenia środków na obronę. Większość w parlamencie stanowili członkowie sekty kwakrów, którzy sami nigdy nie nosili broni, a do Indian odnosili się z pewną sympatią, uważając, że dzieje im się krzywda, że wojna została spowodowana przez chciwość i niewłaściwe postępowanie kolonistów. Obrady przeciągały się. W końcu jednak, pod naciskiem okoliczności i opinii uciekinierów, parlament zgodził się, aby powołać na czas żniw, dla zabezpieczenia ludności pracującej w polu, milicję obronną w liczbie siedmiuset osób, pozostającą na żołdzie kolonii. Milicja ta małymi oddziałkami, stacjonującymi w osadach nadgranicznych, miała patrolować lasy i nie dopuszczać Indian do osiedli. Była to jednak niezwykle słaba zaporą na granicy o długości setek kilometrów. Generał Amherst przywitał tę decyzję wybuchem wściekłego gniewu, wskazując kwakrom przykład Wirginii, która wszelkimi siłami przygotowywała się do obrony i która, zdaniem generała, godnie ratowała honor Anglii.

Granicznicy z Wirginii od początku samorzutnie formowali oddziały obronne. Aktem ustawodawczym powołano pod broń tysiąc żołnierzy. Werbowano ich nie spośród kwakrów, lecz *backwoods-men*, którzy nie tylko nie mieli żadnych uprzedzeń do przelewu krwi indiańskiej, ale przeciwnie, uważali go za zasługę przed Bogiem i ludźmi. Nigdzie hasło „tylko martwy Indianin jest dobrym

Indianinem” nie znajdowało silniejszego oddźwięku niż tutaj. Spontanicznie tworzone oddziały rychło zostały zastąpione przez dwa bataliony, liczące po pięciuset żołnierzy, pod dowództwem pułkownika Stephena i majora Lewisa. Do nich dołączali się ochotnicy pragnący pomścić śmierć lub niewolę swoich rodzin. Opisy ich walk mogłyby zająć całe tomy. Do najtrudniejszych zadań należała służba wywiadowcza w puszczy, wykrywanie oddziałów indiańskich skradających się w stronę osad. Indianie z kocią ostrożnością przygotowywali swoje napady i zręcznie przemykali przez gęstwiny puszczy. Trzeba więc było niesłychanej orientacji i zdolności niemal psa gończego, aby wysledzić gromadę wojowników, poznać jej siłę, a następnie uprzedzić i w porę zaalarmować oddział, by mógł przygotować obronę.

Wojna w puszczy toczyła się ze zmiennym szczęściem. W walkach wręcz przeważnie zwyciężała lepsza broń i organizacja kolonistów. Jednakże nieraz ponosili oni ciężkie straty. Po pewnym czasie oddziały milicji z Pensylwanii i Wirginii zaczęły atakować wioski stanowiące bazę wypadową Indian, położone w puszczech nad zachodnimi dopływami Susquehanny, w północnych wybiegach Alleghenów, a więc stosunkowo blisko granicy. Trzeba podkreślić, że również po stronie indiańskiej nad granicą skupiały się elementy specjalnie wojownicze i przedsiębiorcze, niedobitki różnych plemion, wyparte ze wschodu, mające zwykle do wyrównania ciężkie rachunki, nie posiadające już ojczyzny i nie widzące innej przyszłości prócz walki i zemsty. Wyprawy przeciwko tym wioskom, podejmowane w sile kilkuset ludzi, doprowadziły do ich spalenia. Indianie natomiast uchylali się od walki uchodząc w lasy.

Rozwścieczone stratami gromady kolonistów szukały zemsty nie tylko na polu bitwy i w wyprawach do puszczy. Szukały jej wszędzie. Na tym właśnie tle doszło do jednej z okrutnych masakr tej wojny.

Na zachodnim brzegu Susquehanny, w pobliżu miasteczka Lancaster znajdowała się indiańska wioska Conestoga. Mieszkający tu Indianie zawarli traktat przyjaźni jeszcze z Williamem Penem w roku 1680 i wszyscy następnii gubernatorzy Pensylwanii traktat ten potwierdzali. Mieszkańcy Conestogi dotrzymywali wa-

runków pokoju, nie biorąc udziału w kolejnych wojnach. Mimo to wioska upadała. Bezpośrednie sąsiedztwo kolonistów działało na Indian demoralizująco, grasowały choroby, wyniszczał ich alkohol. Jak zwykle, z cywilizacji białych Indianie przejmowali najpierw elementy ujemne, powodujące rozkład ich obyczajów, zanikanie tradycyjnej kultury i więzi społecznej. Wioska wyludniała się, mieszkańcy jej żyli w nędzy. W czasie wojny Pontiaka żyło tu tylko dwadzieścia rodzin w chatkach zbudowanych z nie ociosanych pali. Mężczyźni trudnili się polowaniem, bardziej jednak oddając się nieróbstwu, kobiety wyplatały kosze i sporządzały różne wyroby z drzewa, sprzedając je kolonistom i w ten sposób zdobywając środki marnego utrzymania.

Kolonisci z pobliskich osiedli ciągle podejrzewali Indian z Conestogi o sprzyjanie walczącym plemionom, o wskazywanie dróg wojownikom, o ukrywanie rannych Indian i szpiegostwo. Być może podejrzewania te nie były zupełnie bezpodstawne, chociaż istnieją pewne dowody, że mieszkańcy tej wioski bezpośrednio udziału w walkach nie brali. Szczególną nienawiść do czerwono-skórych żywiła ludność miasteczka Paxton, najbliższego osiedla na północ od Conestogi. W roku 1755, po wybuchu ostatniej wojny francuskiej, Indianie prowadzeni przez Francuzów spalili to miasteczko i wycięli znaczną część mieszkańców. Z czasem odbudowano domy i obejścia, napłynęli nowi osadnicy, ale pragnienie zemsty pozostało w sercach na zawsze. Toteż po wybuchu wojny na granicach kolonii mieszkańcy Paxton uformowali oddział strzelców i skautów, odznaczających się specjalną zaciętością w zwalczaniu Indian. Jednym z jego przywódców był doświadczony granicznik i traper, Mathew Smith, człowiek silny, bezwzględny i brutalny, typowy przedstawiciel nieprzejednanych i okrutnych łepocieli Indian.

W grudniu 1763 roku zwiadowca patrolujący lasy graniczne doniósł Smithowi, że ślad jednego z Indian, biorących udział w napadzie na sąsiednie osiedla, prowadził do Conestogi. Oto nadarzała się sposobność do rozprawy ze znieprawionym gniazdem czerwonoskórej hołoty! Smith szybko zwołał pięciu towarzyszy i uzbrojony się wskoczyli na konie. W grudniowe popołudnie przez zasnieszoną i ponurą puszcę pojechali do wioski indiańskiej.

Ukrywszy towarzyszy i konie w lesie, Smith w mroku zapadającego wieczora podkraść się do chat. Zaglądając przez okna — jak później opowiadał — dostrzegł uzbrojonych wojowników. Wrócił więc do towarzyszy i wspólnie uznali, że jest ich za mało, aby zaatakować wieś. Wskoczyli na konie i wrócili do Paxton. Smith szybko zebrał oddział i wyjaśnił, jaka to nadarza się okazja. Wkrótce pięćdziesięciu jeźdźców z Paxton i sąsiedniego Donnegał gnało przez milczący las. Przed świtem zsiadli z koni i otoczyli wieś.

W chatach indiańskich płonęły ogniska, a kobiety wychodziły z izb. Osadnicy podkradali się ostrożnie, jednak Indianie posłyszeli skrzyp śniegu pod ich butami i zauważyli zbliżające się postacie. Jeden z mężczyzn wyszedł z chaty zobaczyć, co się dzieje. Na dworze panował jeszcze mrok. Gdy zbliżył się do napastników, jeden z nich krzyknął: „On zabił moją matkę!” i strzelił do podchodzącego. Indianin padł, krew trysnęła na śnieg. Wtedy gromada zabijaków wdarła się do chat, wyłamując drzwi i strzelając. W ciągu kilku minut wszyscy mężczyźni, kobiety i dzieci padli pod ciosami kolb, toporów i noży.

Gromada uzbrojonych wojowników okazała się przywidzeniem Smitha. W wiosce było tylko sześciu mężczyzn. Reszta znajdowała się na polowaniu, niektórzy wraz z rodzinami. Mordercy zabrali mizerny dobytek Indian, a następnie podpalili chaty. Wracając w zawię śnieżnej, zatrzymali się i grzali w domach osadników, chwając się dokonanym czynem.

Wiść o bestialskiej masakrze rychło rozniosła się po okolicy. Szeryf z Lancaster wraz z grupą zbrojnych pojechał na miejsce napadu, gdzie wokół dymiących zgliszcz i trupów błakało się w przerażeniu czterestu Indian, kilka kobiet i dzieci.

Mordercy z Paxton zapowiadali, że Indian z Conestogi wytepią bez reszty, szeryf zabrał więc niedobitków do Lancaster, aby zapewnić im „opiekę”. Po przybyciu do miasta okazało się, że jedynym bezpiecznym miejscem jest więzienie, więc umieszczono ich tu w ciasnej celi. Wysłano też gońca do gubernatora w Filadelfii z wieścią o masakrze. Gubernator w oburzeniu zapowiedział surową karę dla sprawców napadu, ale „Paxton boys” wcale się tym nie przejęli. Gdy dowiedzieli się, że niedobitki

Indian z Conestogi znajdują się w Lancaster pod opieką władz kolonii, zorganizowali wyprawę do miasta i tu na oczach jego mieszkańców włamali się do więzienia, z zimną krwią wymordowali wszystkich uwięzionych Indian, a następnie, nie zatrzymywani przez nikogo, odjechali galopem, wznosząc okrzyki i wywijając bronią.

Wiść o masakrze szerzyła się nie tylko w koloniach. Przebiegła także przez puszcze, zapisana w czarnych wampumach żałoby i zemsty. Setki osadników i ich rodzin zapłaciły życiem za tę masakrę. Od Kanady do ujścia Missisipi rozlegały się żałobne krzyki kobiet i wojenny śpiew gotujących się do wypraw mścicieli. Mimo zimy wojna nie została przerwana.

Tak kończył się rok 1763,znaczony łunami pożarów, rozbrzmiewający krzykiem niespodziewanych napadów i hukiem strzałów w leśnych walkach.

Ale w roku tym zaszły także inne ważne wydarzenia. Dowództwo angielskie, rozporządzając szczupłymi siłami wojskowymi, postanowiło przede wszystkim utrzymać forty broniące się jeszcze w puszczy, tj. Detroit i Pitt. W lecie wysłano tam posiłki. Pułkownik Bouquet z jednym oddziałem pomaszerował do fortu Pitt drogą, którą niegdyś szedł generał Braddock po śmierć i klęskę. Natomiast do Detroit wyruszył kapitan Dalzell, adiutant naczelnego wodza, prowadząc około trzystu żołnierzy i liczne armatki.

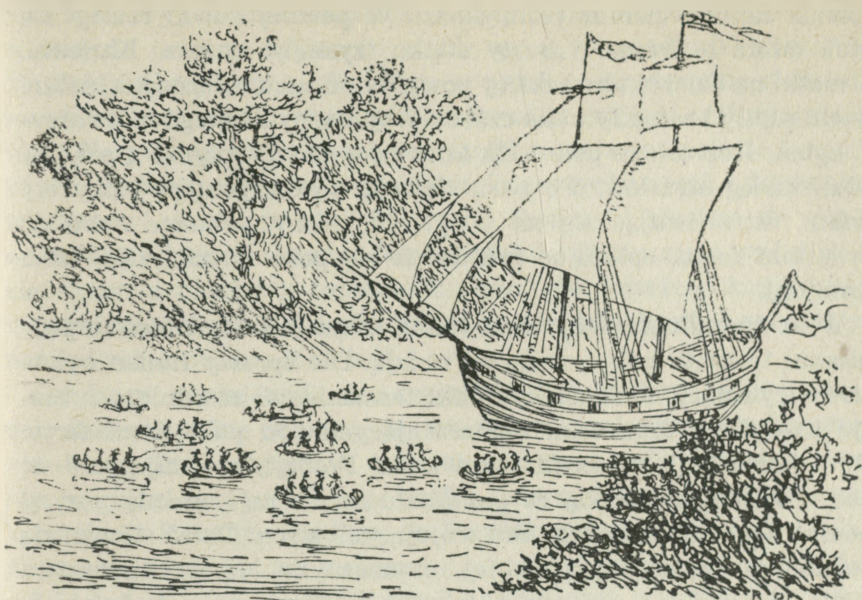


Pod oblężonym fortem

Szkuner, wysłany przez Gladwyna do fortu Niagara wkrótce po rozpoczęciu oblężenia, dotarł tam pomyślnie i doczekał się powrotu resztek wyprawy Cuylera. Niedobitków tych, ocalałych z pogromu, oraz kilkudziesięciu żołnierzy z załogi fortu, razem sześćdziesięciu ludzi, wraz z zapasami amunicji i żywności załadowano na pokład i szkuner pożegłował z powrotem do Detroit. Wiatry sprzyjały. 19 czerwca statek wpłynął do ujścia rzeki. Tutaj czekały go przeprawy przez sprzyjające zasadzkom wąskie kanały między wyspami, gdzie mógł być ostrzeliwany z obu stron. Dlatego dowódca statku trzymał wszystkich żołnierzy i działka w nieustannym pogotowiu bojowym.

Ostrożność była wielce uzasadniona, gdyż i Indianie nie próżnowali. Zwiadowcy z daleka wysłedzili szkuner płynący po jeziorze. W najwęższym miejscu rzeki, koło Wyspy Indyczej, wojownicy Pontiaka zbudowali barykadę z pni, maskując ją tak w krzakach, że z wody była zupełnie niewidoczna, a za nią zgrupowali silny oddział i liczne czółna, obiecując sobie wiele po niespodziewanym ataku. Gdy szkuner podpłynął blisko wyspy, wiatr ucichł zupełnie. Żagle opadły i prąd zaczął znosić statek. Rzucono kotwicę i kołysany prądem szkuner utknął na środku stosunkowo wąskiego kanału. Dowódca już przedtem zabronił żołnierzom pokazywać się na pokładzie, aby Indianie nie mogli się zorientować, jak liczna jest załoga.

Słońce skryło się za ścianą lasu, potem wspaniała zorza zabarwiła niebo czerwienią i złotem. Wreszcie niebo zbladło pokrywając się przejrzystym seledynem, a z lasów wypełzał coraz gęstszy mrok. Porośnięte drzewami i krzakami brzegi nie zdra-



dzwały żadnego życia. A jednak setki wojowników leżały tu w zasadzce i setki oczu wpatrywały się w każdy ruch na statku ze śmiertelną nienawiścią i napięciem. Zapadała noc. Zarówno na szkunerze, jak i na brzegu gromady uzbrojonych mężczyzn czuwały trzymając broń w pogotowiu. Na bezchmurnym niebie pojawiły się gwiazdy i w blasku ich rzeka lśniła jasną smugą pomiędzy czarnymi ścianami puszczy. Woda szumiała i bulgotała monotonnie. Na pokładzie pod burtami rozłożyli się żołnierze z muszkietami w rękę. Przy armatkach kanonierzy. Dowódca zakazał rozmów. Strzelać wolno było tylko na rozkaz. Hasłem do otworzenia ognia miało być uderzenie młotem w maszt. Wartownicy oparci o burty wypatrywali oczy aż do bólu. Godziny mijały. Po północy żołnierz czuwający na dziobie statku spostrzegł zarys łodzi spływających bezszelestnie z prądem. Indianie sunęli w swoich kanu zwartą ławą, nie wiosłując i pozwalając się znosić prądowi, tak aby bezgłośnie podплыnąć pod burty szkunera. Noc jednak była jasna i war-

townik dojrzał ciemną plamę łodzi. W pewnej chwili rozległ się stuk młota o drzewo i burty statku trysnęły ogniem. Kartacze, armatki na dziobie i muszkiety powaliły od razu czternastu Indian, wielu raniły i zatopiły kilka czólen. Wojownicy z brzegów otworzyli ogień, lecz załoga podniosła kotwicę i statek spłynął z prądem poza zasięg strzałów. Po paru dniach, wykorzystując pomyślny wiatr, ostrzeliwując się na wszystkie strony, szkuner dobił do przystani fortu, opłacając przedarcie się przez kanał rzeki kilku rannymi.

Wraz z posiłkami i zapasami statek przywiózł wiadomość o podpisaniu traktatu pokojowego z Francją. Dla sprawy Indian był to cios decydujący. Jednocześnie fakt ten zmieniał zasadniczo sytuację osadników francuskich mieszkających pod palisadami fortu. Dotychczas byli oni poddanyami króla Francji, znajdującymi się pod okupacją angielską, co pozwalało im na zajmowanie pozycji neutralnej w stosunku do obu wojujących stron. Teraz stawali się poddanyami korony angielskiej, zmuszonymi do posłuszeństwa wobec wszystkich zarządzeń władz wojskowych, powołujących mieszkańców kolonii do walki z powstaniem indiańskim. Gładwyn wiedział, że Francuzi serdecznie nienawidzą Anglików i że wielu z nich otwarcie sprzyja Indianom, zdawał sobie również sprawę, że w praktyce żaden Francuz nie podejmie broni. Miał jednak nadzieję, że osadnicy będą mu teraz chętnie dostarczali żywności, nie obawiając się ewentualnej zemsty władz francuskich.

W tym czasie Pontiak — nie wiedząc jeszcze o zawarciu pokoju i ostatecznym przejściu przez władze angielskie wszystkich terenów na wschód od Missisipi, nominalnie należących do Francji — czynił dalsze starania o pozyskanie osadników francuskich dla swej sprawy. W dniach, kiedy szkuner przebił się do fortu, wódz Ottawów zwołał mieszkańców osiedla na naradę. Gońcy obeszlą domy francuskie z zaproszeniem i wezwaniem wodza. Na placu otoczonym wigwamami rozłożono szerokim kołem maty, pośrodku rozpalono ognisko. Na matach zasiedli wodzowie i znaczniejsi spośród Francuzów, a za nimi stanął zmieszany, zbity tłum wojowników i mieszkańców osiedla.

Pontiak wygłosił mowę, która — spisana przez jednego z uczestników narady — została przekazana historii. Wzywał on Fran-

cuzów do wypędzenia Anglików z ziem, które niegdyś były francuskie, do pomocy Indianom w ich walce, prowadzonej przecież dla dobra obu stron. „Jak długo — pytał — zamierzacie siedzieć na skórach i matach i patrzeć beczynnie, jak my walczymy za was? Nazywacie się naszymi przyjaciółmi, a zaopatrujecie Anglików w żywność, wysyłacie szpiegów do naszych wiosek i donosicie wiadomości Anglikom! Z tym trzeba skończyć! Musicie się opowiedzieć po którejś stronie. Jeżeli jesteście Francuzami, podejmijcie razem z nami ten tomahawk, lecz jeśli jesteście Anglikami, wypowiadam wam wojnę. Spójrzcie na ten tomahawk i pozwólcie nam usłyszeć waszą odpowiedź.”

Osadnicy spodziewali się, czego Pontiak będzie od nich żądał. Zdawali sobie sprawę, że ich pozycja między obu obozami nie da się długo utrzymać, i nieraz nad tymi radzili. Dlatego teraz, wezwani przez wielkiego wodza, przynieśli z sobą odpis aktu kapitulacji Kanady, wiedząc, że Pontiak również zna jego treść. Nie ośmielili się jednak wspomnieć, że został podpisany pokój i że wskutek tego stali się poddanymi Anglii, gdyż wtedy tomahawki zjednoczonych plemion spadłyby na ich głowy. Nie znamy nazwiska osadnika, który zabrał głos w odpowiedzi, lecz zachował się tekst jego przemówienia. Zapewniał on Pontiaka o przyjaźni i sympatii, jaką darzą Francuzi walczących Indian. Niestety, nie mogą wziąć jawnego udziału w walce, gdyż zakazał im tego sam król Francji. Tu mówca przeczytał odpis aktu kapitulacji, a następnie rzekł: „Ten papier każe nam, Kanadyjczykom, siedzieć spokojnie i słuchać Anglików, póki nasz król znowu nie wróci. Musimy słuchać naszego króla. I wy, bracia, nie możecie podnosić przeciw nam toporów wojny, gdyż nie uniknęlibyście zemsty naszego króla, kiedy tu znów powróci”.

Pontiak nie wiedział, co odpowiedzieć na taką argumentację, i siedział zamyślony ponuro. Osadnicy francuscy nie stanowili jednak grupy społecznie jednorodnej. Bogaci, którzy udzielali poparcia Anglikom i utrzymywali z nimi stosunki, liczyli na to, że pod panowaniem angielskim będą prosperować lepiej niż w feudalnych stosunkach francuskich. Natomiast ubożsi spośród nich, nie posiadający dostatecznej ilości ziemi, utrzymujący się z polowania i handlu futrami, najemni przewodnicy i traperzy, powiąza-

ni z Indianami trybem życia, a nieraz i węzłami rodzinnymi — prawdziwi ludzie puszczy, którzy nienawidzili angielskiej kolonizacji trzebiącej wielkie lasy — byli innego zdania. I oto teraz, na naradzie, ku przerażeniu zamożnych właścicieli wielkich gospodarstw, z kręgu stojących wokół *coureurs de bois* wysunął się ubrany w skóry myśliwy, podjął rzucony przez Pontiaka tomahawk i oświadczył, że jego towarzysze przystępują do wspólnej walki przeciwko Anglikom.

Niewiele mogli oni pomóc Pontiakowi. Była to garść kilkudziesięciu strzelców, ciemnych analfabetów, nie stojących na wyższym poziomie niż Indianie. Nie posiadali oni żadnej wiedzy o sztuce wojennej i znali tylko indiańskie metody walki. Jednakże przystąpienie ich do powstania miało dla Pontiaka poważną wartość moralną. Wieść o tym rozeszła się wśród plemion, podtrzymując w nich nadzieję i wolę walki.

Pontiak przyjął ochotników z radością i zaprosił ich na ucztę. Wiele tuczonych psów padło tego dnia pod nożem — przed wojownikami i gośćmi pojawiły się misy tłustego mięsa.

Następnej nocy oddział Indian i nowych sprzymierzeńców usadowił się za niewielką barykadą w pobliżu palisad i od świtu celnymi strzałami raził nieprzyjacielskie strzelnice. Kanadyjczycy byli mistrzami w strzelaniu. Ich kule zawsze trafiały do celu, nie marnowały się uderzając w bale palisady. Gładwyn rychło spostrzegł, że w tym gnieździe usadowiły się szczególnie dokuczliwe osy, i nakazał wycieczkę dla ich likwidacji. Otwarto bramę i porucznik Hay na czele silnego oddziału bagnetami zaatakował barykadę. Francuzi nie okazali ochoty do walki. Zamiast szybkim i celnym ogniem ostrzelać atakujących, uciekli na sam widok zbliżających się żołnierzy. Indianie trzymali się lepiej i dwóch z nich zginęło w walce wręcz. Wśród atakujących żołnierzy znajdował się jeden, który przebywał kiedyś w niewoli indiańskiej. Oskalpował on zabitego Indianina i z dzikim okrzykiem pokazał czerwonoskóry krwawy skalp. Zdarcie skalpu rozwścieczyło Indian, gdyż według ich wierzeń dusza zabitego stawała się w ten sposób sługą zwycięzcy w wiecznych ostępach.

Zabity i oskalpowany Indianin był bliskim krewnym Wassona, wodza całego szczepu Odżibwejów. Dowiedziawszy się o śmier-

ci krewniaka, stary wódz uczernił twarz na znak, że wstępuje na ścieżkę zemsty, wezwał kilku wojowników i udał się do domu osadnika Melocha, gdzie od pierwszego dnia oblężenia uwięziony był major Campbell. Odzibwejowie porwali jeńca, przywiązali go do płotu i zabili strzałami z łuków, ciało wrzucono do rzeki, lecz osadnicy wyłowili je i pogrzebali. Dowiedziawszy się o postępku Wassona, Pontiak szalał z gniewu. W forcie wiadomość ta wywołała głębokie przygnębienie.

*

Gładwyn nie tylko bronił się za palisadami, lecz od czasu do czasu urządzał wypadki i wycieczki. Główną jego bronią ofensywną były oba szkunery, które żeglowały po rzece, ostrzeliwując z armatek wioski, obozy i skupiska wojowników. Indianie z podziwem, zabobonnym lękiem, lecz i z nienawiścią patrzyli na manewrujące statki, umiejące płynąć pod prąd i wiatr. Żeby pozbawić Anglików tej broni, skierowali cały wysiłek na jej zniszczenie. Szkunery stały na kotwicy w przystani, blisko palisad, ale w pewnym oddaleniu od płytkiej wody przy brzegu. Indianie naładowali dwa czółna smołą, korą brzożową i gałęziami, związali je długą linką, podprowadzili nocą w pobliże statków, podpalili i puścili z prądem, licząc, że czółna spłyną z obu stron szkunerów, lina zahaczy o dzioby, a buchające płomieniami czółna oprą się o burty i podpalą statki. Jednakże zmienny prąd sprzyjał Anglikom, zresztą Indianie nie odważyli się zbliżyć dostatecznie i podpalone czółna minęły statki. W kilka dni później wojownicy ponowili taki atak ogniowy. Tym razem skierowali w stronę szkunerów duże tratwy z bali, na których ułożono stosy kory brzożowej, smolnych szczap i suchych gałęzi. Przed świtem 20 lipca ustawili tratwy powyżej statków, podpalili, a następnie puścili z prądem. Wartownicy na szkunerach dostrzegli płomienie i natychmiast zaalarmowali załogi. Płonące tratwy zbliżały się z wolna. Czerwony blask wydobywał z mroku zarysy lasów, domki Francuzów, kontury palisad i baszt fortu, grupki Indian patrzące z brzegów na rezultat swoich wysiłków. Lecz i tym razem Anglikom sprzyjało szczęście: palące się

tratwy minęły statki i obsypując je fontannami iskier, spłynęły z prądem w dół rzeki.

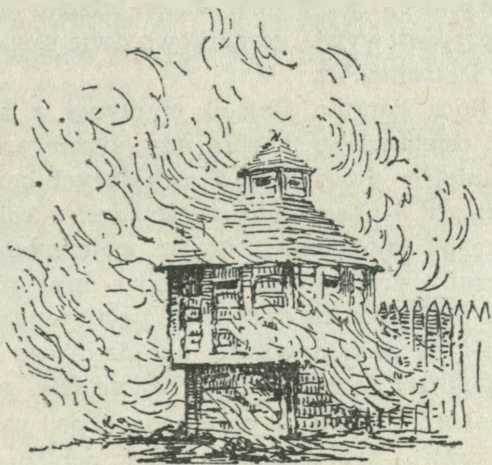
Gładwyn podjął specjalne środki ostrożności dla ochrony statków, które były jego jedynym łącznikiem z fortami na wschodzie. Oba angielskie szkunery zostały zaopatrzone w dodatkowe łodzie uwiązane do burt łańcuchami, a na pokładach co noc czuwali żołnierze, którzy w razie potrzeby mieli wsiąść do łodzi i długimi drągami odpychać pałace się tratwy. Dowiedziawszy się od Kanadyjczyków o tych zarządzeniach, Indianie poniechali bezskutecznych prób podpalenia szkunerów.

Oblężenie trwało już trzy miesiące. Garnizon fortu — wymęczony ciągłym czuwaniem, wygłodniały i trapiiony chorobami — gonił resztkami sił. Indianie, skupieni nieugiętą wolą Pontiaka, wykazywali niespotykaną w ich dziejach wytrwałość. Nigdy przedtem ani potem gromady czerwonoskórych wojowników nie przeprowadziły tak długiego, systematycznego oblężenia. W pierwszych miesiącach walki pod Detroit nieustannie nadciągały nowe watahy wojowników prowadząc jeńców ze zdobytych fortów i znosząc wieści z rozległego terenu wojny. W lipcu przybyły gromady Szawanów znad Scioto, Delawarów z różnych stron doliny Ohio, nawet Abnaków ze wschodniej Kanady. Siły Pontiaka stale rosły. Osobliwością tej wojny była jednak nie wielka liczebność armii indiańskiej, lecz jej upór i wytrwałość w prowadzeniu akcji, organizacja i zarys jednolitego planu walki. Pod Detroit skupiło się — według późniejszych sprawozdań Kanadyjczyków — około 250 Ottawów Pontiaka, 150 Potawatomic pod wodzą Ninivaya, około 100 Wyandotów prowadzonych przez Takee, około 400 Odzibwejów w dwóch oddziałach pod dowództwem Wassona i Sekahosa. Prócz nich drobniejsze grupy wielu plemion z zachodu i południa. Pontiak nie sprawował wprawdzie naczelnego dowództwa w europejskim znaczeniu, ale w radzie wodzów miał głos decydujący.

Długie oblężenie nie przynoszące łupów ani skalpów zaczynało ciążyć także wojownikom indiańskim. Nie był to ich sposób wojowania. Ich wojna to był niespodziewany atak przynoszący zdobycze i skalpy, triumfalny powrót do wioski, tańce i pieśni ku chwale zwycięzców. Ataki na fort zawsze połączone były z narażeniem się na kule obrońców. Armatki z baszt i szkunerów kładły

wiele ofiar. Dlatego pod koniec lipca delegacja Wyandotów i Potawatomicz udała się do fortu, prosząc o zawarcie pokoju. Po dłuższych pertraktacjach Gladwyn, chcąc osłabić siły oblegających, zgodził się na zawarcie pokoju z tymi plemionami pod warunkiem wydania jeńców znajdujących się w ich rękach. Kiedy przyprowadzono jeńców do fortu, wypalił z Indianami fajkę pokoju, choć dobrze wiedział, że jest to akt całkowicie bez znaczenia. Po pierwsze Pontiak na czele innych plemion dalej prowadził wojnę i żaden żołnierz nie mógł się wychylić z palisady, po drugie major wiedział, że w razie jakiegokolwiek niepowodzenia białych plemiona, z którymi zawarto pokój, znowu zjawią się na polu walki.

Przypuszczenia jego były zupełnie słuszne. Już w następnych dniach po zawarciu tego wątpliwego traktatu pokojowego pod Detroit zaszły wydarzenia, które zupełnie zmieniły tok wojny, a wojowników obu plemion znowu ściągnęły na pole bitwy. To od wschodu płynęła tak tęsknie oczekiwana w forcie odsiecz i pomoc.



Rozbicie odsieczy

Po rozbiciu wyprawy porucznika Cuylera i przejściu przez Indian zapasów wiezionych dla wysuniętych na zachód fortów położenie angielskiego dowództwa stało się nader trudne. Forty upadały jeden po drugim i napór Indian na granice kolonii stale wzrastał. Po zdobyciu Presque Isle, Le Boeuf i Venango już nie tylko drobne grupki młodych wojowników, ale całe potężne watahy pustoszyły osiedla nad Kanawhą, Susquehanną, wzdłuż zachodnich granic Wirginii, Marylandu, Pensylwanii i Nowego Jorku. Generał Amherst rozumiał dobrze, że w tej sytuacji fort Detroit musi być utrzymany, aby tysięczna armia Pontiaaka pozostała tam nadal związana i nie wzięła udziału w ataku na kolonie. Dlatego przygotowywał gorączkowo dwie ekspedycje dla ratowania fortów Detroit i Pitt.

W połowie lipca kapitan Dalzell wypłynął z fortu Niagara, wioząc dwustu osiemdziesięciu żołnierzy, liczne armatki, zapasy żywności i amunicji w dwudziestu dwóch dużych barkach. Było to wszystko, co generał Amherst mógł zgromadzić w koloniach pozabawionych wojska po zakończeniu działań wojennych w Kanadzie. Jako doświadczony przewodnik i doradca brał również udział w ekspedycji major Rogers na czele dwudziestu *rangers*.

Płynąc powoli na zachód wzdłuż południowego brzegu jeziora Erie, Dalzell dotarł do ruin fortu Presque Isle, gdzie zdumiały go barykady i okopy indiańskie oraz podkop pod palisady i blokhaus. 26 lipca konwój przybił do brzegu w pobliżu zgliszcz fortu Sandusky. Pałając uczuciem zemsty, Dalzell zorganizował wyprawę przeciwko pobliskim wioskom Wyandotów. Nie udało się ich jednak zaskoczyć, gdyż Indianie rychło spostrzegli barki i wszyscy

uciekli do puszczy. Nikt też nie stawiał mu czoła — wojownicy z tych okolic znajdowali się bowiem pod Detroit, pod Pitt lub na wyprawach na granicy. Wojsko spaliło wieś i zniszczyło pola kukurydzy. Następnie pożeglowano dalej na północ, w stronę fortu Gładwyna. Los porucznika Cuylera wszystkim stał jeszcze przed oczyma. Rogers radził wpłynąć do ujścia Detroit pod osłoną nocy, nie przybijać do brzegu, przygotować armatki do odparcia ataku indiańskich kanu. Zbliżywszy się więc do ujścia rzeki, barki pozostały aż do zupełnej ciemności na jeziorze, poza zasięgiem widoczności z brzegu, a potem, w nocy, wiosłując ostrożnie, zaczęto posuwać się naprzód. Dalzell miał szczęście. Nad ranem gęsta mgła otuliła rzekę i puszcze. Anglicy płynęli zwartą ławą, wiosłując możliwie cicho, i gdy mgła zaczęła się rozwiewać, byli już blisko fortu. Wtedy dopiero zobaczyli ich wojownicy Pontiaka. Okrzyki na alarm poderwały Potawatomich i Wyandotów, którzy natychmiast zapomnieli o zawartym pokoju i rzucili się do ataku. Najeżone armatkami i muszkietami barki zaraz odpowiedziały ogniem. Strzelając z obu brzegów, Indianie zabili lub ranili piętnastu żołnierzy. Reszta zawinęła do przystani, witana z entuzjazmem przez obleżonych. Przy pomocy załogi fortu wyładowywano armatki, zapasy i broń, przenosząc je do magazynów. Zwiadowcy Pontiaka śledzili to uważnie. Również jego francuscy przyjaciele w forcie mieli oczy i uszy otwarte.

Kapitan Dalzell brał niegdyś udział w wojnie jako towarzysz Rogersa, wiedział więc, jakim wrogiem są Indianie i co znaczy walka w puszczy. Później jednak, przeniesiony do sztabu jako adiutant generała Amhersta, stał się zarozumiały i zbyt pewny siebie. Jak wszyscy oficerowie sztabowi, zanadto ufał zasadom taktyki zawartym w oficjalnym regulaminie walki i jak niegdyś Braddock, lekceważył Indian. Po prostu zgłupiał w sztabie — jak nieraz myślał Rogers słuchając jego tyrad. Rankiem 29 lipca, natychmiast po wyładowaniu zapasów, poprosił Gładwyna o zwołanie rady sztabowej, na której przedstawił swój plan zniszczenia głównych sił Pontiaka za jednym uderzeniem. W wypowiedzi jego nie brakło uszczypliwych docinków pod adresem Gładwyna, który — gdyby był odważniejszy i bardziej zdecydowany — to na czele swojego garnizonu mógłby sam rozpedzić czerwonoskórą

hałas trę. Plan Dalzella był prosty: niespodziewany wymarsz w nocy, otoczenie półkolem obozu Pontiaka, kilka salw muszkietów, atak na bagnety i sprawa skończona. Gladwyn słuchał ze spokojem tej pełnej pychy gadaniny, lecz nocnej wyprawie sprzeciwił się stanowczo. Siły Indian były zbyt duże. Nie licząc Wyandotów i Potawatowich, w głównym obozie zgromadzonych było ponad sześciuset wojowników. Zaskoczenie ich było sprawą trudną, gdyż zwiadowcy stale krążyli wokół fortu. Indianie mieli za sobą serię zwycięstw, należało się więc spodziewać, że będą walczyli jak szatany, zwłaszcza że oczekiwali bitwy. Zwycięstwo było zatem mało prawdopodobne, klęska natomiast prawie pewna. Rogers również nie podzielał optymizmu adiutanta. Zbyt dobrze wiedział, co znaczy walka z przeważającą siłą Indian w terenie poprzecinanym parowami, pokrytym lasami, sadami i płotami.

Ale Dalzell się uparł. Nie tylko ponowił zarzut, że nadmierna ostrożność jest tchórzostwem, lecz także dał do zrozumienia, że jako adiutant naczelnego wodza nie musi słuchać Gladwyna, że on sam dowodzi żołnierzami ekspedycji. W końcu major wzruszył ramionami i zgodził się na plan Dalzella. Zastrzegł tylko, że jego załoga nie weźmie udziału w bitwie, i dopilnował, aby przedsięwzięto możliwe środki ostrożności. Postanowiono, że nazajutrz, tj. 30 lipca, zostaną poczynione ostatnie przygotowania, a w nocy z 30 na 31 lipca dwustu trzydziestu żołnierzy i dwudziestu *rangers* pod dowództwem Dalzella uderzy na obóz Pontiaka. Trzydziestu żołnierzy z ekspedycji miało zostać na straży łodzi w przystani. Kilka łodzi uzbrojonych w armatki miało posuwać się po rzece równoległe z wyprawą. Gladwyn bez entuzjazmu patrzył na te przygotowania.

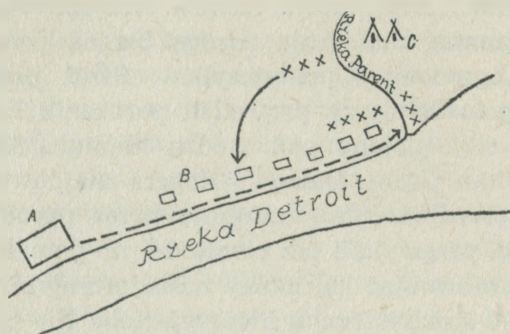
Kanadyjscy przyjaciele Pontiaka rychło dowiedzieli się, co się święci. 30 lipca, nim zaszło słońce, wódz nie tylko był dobrze poinformowany o planie wyprawy, lecz odbył już naradę i przygotował plan bitwy. O zmroku kolumny wojowników w milczeniu zajmowały wyznaczone pozycje i budowały barykady, przygotowując śmiertelną pułapkę. Twarze i ciała ich pokrywała tylko czarna farba. Czarno pomalowani zwiadowcy czaili się w ogrodach i polach wokół fortu. Pontiak udzielił wodzom dokładnych instrukcji.

W godzinę po północy otworzyła się bezszelestnie ciężka brama fortu na starannie natłuszczonych zawiasach. Dalzell i Rogers wysunęli się pierwsi i przystanęli nasłuchując. W tej chwili ciszę nocną rozdarł krzyk sowy. Rogers podniósł głowę. Wrzaski sów rozlegały się coraz dalej. „Drogo nas mogą kosztować te sowie krzyki” — rzekł major. „Nie jestem przesądny” — odpowiedział Dalzell, który nie zrozumiał, co Rogers miał na myśli.

Noc była bezgwiezdna i wyjątkowo ciemna. Wojsko wyciągnęło się w długą kolumnę, maszerując drogą biegnącą między rzeką a domkami i ogrodami Kanadyjczyków. Straż przednią w sile dwudziestu pięciu żołnierzy prowadził porucznik Brown. Za nią maszerowały siły główne pod wodzą kapitana Graya. Straż tylną wiódł kapitan Grant. Dalzell i Rogers znajdowali się w środkowej grupie. Wzdłuż całej kolumny, przez ogrody, za płotami, pod drzewami, przemykali jak cienie czarno pomalowani zwiadowcy Pontiaka, informując go dobrze naśladowanymi krzykami nocnych ptaków o każdym ruchu nieprzyjaciela. Nie było to zresztą konieczne, gdyż rozbudzone w obejściach Francuzów psy, przerażone tupotem setek butów żołnierskich podniosły piekielną wrzawę. W tej sytuacji zaskoczenie nawet nie uprzedzonego obozu Indian byłoby mało prawdopodobne. Noc była gorąca i parna. Żołnierzy ubrano lekko, unikając obciążenia. Zabrali oni tylko potrzebny zapas amunicji.

Mniej więcej o cztery kilometry na północny wschód od fortu znajdowała się rzeczka zwana Parent River (później nazwana ją Bloody Run). Płynęła tu ona dość głębokim parowem i wpadała do Detroit prawie pod kątem prostym. Obóz Pontiaka znajdował się na jej wschodnim brzegu, odsunięty od rzeki Detroit w głąb łądu, poza las i bagno, dla ochrony przed ostrzeliwaniem ze szkunerów. Droga z fortu od tego obozu wiodła przez parów, most, na wschodnim brzegu skręcała w lewo biegnąc dalej dnem parowu, pod wysokim brzegiem, w górę rzeki. W tym właśnie miejscu Pontiak postanowił zatrzymać Anglików. Tutaj wojownicy wzniesli barykady z drzewa pościananego i przygotowanego przez osadników na opał. Za barykadami przyczaił się oddział, którego zadaniem było zatrzymanie Anglików. Drugi oddział leżał w zasadzce za płotami i w sadach wzdłuż drogi, przed zejściem

do parowu. Największą siłę trzymał wódz w rezerwie pod lasem, aby rzucić ją na tyły Anglików, kiedy rozpocznie się bitwa w parowie. Szkic sytuacyjny zaplanowanej przez Pontiaaka bitwy przedstawiał się w przybliżeniu następująco:



A - Fort Detroit

B - domy i ogrody
Francuzów

C - obóz Pontiaaka

-> droga Anglików

x x zgrupowania
Indian

Indianie w zasadzce leżeli cicho jak węże, nasłuchując umówionych sygnałów. Wkrótce posłyszeli ciężki tupot butów i głucho dudnienie — to straż przednia wchodziła na most. Wymierzili w tym kierunku lufy strzelb. Kiedy pierwsi żołnierze schodzili już z mostu, Pontiak wzniósł przeraźliwy okrzyk wojenny Ottawów i z brzegu huknęła salwa. Prawie połowa żołnierzy Browna poległa na moście, reszta zawróciła w popłochu. W tej chwili nadbiegł Dalzell podciągając pierwszą kompanię oddziału Graya, zebrał żołnierzy i znowu weszli na most. Z brzegu padła druga salwa, a jednocześnie w siły główne dochodzące do parowu uderzył grad kul z lewej strony, z ogrodów, z drzew, zza płotów. Dalzell nakazał atak na bagnety i pierwsza kompania, nie bacząc na straty, wdarła się na wysoki brzeg. Ale żołnierze nie znaleźli tu nikogo. Zgodnie z planem Pontiaaka Indianie unikali walki wręcz. Czarno pomalowani, jak duchy przepadali w ciemnościach, kryli się w trawie, za drzewami, w krzakach i w nierównościach terenu, strzelając na leżąco do sylwetek żołnierzy rysujących się na tle nieba. Żołnierze widzieli tylko błyski ich strzelb lub słyszeli świst strzał niosących śmierć. Anglicy mieli ciężkie straty. Również

kompania poprowadzona przez kapitana Graya na sady i ogrody Kanadyjczyków nie napotkała oporu. Indianie cofali się przed atakującymi żołnierzami, strzelając z ukrycia. Zebrawszy meldunki Dalzell zrozumiał, że w takiej sytuacji nie może marzyć o rozstrzygnięciu bitwy na swoją korzyść, natomiast może ponieść ciężkie straty. Nakazał więc żołnierzom wycofać się zza mostu i z ogrodów, uformować zwartą kolumnę na drodze, przenieść rannych na barki. Ale w ślad za cofającymi się następowali czarno pomalowani wojownicy. Ostry ogień z dwóch stron raził stojącą na drodze kolumnę. Mimo to Dalzell postanowił doczekać tu świtu — żołnierze odpowiadali na atak Indian, celując w błyski ich wystrzałów.

Nagle na tyłach kolumny rozległ się potężny okrzyk i huknęła salwa. To Pontiak rzucił do walki swoje rezerwy, które wykonały manewr okrążający, weszły na drogę prowadzącą do fortu i zaatakowały straż tylną. Dalzell zrozumiał, że grozi mu otoczenie i zniszczenie. Natychmiast zarządził odwrót do fortu. Na czele kolumny znalazł się teraz kapitan Grant ze swoją kompanią. Był to odważny i przytomny dowódca. Tylko dzięki jego decyzjom bitwa nie zmieniała się w masową rzeź Anglików. Pontiak przepuścił jego oddział, prawie zupełnie wstrzymując ogień, trzymając swych wojowników w pogotowiu. Ale gdy nadeszła główna część kolumny, Indianie zasypali ją gradem kul i strzał. Wśród żołnierzy wszczęła się panika. Na lewo była rzeka, przed nimi, z prawej strony i za nimi Indianie bez przerwy wznoszący okrzyki, ukryci, niewidoczni, sypiący kulami i strzałami z łuków. Dalzell jednak nie stracił zimnej krwi. Chociaż dwukrotnie ranny, potężnym głosem opanował panikę, pchnął żołnierzy naprzód, do ataku na bagnety, nakazując strzelać gęstymi salwami w bok i w tył, aby nie dopuścić do zwania wręcz, które musiałyby się zamienić w niszczącą klęskę. Jednakże kompania, która miała otworzyć drogę do fortu, napotkała niespodziewaną zapórę. Indianie obsadzili duży, mocno zbudowany dom Francuza Campana i silnym ogniem z jego okien, dachu i przybudówek zagrozdziłi drogę, jednocześnie nie przerywając obstrzału całej kolumny. Atak został powstrzymany. Sytuacja stała się rozpaczliwa. I wtedy uratował Anglików Rogers. Krzyknął na swoich ran-

gers, którzy podkradli się pod dom i nagle wdarli się do środka. Zawrzała straszna walka wręcz, w której biali w rozpacz i furii zdołali wyprzeć z budynku, a częściowo wybić Indian. Jednocześnie Grant zawrócił swoją kompanię i w ataku na bagnety wypchnął Indian z przyległych ogrodów, otwierając drogę kolumnie. W mglistym świetle wojsko rzuciło się do bezładnej ucieczki pod osłoną celnych strzałów *rangers* i kompanii Granta, która obsadziła dalsze domy i ogrody, zatrzymując na sobie ataki Indian.

Dalzell wraz z garścią żołnierzy cofał się na końcu kolumny. Nagle idący za nim sierżant krzyknął, rozłożył ręce i upadł na ziemię. Dalzell pochylił się, chcąc podnieść rannego, lecz w tej chwili został trafiony w głowę. Tak skończyła się kariera ambitnego kapitana. Kula indiańska oszczędziła mu goryczy tłumaczenia się przed sądem wojennym z powodu poniesionej klęski.

Widząc, że główna kolumna już się dostatecznie oddaliła, kapitan Grant powoli wycofywał się w stronę fortu. Zresztą Indianie, zajęci zbieraniem łupów na pobojowisku, nie napierali zbyt mocno. Rogers ostrzeliwał się w domu Campana aż do czasu, kiedy słońce rozproszyło mgłę i barki, podpłynawszy do brzegu, zaczęły razić Indian. Pod osłoną ich armatek oddział majora, a także kapitana Granta, wycofał się na barki. O godzinie ósmej brama fortu zamknęła się za ostatnim żołnierzem. Prawie trzecia część Anglików poległa. Drugie tyle zapełniło szpital. Pontiak odniósł pełne zwycięstwo. W krótkim czasie po otrzymaniu wiadomości przygotował śmiertelną zasadzkę, obmyślił plan bitwy, jakiego nie powstydziliby się oficer sztabowy, przez cały czas sprawnie kierował atakami i ruchami wojowników. W obozie Indian zupełnie zniknęło przygnębienie wywołane niespodziewanym przybyciem wielkich posiłków do fortu. W ręce wojowników wpadło wiele broni, amunicji i mundurów. Gońcy pomknęli przez puszcze, rzeki i jeziora z wieścią o zwycięstwie. Wygrana bitwa wyniosła Pontiaka na szczyt powodzenia.

Gładwyn natomiast napisał suchy, rzeczowy raport o przybyciu posiłków, o przebiegu narady, o wyprawie i przebiegu bitwy, dokładnie podając straty. W ciemną noc wypłynął z przystani fortu doświadczony traper w maleńkim kanu i wiosłując bezsze-

lestnie, ruszył w daleką drogę do Niagara z raportem zaszytym w skórzanym woreczku na szyi.

Po zwycięskiej bitwie Wasson, Ninivay, Sakahos. Takee i inni wodzowie przybyli do Pontiaka, zasiedli przy jego ognisku, zapalili fajki i po długim milczeniu — jak nakazywał obyczaj — rzekli: „Zdobyliśmy wiele skalpów, zdobyliśmy dużo broni. Chcemy powrócić do naszych wsi, odtańczyć taniec zwycięstwa i pójść na polowanie, gdyż nasze kobiety i dzieci są głodne. Zakończ wojnę i zawrzyj pokój z Anglikami, niech znowu przyjadą kupcy z towarami i solą”.

Wielki wódz długo nie odpowiadał. Może w tej chwili myślał o losie swoich ludów i o swoim własnym, o losie Metacoma i innych wodzów, którzy próbowali skupić te ludy, by ratowały się wspólnymi siłami. O nieodwracalnym losie skazanych na zagładę... Gdy wreszcie podniósł głowę, zaczął tłumaczyć na nowo, że nie wszczął wojny dla skalpów i zdobyczy, ale dla wypędzenia Anglików z ziem indiańskich. Że nie jest to zwykła wojna w stylu indiańskim, lecz wojna o ziemię i życie. Niech więc teraz kobiety i dzieci głodują, ale za to po wypędzeniu Anglików żyć będą spokojnie i szczęśliwie. Jeżeli natomiast do fortów wrócą Anglicy, to wokół fortów powstaną osady, koloniści wytną puszcę. Indianie zaś będą wypędzeni z ojczystej ziemi.

Długo przemawiał Pontiak, aż wreszcie wodzowie zrozumieli. Obłężenie zostało podjęte z nową energią.



Przegrana bitwa

Po zdobyciu fortów Presque Isle, Le Boeuf i Venango rozpoczęła się koncentracja Indian wokoło fortu Pitt. Wodzowie plemion z doliny Ohio i z nad jej dopływów nie potrafili zrealizować dokładnie planów Pontiaaka, nie zebrali dostatecznie silnych oddziałów, aby zaskoczyć lub zdobyć podstępem forty w Alleghenach. Drobne grupki młodych wojowników, walczące na własną rękę, ostrzegły w porę załogi fortów, uprzedziły systematyczne działania na granicach. Ostrzegły także dowódcę fortu Pitt.

Fort ten zbudowany został na ruinach francuskiej fortecy Duquesne w roku 1759. Położony był w widłach rzek Allegheny i Monongahela, które pod jego palisadami zlewały się razem, by popłynąć dalej na zachód jako „piękna rzeka” — Ohio. Na wschodzie ciągnęły się pasma górskie. Od osiedli na wschodzie dzieliło fort około 400 kilometrów. Pierwsze większe miasteczko, Carlisle, położone było między górami Tuscarora i rzeką Susquehanna. Drogę od Carlisle do Pitt zabezpieczały forty Ligonier, Bedford, Littleton i Loudon. Fort Ligonier leżał około 90 km na wschód od Pitt, Bedford około 160 km. Oba forty otoczone były farmami rozrzuconymi w lasach i okolicznych dolinach. Littleton i Loudon leżały dalej na wschód.

Załoga fortu Pitt i okoliczni osadnicy nic nie wiedzieli o powstaniu nad jeziorami i spokój panował tu aż do 27 maja. W tym dniu w forcie zjawiała się spora grupa Indian przywożąc wielkie zapasy pięknych futer, za które żądali wyłącznie strzelb, amunicji, toporów i noży. Ich ponure i powściągliwe zachowanie wydawało się podejrzane, niemniej transakcja została przeprowadzona i Indianie zniknęli w puszczy. W kilka dni potem przyszły pierwsze

wiadomości o napadach na odosobnione farmy i o wymordowaniu rodzin kilku osadników. Później przygalopował Calhoun z wieścią o wybicciu jego pomocników, wreszcie nadeszły inne wieści o powszechnej masakrze handlarzy. W ostatnich dniach maja niewielkie gromady wojowników ostrzelały Ligonier i Bedford. Były to ataki bezplanowe, zbyt słabe, aby mogły doprowadzić do opanowania tych fortów. Po prostu ostrzelano je jakby dla ostrzeżenia, nie wyrządzając poważniejszych szkód. Natomiast osadnicy, którzy nie schronili się w porę za palisady, złożyli głowy pod ciosami tomahawków. Doliny górskie rozjaśniły się łunami pożarów.

Fort Pitt gorączkowo przygotowywał się do obrony. Umacniano wały, bastiony i palisady. Domki pod palisadami zburzono dla oczyszczenia pola obstrzału. Kapitan Ecuyer przede wszystkim polecił zbudować prymitywną, lecz skuteczną pompę do gaszenia pożarów, która — jak się później okazało — ocaliła fort. Na bastionach stały armatki. Garnizon był stosunkowo silny: liczył trzystu trzydziestu żołnierzy. Do tego dochodziła liczna gromada handlarzy, osadników i myśliwych umiejących władać bronią równie dobrze lub lepiej niż żołnierze. Jednakże w forcie znalazło również schronienie około dwustu kobiet i dzieci, co stanowiło niemałe obciążenie dla obrońców. Okoliczne lasy pełne były młodych wojowników polujących na skalpy — kto opuszczał fort w pojedynkę, ginął bezapelacyjnie. Dlatego kapitan zakazał wychodzenia z fortu bez rozkazu. Nocami Indianie podkradali się pod palisady i ostrzeliwali warty. Do większych jednak działań nie dochodziło.

Dopiero 22 czerwca gromada wojowników niespodziewanie zagarnęła bydło i konie pasące się poza fortem. Wkrótce potem w nagłym ataku Indianie zabili dwóch żołnierzy na wałach. Z lasu wypadła gromada wojowników, lecz nim zdążyła otoczyć fort, rozpedzono ją strzałami z armatek. Mimo to Indianie nie wycofali się. Przez całą noc rozlegały się ich strzały i krzyki. Nad ranem wszystko ucichło. O godzinie dziewiątej z lasu wynurzyła się grupa wodzów, którzy dając do zrozumienia, że przychodzą w pokojowych zamiarach, podeszli pod bramę. Na czele stał wódz Delawarów, Serce Żółwia, który zwrócił się do dowódcy fortu z następującymi słowami: „Bracia, przychodzimy do was jako przyjaciele, lecz przynosimy złe wieści. Sześć wielkich narodów indiańskich

chwyciło za broń i wybiwszy inne garnizony przychodzą, aby zniszczyć i was. Bracia, jesteśmy waszymi przyjaciółmi i chcemy uratować wasze życie. Dlatego prosimy was, wyjdźcie z fortu, zabierzcie wasze kobiety i dzieci i idźcie do osiedli na wschód, gdzie będziecie bezpieczni. Idźcie, póki wrogie wam plemiona nie nadejdą, gdyż wtedy nie będziemy mogli was obronić”.

Na to kapitan Ecuyer odpowiedział: „Bracia, jesteśmy wam bardzo wdzięczni za radę, lecz mylicie się sądząc, że nasz fort zostanie zdobyty. Mamy dosyć broni i zapasów, by bronić się przeciw wszystkim Indianom puszcy. Lecz z wdzięczności za wasze ostrzeżenie sam pragnę was ostrzec, że trzy angielskie armie zbliżają się tutaj. Jedna maszeruje z Pensylwanii, druga z Wirginii, a trzecia udała się nad jeziora, aby ukarać Ottawów i Odżibwejów. Dlatego radzimy wam: ratujcie się i wracajcie szybko do waszych wiosek”.

Wodzowie odeszli w milczeniu. Za nimi zniknęli w lasach ich wojownicy.

26 czerwca zjawił się żołnierz z Presque Isle, który opowiedział o zdobyciu fortów nad jeziorem Erie, o oblężeniu Detroit i powszechnym powstaniu Indian. Dzięki wymysłowi kapitana Indianie wycofali się spod palisad, lecz kiedy ich gońcy sprawdzili, że wiadomości te nie są prawdziwe, od pierwszych dni lipca znowu rozpoczęły się drobne ataki nękające.

26 lipca gromadka Indian zbliżyła się do bramy i została wpuszczona do środka. Byli to wodzowie Delawarów Shingas i Serce Żółwia, wódz Szawanów Wielki Wilk, wódz Seneków Giengwatha i inni. Przemawiając w ich imieniu Serce Żółwia powiedział: „Bracia, to, co chcemy powiedzieć, pochodzi z naszych serc, a nie z warg. Bracia, chcemy trzymać łańcuch przyjaźni, dawny łańcuch, który nasi ojcowie trzymali z Anglikami. Wy upuściliście ten łańcuch na ziemię, lecz my jeszcze go trzymamy w naszych rękach. Dlaczego skarżycie się, że nasi wojownicy strzelali do żołnierzy i zabili wasze bydło? Sami jesteście tego powodem. Weszliście silnymi armiami do naszego kraju i zbudowaliście forty, chociaż prosiliśmy was wielokrotnie, abyście stąd wyszli. Bracia, to jest nasza ziemia, a nie wasza. Bracia, przed dwoma dniami otrzymaliśmy pas wampumów od Ottawów z De-

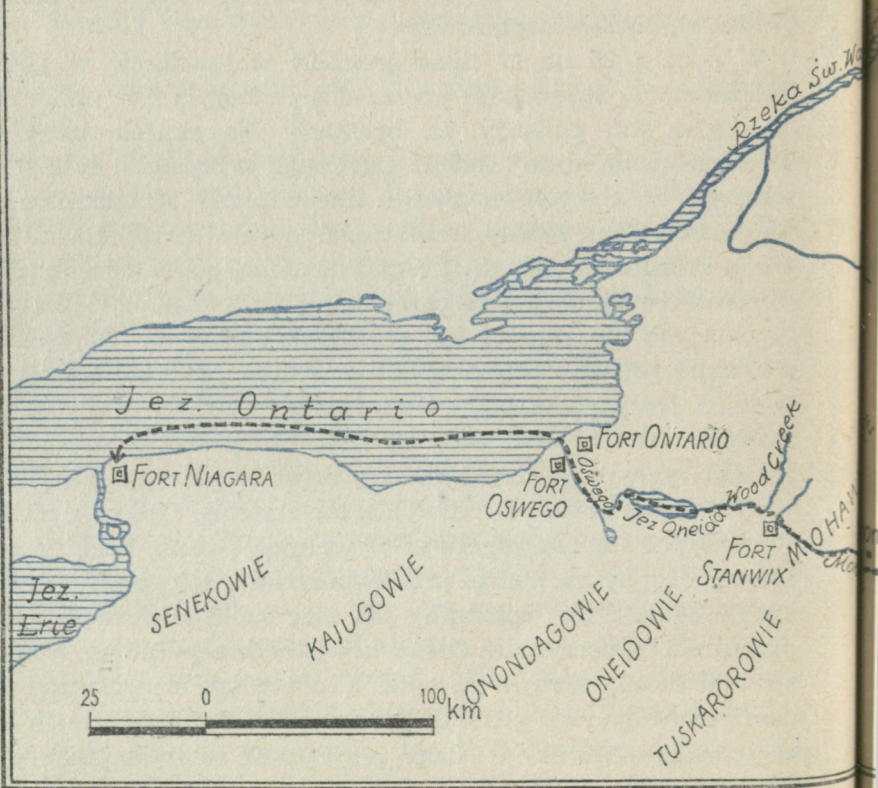
troit, którzy przysłali nam takie słowa: «Pradziadowie Delawarów, poprzez ten wampum donosimy wam, że wkrótce przejdziemy przez wasz kraj z wielką siłą, aby uderzyć na Anglików nad Ohio. Pradziadowie, znacie nas jako silnych i upartych. Jesteśmy zdecydowani nie cofnąć się przed niczym i zniszczymy wszystko, co stanie na naszej drodze.» Bracia, słyszeliście słowa Ottawów. Jeżeli natychmiast opuścicie to miejsce i pomaszerujecie do domu, nic złego wam się nie stanie. Lecz jeżeli pozostaniecie, sami będziecie winni temu, co się stanie. Dlatego chcemy, abyście odeszli”.

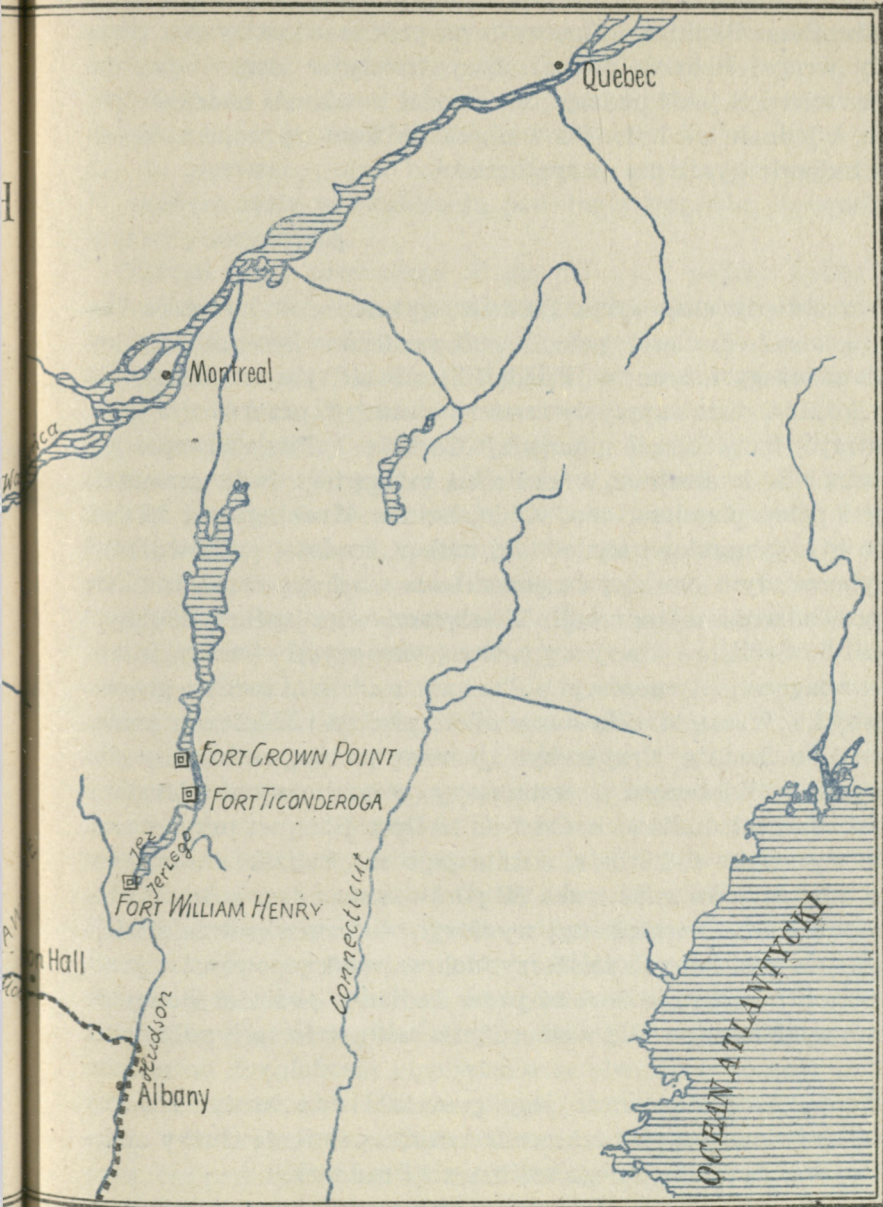
Na to Ecuyer odparł, że forty zostały wybudowane w puszczy po to, aby zaopatrywać Indian w towary i broń. Odmówił stanowczo opuszczenia fortu i jeszcze raz powtórzył, że ma dosyć środków i sił, by bronić się przez trzy lata przeciwko wszystkim Indianom. Wodzowie odeszli rozczarowani.

W nocy z 26 na 27 lipca gromady wojowników w głębokim milczeniu, nie dostrzeżone przez załogę, otoczyły fort i podczołgały się cicho pod palisady na brzegach. Na skutek suszy woda w rzekach stała nisko i Indianie wykopali w brzegach dość głębokie schrony, w których mogli się ukryć przed strzałami z fortu. Zgromadzili tam zapasy strzał zapalających i przygotowali stanowiska strzeleckie. Gdy świt rozjaśnił niebo, nagły wrzask kilkuset wojowników rozdarł ciszę poranka, a jednocześnie świetliste smugi palących się strzał i kul smolnych spadły na dachy domów wewnątrz palisady i strzelnice. Rozpoczęty o świcie atak trwał cały dzień. Dwóch żołnierzy poległo, siedmiu zostało rannych. Wśród rannych był i kapitan Ecuyer, który chcąc zobaczyć umocnienia Indian, wychylił się ponad palisady i został trafiony strzałą.

Indianie atakowali z niezwykłą zaciekłością. Deszcz strzał ognistych sypał się bez przerwy, wywołując pożary dachów z kory i trawy. Gdyby nie pompa przeciwpożarowa, załoga nie potrafiłaby ugasić ognia i fort spłonąłby jak stos suchego drewna. Noc nie przyniosła odpoczynku. Coraz nowe oddziały Indian z różnych stron podnosiły okrzyki wojenne, a cała załoga czuwała pod palisadami, obawiając się generalnego szturm. Sytuacja nie zmieniała się w ciągu wielu dni. Co dzień przybywało rannych. Zapasy amunicji topniały szybko. Ecuyer zdawał sobie sprawę, że jeśli nie nadejdzie odsiecz, załoga będzie musiała z łagnetami w rękę prze-

DROGA KONWOJÓW ANGIELSKICH





bijać się na wschód. Wreszcie pewnej sierpniowej nocy wokół fortu zapadła cisza. Rankiem oficerowie na próżno wypatrywali przez lunety wroga. Indianie odeszli. Lasy trwały w ciszy i spokoju. Ecuyer wietrzył jakiś podstęp, nie myślał bowiem o nadejściu pomocy. A jednak tak było. Od wschodu zbliżało się wojsko angielskie i Indianie wyszli mu na spotkanie.

W czasie gdy ekspedycja Dalzella wyruszyła w kierunku Detroit, generał Amherst polecił pułkownikowi Bouquetowi, komendantowi garnizonu w Filadelfii, zabrać tylu żołnierzy, ilu się tylko uda, duże zapasy żywności i amunicji, przekroczyć góry, zaopatrzyć forty leżące pomiędzy Carlisle i Pitt, zabezpieczyć Pitt oraz o ile to możliwe, wraz z silną załogą tego fortu zmusić do bitwy i pobić plemiona znad Ohio, Scioto, Muskingum i Miami. Łatwo było generałowi wydać taki rozkaz, trudniej pułkownikowi go wykonać, tym bardziej że generał nie mógł zapewnić środków przeprowadzenia tej operacji. Miesiącami więc agenci Bouqueta ściągali do Carlisle — bazy wypadowej ekspedycji — wozy, konie, woły pociągowe, a tymczasem pułkownik z wielkim trudem gromadził wojsko. Wreszcie, zebrawszy około pięciuset żołnierzy, pomaszerował do Carlisle. Kraj tu był ogarnięty paniką, zatłoczony głodującymi uciekinierami i wstrząsany coraz nowymi alarmami o nadchodzących Indianach. Od 1 do 18 lipca Bouquet przygotował się do wymarszu z Carlisle. Armia jego nie budziła entuzjazmu wśród mieszkańców miasteczka. W porównaniu z armią Braddocka, która przed laty również stąd wyruszyła — czterokrotnie silniejsza, złożona z świetnych żołnierzy, dobrze wyekwipowana, a przecież potem doszczętnie rozbita przez Indian — oddział Bouqueta był marną zbieraniną. Dla wzmocnienia załóg w fortach pułkownik wioził na wozach właściwie sześćdziesięciu niezdolnych do marszu inwalidów. Jednakże armia jego posiadała dwa atuty: znaczny oddział doświadczonych *backwoodsmen* dla pełnienia służby zwia-dowczej oraz dowódcę innego kalibru niż Braddock.

Bouquet, z urodzenia Szwajcar, był zawodowym żołnierzem. Przeszedłszy na służbę angielską podczas wojny siedmioletniej,

zorganizował korpus „Royal Americans”, którego pułki odzna-
czyły się w walkach toczonych w puszczy. Był on człowiekiem
wykształconym, odważnym i nie tracącym zimnej krwi. Znany
jest fakt, że Amherst zalecał mu podrzucanie Indianom koców
zakażonych zarazkami chorób zakaźnych, nie wiadomo jednak,
czy ta pierwsza wojna bakteriologiczna została przeprowadzona.
W każdym razie w zwalczeniu powstania Pontiaaka Bouquet ode-
grał rolę decydującą.

Oddział jego, prowadząc długie tabory i pędząc bydło prze-
znaczone na rzeź dla wojska, wyruszył z Carlisle 18 lipca. Już
w pobliżu, na zachód od miasta, napotkano pierwsze spalone
farmy. W osadzie Shippensburg Bouquet zastał gromadę ucieki-
nierów i od nich otrzymał pierwsze wiadomości o sytuacji w puszczy.
Dowiedziawszy się, że fort Ligonier jest obleżony i broni się
jeszcze, pułkownik wybrał trzydziestu doświadczonych żołnierzy,
którzy prowadzeni przez znających okolice myśliwych, unikając
dróg i ścieżek w lasach, spiesznym marszem pociągnęli, aby wzmo-
cnić załogę. Bouquet doceniał bowiem wagę tego fortu na wypadek
utrąty Pitt. Grupa ta wywiązała się dobrze ze swego zadania. Ma-
szując z największą ostrożnością, posuniętą tak daleko, że żołnie-
rze nie zamienili w czasie marszu ani jednego głośnego słowa i ani
razu nie rozpalili ogniska, dotarła szczęśliwie pod fort i bez strat
przemknęła się poprzez gromady oblegających go Indian.

Tymczasem armia wolno posuwała się naprzód. Przez fort Lou-
don, położony między górami Tuscarora i Core, omijając opuszczo-
ne przez załogi forty Littleton i Juniata, doszła wreszcie do Bed-
ford. Dowodzący tu kapitan Ourry nie miał wiadomości ani z Pitt,
ani z Ligonier, gdyż żaden goniec nie mógł przemknąć się przez las.
Bouquet odpoczął tutaj trzy dni i 28 lipca wyruszył dalej przez
dziewiczą puszcę, gdzie na każdym kroku groziła mu zasadzka.
Od Bedford bowiem zwiadowcy indiańscy nie spuszczała oka z jego
oddziału.

Kolumna maszerowała w specjalnym ubezpieczonym szyku. Na
czele i po bokach w szerokim promieniu myszkowali *backwoods-*
men. Na przedzie kolumny szedł oddział strzelców złożony z osad-
ników granicznych i doświadczonych żołnierzy. Za nimi drwale
i „saperzy” ciąli drzewa i wyrównywali drogę dla wojska i tabo-

rów. Wozy i bydło pędzono pośrodku sił głównych. W ciągu dwunastu godzin marszu robiono najwyższej szesnaście kilometrów. 2 sierpnia zajęto bez walki Ligonier. Indianie oblegający fort zniknęli w puszczy. Przez dwa dni wojsko wypoczywało na polu przed fortem. Lasy były spokojne — ani jeden strzał nie padł, ani jeden okrzyk wojenny nie zabrzmiał na trasie marszu. Porucznik Blane, dowodzący załogą Ligonier, nic nie wiedział o losach garnizonu w Pitt. Dlatego Bouquet zdecydował się na szybki wymarsz. Zostawiwszy w Ligonier wozy i woły pociągowe, przepakował niezbędne bagaże na trzysta pięćdziesiąt juczych koni, zabrał niewielką ilość bydła na rzeź i 4 sierpnia wyruszył na zachód. Wypadło teraz iść przez tereny, na których wielokrotnie w obu wojnach toczono krwawe walki. Tutaj, nad Turtle Creek, Braddock poniósł ciężką klęskę. Rzeźba terenu ułatwiała zasadzki. Dlatego Bouquet, posuwając się z wielką ostrożnością, zmienił trasę marszu, ominął pobojuwisko Braddocka i postanowił śpiesznie dotrzeć do Bushy Run, tam odpocząć, a potem jednym skokiem przetrzymać się do fortu. W drugim dniu drogi wyruszono bardzo wcześnie. Forsownym marszem wojsko przeszło ponad 25 km i około godziny pierwszej zbliżało się do Bushy Run. Podnieceni nadzieją odpoczynku żołnierze mimo zmęczenia przyspieszali kroku, gdy nagle na przedzie huknęły strzały. Kolumna przystanąła.

To patrolujący myśliwi zostali nagle ostrzelani. Nie wiedząc, czy mają do czynienia z kilkoma wojownikami, czy też z większą siłą, odpowiedzieli na strzały, czekając na nadejście straży przedniej. Kiedy jednak oddział straży przedniej próbował przemknąć się przez las, skąd padły kule, posypał się silny ogień z wielu strzelb. Jednocześnie zaczęto strzelać i z boków. Indianie oskrzydłali straż przednią. Bouquet zrozumiał, że natknął się na poważne siły.

I rzeczywiście, wyszło tu przeciwko niemu kilkuset Delawarów z Shingasem i Sercem Żółwia, Szawanów prowadzonych przez Wielkiego Wilka i wschodzącą sławę — Cornstalka, Majamów z Małym Żółwiem, który w dwadzieścia lat później miał rozbijać jedną po drugiej armie amerykańskie w zachodnich puszczech, Seneków z posępnym Giengwathą na czele. Niestety, zabrakło

jednego wodza, który by tak jak Pontiak pod Detroit pokierował bitwą według przemyślanego planu.

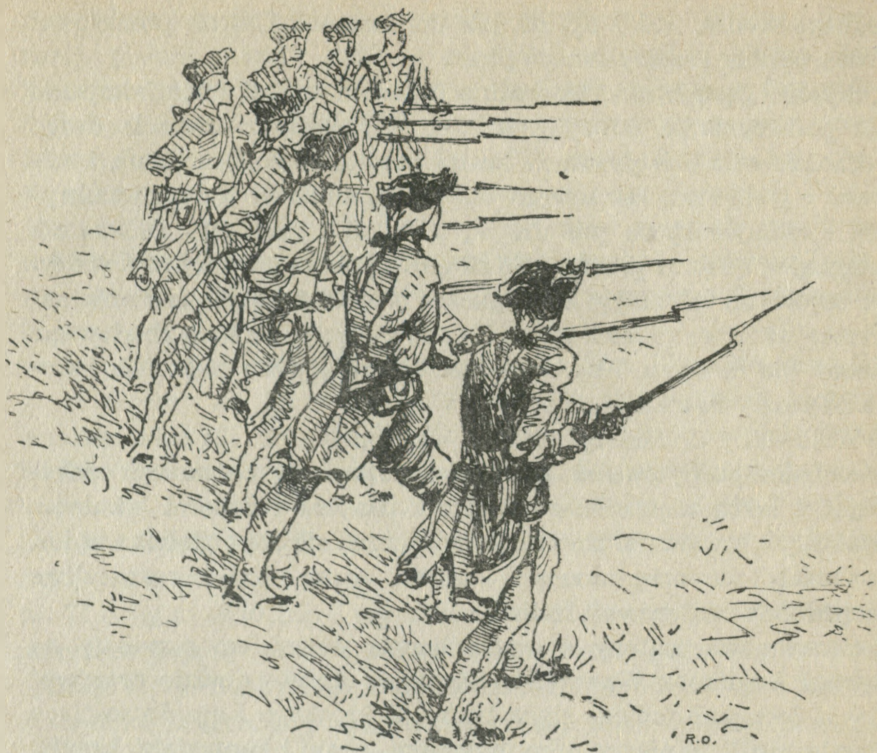
Słyszac gęstniejącą strzelaninę Bouquet wysłał dwie kompanie dla podtrzymania straży przedniej, z rozkazem otwarcia drogi. Jednakże atak ich powitany został przeraźliwym krzykiem i salwami z głębi lasu. Jak zawsze, tak i teraz Indianie walczyli z ukrycia, strzelając spoza pni drzew, kamieni i krzaków. Pułkownik ściągnął więc straż przednią do sił głównych, ustawił wojsko w szyku bojowym, osłaniając konie juczne szerokim kołem. Indianie nacierali już ze wszystkich stron. Z juków zdjętych z koni zbudowano osłony dla rannych. Aby rozedrzeć otaczający ich pierścień, kompanie poszły do ataku na bagnety.

Wojownicy indiańscy widząc, że tomahawk nic nie wskóra przeciwko pochylonemu szeregowi bagnetów, cofali się odskakując z kocią zręcznością i szyjąc z ukrycia strzałami i kulami. Atakujące kompanie, nie chcąc zapuszczać się zbyt głęboko w las, zawracały nie osiągnąwszy rezultatu, a za nimi z rozpaczliwą zaciekłością następowali Indianie.

Coraz nowe watahy z przeraźliwym wrzaskiem napadały na szeregi Anglików. Wprawdzie nie udało im się nigdzie przerwać kręgu, lecz podkradając się w trawach, krzakach i nierównościach gruntu, razili żołnierzy celnym ogniem. Ataki i kontrataki, krzyki, świst kul i strzał z łuków trwały aż do zapadnięcia ciemności. Ale i wtedy nie przyszła nawet chwila odpoczynku. Krzyki, strzały i groźba ponownego szturm trzymały żołnierzy w nieustannym napięciu.

Położenie Bouqueta stawało się coraz cięższe. Przeszło sześćdziesięciu żołnierzy poległo pierwszego dnia bitwy. Liczba rannych była znacznie większa. Wojsko zmęczone marszem, bitwą, pozbawione wody. Wiele koni zabito. Reszta płoszyła się i wyrwała z kręgu. Liczebnie siły były prawie równe, z tym że Anglicy posiadali znacznie lepsze uzbrojenie. Ale inicjatywa była w rękach Indian: walczyli na własnej ziemi, w obronie własnej ziemi i prawa do życia. Wykazali oni w tej bitwie nieustępliwość i wytrwałość, pogardę śmierci i niesłychaną odwagę.

Po niespokojnej nocy z pierwszym brzaskiem bitwa rozgorzała na nowo. Wojownicy podpełzali blisko, coraz pewniejsi zwycię-



stwa. Coraz więcej żołnierzy rannych i zabitych ubywało z szeregów. Krąg Indian się zacieśniał. Zguba Anglików wydawała się nieunikniona.

W tej sytuacji Bouquet zdecydował się na manewr. O godzinie dziesiątej dwie kompanie bagnietami uderzyły na Indian, przedarły się przez ich krąg i pomaszerowały na wschód. Za nimi zaczęła gotować się do odwrotu reszta wojska. Tymczasem owe dwie kompanie zatoczyły w lesie łuki na prawo i lewo, wracając znowu na pole bitwy. Indianie nie zauważyli tych ruchów. Nie było wodza, który by roztropnie pokierował ich pasją walki. Nie zważając na nic, całą siłą rzucili się w pościg za cofającym się nieprzyjacielem. I tak na ślepo pobiegli w pułapkę. Nagle z dwóch stron padły



w tłum ścigających salwy muszkietów. W tej samej chwili zawróciła reszta Anglików i zasypała Indian ogniem. A kiedy z trzech stron natarły na nich bagnietami szeregi wojska, nie wytrzymały uderzenia i pierzchli w popłochu. Wielu wojowników padło. Reszta w panice uciekła z pobojowiska. Klęska nastąpiła tak nagle, kiedy zwycięstwo wydawało się już pewne, że duch walki załamał się zupełnie.

Około sześćdziesięciu Indian poległo w tej bitwie. Straty ich były znacznie mniejsze niż Anglików, wystarczyło zebrać się i rozpocząć atak na nowo, żeby zwycięstwo przechylić jeszcze na swoją stronę, ale załamani wojownicy wycofali się w głąb lasów.

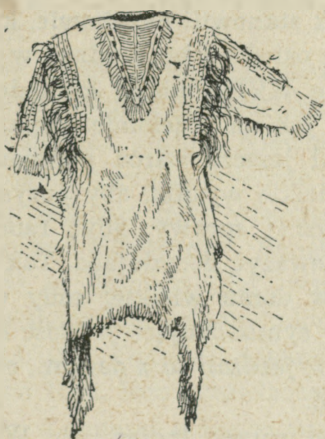
Bouquet drogo opłacił zwycięstwo. Stracił on zabitych stu dwudziestu żołnierzy i ośmiu oficerów. Padły prawie wszystkie konie,

tak, że Anglicy musieli zniszczyć na pobojowisku większość zapasów, nie mogąc ich zabrać dalej. Los licznych rannych był godny pożałowania. Gdyby Indianie po południu tego samego dnia ponowili atak, Bouquet nie mógłby się im oprzeć. Ale przeważająca część wojowników wracała w przygnębieniu do swych wiosek. Tylko nieliczne grupki najzacieklejszych pojawiły się wieczorem, niepokojąc wojsko. Nie mogły one wiele wskórać. W ciągu pozostałych dni marszu do fortu Bouquet stracił tylko dwóch żołnierzy. 10 sierpnia wojska weszły do Pitt.

W wielu wioskach indiańskich kobiety obcięły włosy na znak żałoby. Przegrana bitwa okazała się punktem zwrotnym w wielkiej wojnie. Przekreśliła ona ostatecznie nadzieję na zdobycie Pitt. Przeciwnie, fort ten stał się bazą dla przeniesienia wojny jeszcze dalej na zachód i zmuszenia Indian do kapitulacji, co nastąpiło w roku 1764. Zniechęcenie ogarnęło plemiona, które nie rozumiejąc strategicznych celów Pontiaka, wojowały tylko dla skalpów i zdobyczy. Zmniejszył się napór na granice i wzmocniła obrona kolonistów. Liga Irokezów, dotychczas zachowująca neutralność, zaczęła się skłaniać do przyjęcia propozycji agenta angielskiego Johnsona, zajmując nieprzychylnie stanowisko wobec walczących Algonkinów.

A przecież bitwa nad Bushy Run, obiektywnie biorąc, łatwo mogła się zmienić w zwycięstwo Indian, nawet po przegranej drugiego dnia. Bouquet sam scharakteryzował swoje położenie po bitwie jako niesłychanie krytyczne. Wynikało ono ze specyficznych cech wojny w kraju puszczy. Bouquet tak mówił o tym rodzaju wojny: „Kto przeżył niewygody i niebezpieczeństwa wojny europejskiej, ten zupełnie nie może sobie wyobrazić trudności i wysiłków w wojnie indiańskiej. W cywilizowanym i zasiedlonym kraju istnieją drogi, magazyny, szpitale, istnieją wielkie miasta i fortece, do których można się schronić, gdzie można znaleźć zaopatrzenie. Walczy się z nieprzyjacielem, który w razie kapitulacji uszanuje pokonanych, tak że traci się tylko chwałę zwycięstwa. Ale w wojnie indiańskiej wszystko jest przerażające — kraj, klimat i przeciwnik. Zdrowy nie znajdzie tu odpoczynku, chory żadnej pomocy. Otacza nas puszcza olbrzymia, bezludna, zwodnicza, niebezpieczna i zdrażliwa, pustkowie, gdzie zwycięstwa nie są

decydujące, klęski natomiast niszczące i gdzie śmierć jest jeszcze najmniejszym złem. Stąd wynika, że służba jest tutaj pełna najskrajniejszych i najpoważniejszych niebezpieczeństw, że stawia ona siłom duchowym i cielesnym najwyższe wymagania, że żąda najwyższego napięcia odwagi i rozwagi. Choć potyczki w tych twardych kampaniach posiadają tylko nieznaczną wartość taktyczną, to jednak wywierają na nastrój i wyobraźnię daleko większy wpływ niż wielkie bitwy wojny europejskiej”.



Kampanie jesienne i zimowe

Potężna konfederacja sześciu narodów nie brała udziału w wojnie Pontiaka. Wyjątek stanowili Senekowie, którzy zniszczyli fort Venango, napadali na osiedla i brali udział w działaniach pod fortem Pitt. W połowie XVIII wieku konfederacja nie była już wprawdzie taką siłą, jak na przełomie wieku XVII i XVIII, lecz urok jej potęgi trwał jeszcze wśród plemion Algonkinów. Obie też strony czyniły wielkie wysiłki, aby pozyskać te kilka tysięcy wojowników dla własnej sprawy, gdyż rzuceni na szalę losów wojny, mogli oni przeważać decydująco. Tak więc posłańcy Pontiaka często gościli w domu wielkiej rady w dolinie Onondagi, gdzie płonęło ognisko symbolizujące jedność konfederacji, a i wysłannicy angielscy przyjeżdżali tu z darami, obiecując wiele w zamian za podjęcie broni.

Agent angielski do spraw Indian, sir William Johnson, zaprzyjaźniony od dawna z Irokezami, od wiosny wysyłał do ich wsi posłańców z wampumami przyjaźni i darami, aby powstrzymać ich od przystąpienia do powstania. Wreszcie w drugiej połowie lata rozesłał wampumy wzywające wodzów na naradę do jego siedziby Johnson Hall w dolinie rzeki Mohawk. Zaproszenie przyjęli Mohawkowie, Tuskarorowie, Oneidowie, Kajugowie i Onondagowie. Senekowie odmówili. Nie chcieli zejść ze ścieżki wojennej. Delegacje ścierały powoli. Prócz Irokezów zjawili się także przedstawiciele plemion znad Rzeki Św. Wawrzyńca. Dopiero 7 września Johnson mógł rozpocząć uroczystą naradę.

W kręgu wodzów panował nastrój ponury i niechętny. Wszyscy oni wiedzieli, dlaczego Pontiak rozpoczął wojnę, i w taki czy inny sposób przyznawali mu rację. Rozumieli, że wynik wojny wpłynie

także na ich losy. Ale Johnson był doświadczonym i zręcznym dyplomatą. Znał dobrze Indian, ich wyobrażenia o honorze i wierności, znał powody ich antagonizmów, ich ambicje i sposób myślenia. I na tym wygrywał. Na wierności wobec dawnych zobowiązań, na tradycyjnych antagonizmach, na wyobrażeniach o wyższości Irokezów nad Algonkinami. Nie szczędził pochlebstw, obietnic i gróźb. Wreszcie udało mu się. Po długich wahaniach i targach Irokezi przyjęli czarny wampum wojny i czerwony tomahawk na znak zbrojnego wystąpienia przeciwko powstańcom. Nie śpieszyli się oni jednak do walki i pierwszą wyprawę przeciw Delawarom zorganizowali dopiero wtedy, kiedy Anglicy zachęcili ich specjalnie wysokimi nagrodami.

Na owej naradzie Johnson uzyskał także i to, że wschodnie plemiona Algonkinów wysłały do walczących ludów wampumy wzywające do zaprzestania wojny. Niewielki odniosły one skutek. Posłów wysłuchano, przyjęto gościnne, jak to było w zwyczajach, lecz silniejszym nakazem były wówczas raczej wezwania do zemsty za poległych nad Bushy Run. Senekowie natomiast odpowiedzieli na naradę w Johnson Hall wzmożeniem działalności wojennej, pustosząc zachodnie połacie kolonii Nowy Jork, przede wszystkim powiaty Ulster, Orange i Albany. Przygotowywali także napad na Johnson Hall, lecz uprzedzony w porę agent otoczył siedzibę częstokolem, a generał Amherst przysłał mu żołnierzy dla ochrony.

Kiedy dwie próby odciążenia i zaopatrzenia Detroit przez większe konwoje wojskowe skończyły się niepowodzeniem, w forcie Niagara znowu zaczęto gromadzić siły, które miały być wysłane na zachód. Wtedy to Senekowie podjęli się czuwać przy wodospadach i nie przepuścić wojska. Teren sprzyjał tutaj zasadzkom. Wokół wodospadów prowadziła droga lądowa, po której przenoszono czółna, przeciągano przy pomocy wołów większe łodzie, przewożono towary na grzbietach juczych koni i na wozach. Droga ta na przestrzeni kilkunastu kilometrów wiodła przez las, miejscami przez wąwozy i rozpadliny skalne. Około 5 km poniżej wodospadu przechodziła ona ponad przepaścią zwaną Derils Hole (Czarcia Jama). Z jednej strony wznosiło się tu strome zbocze, porośnięte

drzewami i krzakami, z drugiej ziała przepaść, na dnie której huczały i kłębiły się wody rzeki spadające do Jeziora Ontario.

W tym właśnie miejscu 3 września Senekowie zastawili pułapkę na transport przeznaczony dla Detroit. Anglicy, zdając sobie sprawę ze strategicznego znaczenia okolicy, umocnili ją szeregiem fortów i obozów przejętych od Francuzów. Nad ujściem rzeki jeziora Ontario stał fort Niagara. Stąd około dwanaście kilometrów w górę rzeki można było przebyć łodziami, aż do miejsca gdzie teren zaczynał się podnosić i prąd stawał się szybki. Tu znajdowała się Dolna Przystań, gdzie wyładowywano łodzie, i rozpoczynał się odcinek drogi lądowej aż do fortu Schlosser, położonego mniej więcej 5 km powyżej wodospadów. Tu znowu rzeka stawała się dostępna dla żeglugi, transporty przepływały dalej koło Wielkiej Wypływy i walcząc z szybkimi prądami u wejścia na jezioro Erie, wypływały wreszcie na jego wody.

Oprócz obu fortów znajdował się tu jeszcze umocniony obóz wojskowy w Dolnej Przystani dla ochrony wyładunku.

3 września wyruszył z Dolnej Przystani konwój wielu wozów i koni jucznych do fortu Schlosser. Poganiacze byli uzbrojeni po zęby. Prócz tego transport eskortowało dwudziestu czterech żołnierzy. Wozy i konie wolno posuwały się pod górę stromą drogą. Gdy doszli nad przepaść, z lewej strony, ze stromego zbocza nagle posypał się grad kul i strzał. Spłoszone konie poniosły, wielu poganiaczy i żołnierzy zabito. Z dzikim okrzykiem wybiegli z lasu Senekowie i zanim Anglicy zdążyli oprzytomnieć, padli pod ciosami tomahawków i kolb. Tradycja przekazała wiadomość o chłopcu, który spadając do przepaści, zawisł na krzaku, wspiął się z powrotem na drogę i przekradł do fortu. Prócz niego uratował się przewodnik karawany, który na dobrym koniu galopem dojechał do fortu Schlosser. Cały atak trwał zaledwie kilka minut. Część wozów i koni spadła w przepaść, resztę łupów zabrali Indianie.

Żołnierze z obozu w Dolnej Przystani słyszeli strzelaninę. Kapitan Johnson wraz z trzema innymi oficerami szybko sformowali dwie kompanie po czterdziestu ludzi i ruszyli w stronę przepaści. Ale Senekowie przewidzieli i tę możliwość. Konwój atakowała tylko część wojowników, inni w zasadzce oczekiwali nadejścia odsiecz. Obie kompanie na ślepo biegły w objęcia śmierci. Zwartą

kolumną, bez zachowania środków ostrożności, bez rozpoznania, Johnson wprowadził swoich ludzi w pułapkę. Kiedy weszli na sfalowany teren leśny, z obu stron zasypały ich nagle strzały i kule. A potem, jak zwykle z przerażającym okrzykiem, gromady pomalowanych Seneków runęły na pozostałych przy życiu żołnierzy. Walka trwała minuty. Tylko jednostki uszły z pogromu. Wszyscy oficerowie polegli.

Gdy pierwszy zbieg dotarł do Niagara i zdyszany, przerażony wyrzucił z siebie wieść o klęsce, major Wilkins na czele całego silnego garnizonu wyszedł na pole walki. Ale Indianie zniknęli już w puszczy. Żołnierze mogli tylko pogrzebać oskalpowane i odarte z odzieży zwłoki swych towarzyszy. Wyprawa do Detroit znowu została odłożona i znowu długą, uciążliwą drogą ze wschodu powędrowały nowe transporty zapasów nad jeziora.

Po kilku tygodniach straty zostały wyrównane i major Wilkins na czele sześciuset żołnierzy wyruszył z fortu Schlosser. Ciężko załadowane łodzie płynęły długim szeregiem w górę rzeki, koło Wielkiej Wypły, w stronę jeziora Erie. I tym razem wojownicy Seneków czuwali. Podczas gdy łodzie walczyły z ostrymi prądami w pobliżu wejścia na jezioro, z obu brzegów rzeki huknęły strzały. W konwoju powstało zamieszanie. Prąd szybko porywał łodzie. Zabici i ranni wpadali do wody. Ogień niewidocznego nieprzyjaciela trwał. Przerażeni żołnierze rzucali wiosła, inni zawracali w pośpiechu. Nie mogąc opanować sytuacji, Wilkins nakazał odwrót straciwszy wielu ludzi i kilka przewróconych łodzi. Później okazało się, że konwój atakowała garstka Indian, niewspółmiernie mała w porównaniu z siłami Anglików.

Zgodnie z surowymi rozkazami Amhersta major Wilkins podjął jeszcze jedną próbę odciążenia Gładwyna. Tym razem zabezpieczył przejazd przez rzekę i spokojnie wypłynął na jezioro. Przeprawa przez Erie również minęła pomyślnie, lecz kiedy zbliżano się już do ujścia Detroit, wściekła październikowa wichura spadła na jezioro, wzburzyła fale, przewróciła wiele łodzi, inne rzuciła na skaliste brzegi lub piaszczyste mielizny. Siedemdziesięciu żołnierzy utonęło, wszystkie zapasy przepadły, a resztki konwoju z trudem wróciły do Niagara.

Tak więc Gładwyna zamiast spodziewanej pomocy otrzymał tylko

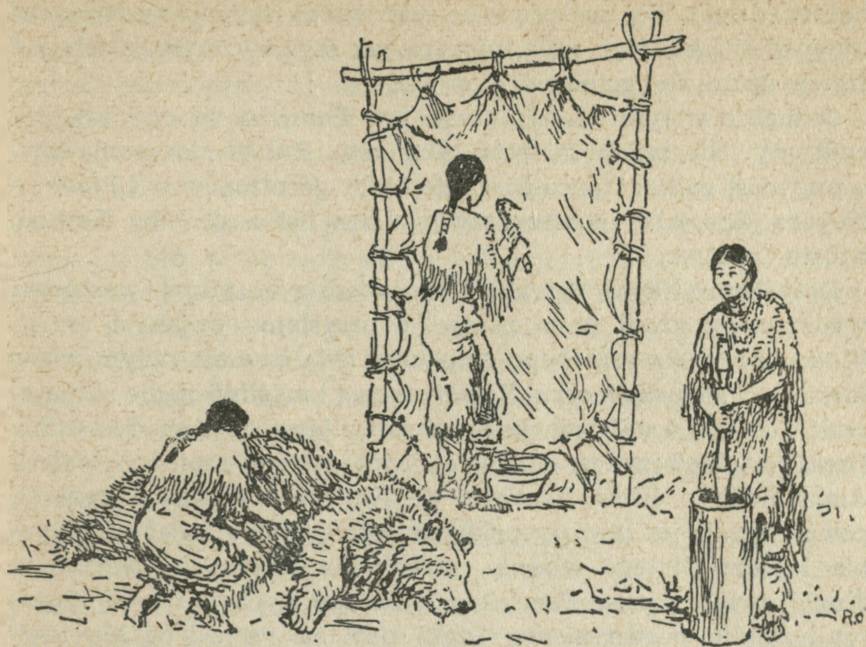
któreś ciemnej październikowej nocy przywieziony przez zaufanego gońca list donoszący o niepowodzeniach wyprawy. Garnizon majora był już u kresu sił i fort trzymał się tylko dlatego, że w obozie Indian sytuacja wyglądała jeszcze gorzej.

Po zwycięstwie nad wycieczką Dalzella do obozu wodza Ottawów zbiegły się nowe gromady wojowników. Ale i załoga fortu, mimo przegranej bitwy, była poważnie wzmocniona. Rozporządzała teraz wielkimi ilościami amunicji i barkami uzbrojonymi w armatki. Indianie nie mogli więc marzyć o zdobyciu fortu szturmem. Wkrótce potem przysła klęska nad Bushy Run i ostudziła ich zapaly wojenne. Oblężenie fortu ciągle było bezskuteczne, wyczerpywało zapasy amunicji. Przechodziły tygodnie. Detroit nie kapitulował. Oblęgający Indianie zniechęcali się coraz bardziej. Ich rodziny w dalekich wioskach głodowały. Zbliżała się zima i trzeba było wyruszyć na zimowe łowiska bez amunicji.

Toteż, kiedy w początkach października rozeszła się wieść, że major Wilkins z wielką siłą nadciąga ze wschodu, na Indian padła trwoga. Z braku amunicji nie mogli mu stawić czoła. Nie było mowy o podjęciu bitwy. Przed nimi perspektywa długiej i głodnej zimy... Dlatego to niektórzy spośród wojowników marzyli o zawarciu pokoju z Anglikami, uważając, że w ten sposób zapewnią sobie spokojną zimę i broń na polowanie, że będą mogli wycofać się w głąb puszczy, a na wiosnę podjąć wojnę na nowo.

Kołysany takimi nadziejami Wapocommoguth, wielki wódz Missisaugów, plemienia ze szczepu Odżibwejów mieszkających w Kanadzie, zjawił się 12 października w forcie, by w imieniu wszystkich Odżibwejów, Huronów i Potawatomich prosić o zawarcie pokoju. Gładwyn słuchał jego słów z roztargnieniem. Było mu obojętne, co Indianin mówi — i tak dobrze wiedział, o co wodzowi chodzi. Pokój i dla fortu byłby korzystny. Jeżeli zawrze pokój, to gromady Indian odejdą spod Detroit, a żołnierze będą mogli zgromadzić nowe zapasy żywności. Zgodził się więc na propozycję wodza pod warunkiem, że Indianie odsuną się od fortu i odstąpią od oblężenia.

Jedynie Ottawowie, utrzymywani potężną wolą Pontiaka, nie zawarli pokoju i prowadzili walkę dalej. Opuszczony przez sprzymierzeńców, coraz bardziej osamotniony, Pontiak nie tracił nadziei.



Liczył ciągle na pomoc Francuzów. Neyon jednak dotychczas nie odpowiedział.

Pontiak, wodzowie rodów jego plemienia i wojownicy nie mogli się pogodzić z myślą, że znenawidzony fort nie zniknie z powierzchni ziemi, że załoga angielska pozostanie tu na zawsze, że flaga angielska, choć postrzępiona, ciągle widnieje nad basztą jako znak obcego panowania. Wielki wódz pamiętał słowa Gładwyna, że tam, gdzie powiewa ta flaga, jest ziemia angielska. Chciał więc zedrzyć ją z masztu, potargać i zniszczyć, wdeptać w ziemię, która była przecież ziemią jego ojców i wnuków.

Jesień rządziła już niepodzielnie w puszczy. Rodziny indiańskie, jak ptaki przelotne, odczuwały niepokój pory wędrówek — wyjścia na łowy zimowe. Kolorowe liście zaślały ziemię i każdy krok myśliwego szeleścił głośno w czasie polowania. Zwierzyny i tak było w okolicach Detroit mało. Głód od dawna zaglądał w oczy

kobiet i dzieci. Wojownicy ponuro patrzyli na swojego wodza, oczekując rady. Ale jego wola, płonąca jak żagiew, trzymała ich pod fortem czujnych i gotowych do walki.

Jednakże w tym właśnie czasie i w Pontiaka uderzył cios decydujący. Nie zadała go broń Anglików. Był to cios polityczny, a przyniósł go list francuskiego dowódcy garnizonów w Illinois — Neyona. Specjalny goniec przywiózł ten list z siedziby Neyona, z fortu Chartres.

Dotychczas Neyon zwlekał z odpowiedzią na pismo, w którym wielki wódz prosił go o pomoc, o przysłanie wojska i armat. Wojna indiańska przeciwko Anglikom była bowiem miłym widokiem dla francuskich oczu. Kupcy, agenci i myśliwi ciągle rozpuszczali wieści o armii francuskiej maszerującej do Kanady wzdłuż Rzeki Św. Wawrzyńca. Z drugiej jednak strony szpiedzy donieśli Amherstowi o liście Pontiaka do Neyona i angielski generał, powołując się na zawarty pokój, w ostrym tonie żądał uspokojenia Indian. Dlatego właśnie, aczkolwiek niechętnie, Neyon po długiej zwłoce donosił Pontiakowi o zawarciu pokoju między Francją i Anglią, o odstąpieniu Anglii ziem na wschód od Missisipi, o niemożności udzielenia mu pomocy oraz doradzał złożenie broni i zawarcie pokoju. Jak bańka mydlana pękły wszystkie nadzieje wielkiego wodza. Zawiodły rachuby na wyparcie wroga przy pomocy Francuzów. Pontiak widział jasno, że bez pomocy francuskiej sprawa Indian jest przegrana i beznadziejnie stracona. Wielki wódz szalał z wściekłości. Nie był on ani dyplomata, ani ministrem cywilizowanego państwa. Był wojownikiem indiańskim, synem amerykańskiej puszczy, z krwi i kości wodzem plemiennym, któremu tylko wyższa inteligencja i szerszy horyzont umysłowy pozwalały na rozwijanie koncepcji politycznych. Pontiak był jednym z największych patriotów, jakich wydała czerwona rasa. List Neyona przyjął on tak, jak każdy wojownik przyjąłby wiadomość o zdradzie — wybuchem dzikiej nienawiści przeciwko wszystkim białym najeźdźcom i grabieżcom indiańskiej ziemi.

Gdy minął atak gniewu, Pontiak chłodno rozważył sytuację. Zdecydował się na dalsze prowadzenie wojny. Opuszczony przez plemiona znad jezior, postanowił przenieść się do puszczy położonych dalej na południe, tam gdzie Delawarowie, Szawanowie,

Majamowie walczyli nadal, otrząsnawszy się z przygnębienia po klęsce. Ponadto Pontiak zwrócił się myślą ku żyjącym dalej na zachód plemionom Illinois, a także plemionom prerii. Czyż tam właśnie, na zachodzie, nad Wielką Rzeką, nie leżały święte kamieniołomy czerwonego kamienia, z którego rzeźbiono święte fajki, kamieniołomy, które — jak głosiła legenda — powstały z ciał Indian i symbolizowały jedność czerwonej rasy? Czyż tam, na preriach, nie żyły liczne ludy, silne i wolne potężną swobodą szerokich przestrzeni pod bezmierną kopułą wielkiego nieba? Czyż nie można by porwać ich konnych hufców do walki o wspólną sprawę? Wprawdzie nie zetknęły się one jeszcze z białym żołnierzem, kupcem i osadnikiem — lecz czy biały zalew nie dojdzie i do nich, jeśli plemiona nad jeziorami upadną? Dlatego Pontiak postanowił teraz ruszyć na zachód i zaszyć się w lasach, gdzie nie będą mogły go osiągnąć wojska angielskie.

Zostawiwszy pod Detroit niewielką gromadę wojowników, aby nadal szachować garnizon, w początkach listopada ujechał z resztą plemienia na południe, wpłynął na wody Maumee i w puszczy nad jej brzegami rozbił nowy obóz. Była już późna jesień i wojownicy rozsypali się po lasach, polując na zwierzynę. Pontiak uchylał się od walki z nadciągającym Wilkinsem. Obozując w puszczy, snuł plany wznowienia wojny wiosną następnego roku. Zdawał sobie dobrze sprawę, że jeśli teraz wielkie sprzysiężenie plemion się rozpadnie, los Indian nad jeziorami będzie przesądzony. Trzeba więc było znaleźć nowe źródła siły, nowe sposoby porwania do walki ludów, które dotychczas nie brały w niej udziału. A jednocześnie, w listopadowe noce, Pontiak widywał czasami przed swym wigwamem skrwawionego upiora Metacoma, zamordowanego przez odstępce. Przecież i za jego głowę wyznaczono nagrodę. Wiedział o tym, lecz z dumnym czołem chodził wśród wojowników i francuskich *voyageurs*, choć ciężar przygniatał mu serce. Trzeba było na przekór krwawej zjawie, zwiastującej tragedię i śmierć, skupiać na nowo rozproszone ludy, niecić zapał i budzić wolę walki. Ale jak? Przebiegając myślą przez puszcze, widział głodujące rodziny i rody nad zamarzniętymi jeziorami i rzekami, widział wojowników o zaciśniętych ustach i zapadniętych twarzach, jak obchodzą zastawione pułapki lub rąbią lód, by móc łowić ryby, wi-

dział matki, jak tulą maleństwa mrące z głodu. Wielki Duch odwrócił się od swoich dzieci. A jednak... A jednak jemu nie wolno było się załamać. On widział dalej i więcej niż głodujący wojownicy. Jego oczy miały siłę tysięcy oczu wszystkich plemion. Więc musiał myśleć i z własnych myśli tworzyć przyszłość.

*

Po odejściu Pontiaaka Gładwyn przy pomocy Kanadyjczyków zaopatrył się jako tako w żywność. Załoga Detroit była jednak śmiertelnie wymęczona, schorowana, stęskniona za powrotem do cywilizacji. Odcięta przez tyle miesięcy, żyjąca w stałym napięciu nerwowym, miała teraz przed sobą perspektywę ciężkiej zimy, wymagającej ciągłej czujności i wytężonej służby.

Znacznie cięższą zimę miały przed sobą walczące plemiona. W wielu wioskach panował głód. Ani kobiety nie zebrały plonów z pól, ani mężczyźni nie polowali, ani handlarze nie przywozili towarów. Zwykle jesienią zaopatrywano się w fortach lub u handlarzy w proch i kule, noże, toporki, kociołki itp., aby podczas zimy w głębokich ostępach zdobywać zapasy mięsa i futer. Wszystko to przekreśliła wojna. Amunicja została wystrzelana na polach walk. Trzeba było wrócić do dawno zaniechanych sposobów łowienia i polowania za pomocą prymitywnych narzędzi. Walki i przemarsze wypłoszyły zwierzynę. Dlatego poszczególne rody i rodziny rozeszły się w dalekie strony, wypłynęły na jeziora i rzeki, wyszukując odległe głusze i samotne, zagubione w lasach jeziora, dające większą nadzieję na złowienie zwierza i ryby.

Fort Detroit nie upadł. Była to obok przegranej nad Bushy Run druga klęska Indian. Oblegające go gromady nie poniosły wprawdzie klęski w otwartej bitwie, ale lepsze uzbrojenie, chłodna rozważa i upór załogi zwyciężyły w starciu z dziką, namiętą nienawiścią i wolą walki zjednoczonych plemion. Pontiak musiał się ugiąć i wycofać bez sukcesu. Fakt ten wywarł silny wpływ na walczące i wierzące w niego ludy, jak również na Irokezów, którzy mimo obietnicy danej Johnsonowi nie śpieszyli się do walki przeciwko powstańcom. Odstąpienie Pontiaaka spod Detroit za-

chwiało również wolą walki Seneków, którzy właśnie w tych je-siennych miesiącach okazali najwięcej inicjatywy.

Nastroje te wykorzystał Johnson. Oficerowie angielscy i agenci, wysłani przez niego do plemion Irokezów z ponagleniami do podję-cia wypraw przeciwko powstańcom, przywieźli z sobą konkretne obietnice nagród za jeńców i skalpy. Do jednego z takich agentów Johnson pisał: „Na miłość boską, wysilcie się jak ludzie, których honor... i wszystko wchodzi w grę. Generał, podobnie jak wszyscy tutejsi ludzie, łączy wielkie nadzieje z sukcesem waszej wyprawy i mam nadzieję, że się nie zawiodą. Aby zachęcić wasz oddział, zapłacę z własnej kieszeni każdemu jego członkowi po pięćdziesiąt dolarów za pojmanie wodzów Delawarów, Onuperaquedry i Dłu-giej Kutry i za dostarczenie ich tu żywych lub martwych. Pienią-dze zostaną wypłacone tym, którzy ich tu przyprowadzą lub przy-niosą ich głowy. Proszę to ogłosić członkom oddziału, aby ich za-chęcić”.

Tak zachęceni przez bogobojnego Anglika Irokezi zorganizowali wreszcie oddział liczący około dwustu wojowników i pro-wadzeni przez angielskich oficerów, wyruszyli w lutym 1764 na południe, w stronę siedzib Delawarów.

Jeszcze raz więc zatriumfowała tradycyjna polityka koloniza-torów, wykorzystująca zadawnione antagonizmy międzyplemien-ne dla własnych celów, dla zwalczania Indian indiańskimi rękami. Po kilku dniach skradający się przez puszcze wojownicy wyśledzi-li oddział Delawarów maszerujący w stronę osiedli granicznych i poszli ich śladem. Wytropiwszy ich obozowisko, z największą ostrożnością podkradli się w nocy, otoczyli Delawarów i o świcie z przeraźliwym okrzykiem wpadli na śpiących. Zanim Delawaro-wie zdążyli chwycić za broń, wszyscy zostali już powaleni i skrepowani. Walka rozegrała się bez przelewu krwi. Czterdziestu Dela-warów, z wodzem zwanym przez Anglików Captain Bull, zabrano do Johnson Hall, a stąd do Albany i Nowego Jorku, gdzie oprowa-dzano ich po ulicach i pokazywano ludności, by mogła się cieszyć zwycięstwem.

Wkrótce potem kapitan Montounwith na czele Irokezów zniszczył osiedla indiańskie nad górną Susquehanną. Te ciosy wywo-ływały wielkie zamieszanie i przygnębienie wśród skonfederowanych

plemion. Oto powtarzała się tragedia wojny Pequotów, „wojen króla Filipa”, a zapowiadały tragedie wszystkich następnych wojen indiańskich.

Niewiele pomogło Pontiakowi przyłączenie się do walki przeciwko Anglikom plemion Krików (Creek) na południu, w dalekiej Karolinie. Kolonia ta we własnym zakresie, bez odwoływania wojsk walczących przeciwko Pontiakowi, zmobilizowała dosyć sił, aby krwawo stłumić powstanie.

Tak więc przełom roku 1763—64 kończył się polityczną i militarną klęską sprzysiężonych Indian. Pobito ich w otwartej bitwie, nie zdobyli fortów, Liga Irokezów podniosła przeciwko nim broń, zmasakrowano bezkarnie mieszkańców Conestogi, rozproszone w puszczy rody głodowały i marzły. Jednakże w piersi wielkiego sachema trwała niezłomna woła walki, każąca mu kuć nowe plany wojny. Samotny w swoim wigwamie nad Maumee, przy ognisku, pośród lasów huczących w zamieciach zimowych, Pontiak obmyślał kampanię następnego roku.



Kłeska

Właściwie można by powiedzieć, że kampania Pontiaka zakończyła się na przełomie roku 1763—64. Od wiosny 1764 prowadzono tylko wojnę podjazdową na granicach, lecz nie staczano już wielkich bitew, nie oblegano i nie zdobywano fortów. Dwie armie angielskie, które ruszyły w głąb ziem indiańskich, nie napotkały już oporu. Maszerowały bez walki, nie spotykając gromad Indian pomalowanych jaskrawymi kolorami wojny, z wojennym okrzykiem wypadających z dobrze obmyślanej zasadzki. Puszcze milczały. Bez walki dokonywał się kolejny akt tragedii — rozbijanie konfederacji, odstępowanie plemion od sprawy Pontiaka, zawieranie oddzielnych traktatów pokojowych, podporządkowywanie się kolonizatorom. Rozpaczliwy wybuch ogólnoindiańskiego powstania nie powiódł się. Nie wszystkie ludy chwyciły za broń, kolonii nie zaatakowała zorganizowana siła. Wprawdzie tysiące kolonistów i setki żołnierzy straciły życie w walce, tysiące farm, chat i osiedli strawił ogień, zniszczono wiele pól i dobytku, lecz tyle tylko Indianie osiągnęli, że fala osadnictwa cofnęła się na krótki okres.

Gdy wiosną ruszyły lody na rzekach, grupki gońców z obozu nad Maumee rozbiegły się znowu po olbrzymich połaciach Ameryki, niosąc czarne pasy wampumów, czerwone topory wojny i znaki Czarnej Wydry. Pontiak wołał znowu. Wkrótce potem zwinięto obóz i flota czółen popłynęła na północ, przez puszcze rozświetloną wiosennym słońcem. Pontiak wracał pod Detroit. Z tym samym planem, z którym wystąpił przed rokiem: zdobyć fort i poprowadzić gromady wojowników na wschód. Wracał pod znieawidzone palisady. Jak zahipnotyzowany angielską flagą, jechał tam, gdzie miał się spełnić jego los. Podczas gdy gnane silnymi rękami

cząłna niosły jego drużynę na północ, gońcy przy ogniskach rady wygłaszali znów mowy pełne wielkiej siły i nienawiści.

Ale sytuacja się zmieniła. Nieprzejednani w zemście Delawarowie i Szawanowie zawsze gotowi do walki odpowiedzieli z ponurym zdecydowaniem, że na nich zawsze można liczyć. Czując się bezpiecznie plemiona znad Wabash i z zachodnich puszczy, takie jak Majamowie, Kikapu i inne, również odpowiedziały, że gotowe są do walki. Jednakże Indianie znad jezior, obawiając się represji angielskich, zwlekali z odpowiedzią. W wioskach ich bawili gońcy Johnsona, nęcąc pokojem, przebaczeniem i wspaniałymi darami. Johnson wzywał na wielką radę pokojową do Niagara. Kusił wynędzniałych i wygłodzonych Indian nadzieją uczt i bogatych darów.

Władze kolonii angielskich również gotowały się do wojny. Naczelne dowództwo przygotowywało dwie silne, liczące po kilka tysięcy żołnierzy armie do walki przeciwko zbuntowanym szczepom. Gubernator królewski w Pensylwanii uciekł się do haniebnego, lecz stale stosowanego środka. Wydał odezwę przyrzekającą nagrody za skalpy wrogich Indian. (Jeszcze w połowie XIX wieku ciała ustawodawcze poszczególnych stanów wyznaczały ustawowe nagrody za skalpy.) W odezwie tej między innymi pisał: „Niniejszym deklaruję i przyrzekam, że zostaną wypłacone, z pieniędzy przeznaczonych na ten cel przez króla, każdej osobie, również osobom nie pozostającym na służbie naszej kolonii, następujące nagrody i premie za jeńców lub skalpy wrogich Indian, chwytanych lub zabitych w granicach tej prowincji wyznaczonych przez króla albo w pościgu poza tymi granicami. Mianowicie za każdego Indianina płci męskiej w wieku ponad 10 lat, który zostanie wzięty do niewoli i doprowadzony do fortu zajętego przez wojska naszej prowincji albo do dowolnego miasta, do rąk naczelnika tamtejszego więzienia — 150 dolarów hiszpańskich. Za każdą Indiankę w wieku ponad 10 lat, wziętą do niewoli i doprowadzoną jak wyżej — 130 dolarów. Za każdy skalp wrogiemu Indianina w wieku ponad 10 lat, przedstawiony jako dowód jego zabicia — suma 134 dolarów. Za skalp każdej Indianki w wieku ponad 10 lat, przedstawiony jako dowód jej zabicia — suma 50 dolarów”.

Jak rozróżniano skalp Indianki liczącej lat 10 od skalpu In-

dianki liczącej lat 6 albo jak rozróżniano skalp Indianki należącej do plemienia nie biorącego udziału w wojnie — pozostanie tajemnicą służbową bogobojnych purytanów. Wyznaczenie nagród za skalpy spowodowało mobilizację najgorszych elementów bandyckich, a także i niebandyckich, formujących oddziały i gromady łowców skalpów, napadających wioski indiańskie i mordujących wszystkich bez wyjątku, kobiety, dzieci i starców. Polowanie na skalpy — to jedna z najbardziej ponurych kart w dziejach kolonizacji Ameryki Północnej. Do jakiego stopnia upodlenia mogła doprowadzić pogoń za złotem wypłacanym za skalpy, świadczy na przykład wypadek zanotowany przez kroniki tych czasów:

W czasie wojny francuskiej żołnierz David Owens uciekł do Indian i został przyjęty do jednego z rodów Delawarów, wziął z niego żonę Indiankę, która urodziła mu kilkoro dzieci. Chcąc wrócić do kolonii, zdobyć uznanie i jednocześnie środki do życia, zdecydował się na następujący postępek. Kiedy pewnej nocy spał w lesie przy ognisku, stosunkowo niedaleko granicy — wraz z czterema wojownikami, pewną Indianką, chłopcem, żoną i dwojgiem własnych małych dzieci oraz młodym jeńcem angielskim — wstał ostrożnie, zbudził Anglika i kazał mu się cicho oddalić do lasu, a następnie odebrał i odsunął broń od śpiących wojowników. Potem, przykładając do głów śpiących dwie nabite strzelby, pociągnął jednocześnie za oba cyngle. Huk strzałów obudził dwóch pozostałych wojowników, którzy skoczyli w las i uciekli. Sparaliżowane strachem kobiety i dzieci padły pod ciosami zabójcy. Dokonawszy mordu, Owens odczekał w lesie do świtu, następnie oskalpował zabitych wojowników, własną żonę i dzieci, drugą Indiankę i chłopca, odszukał przerażonego Anglika w lesie i wrócił do kolonii. Dezercję mu wybaczone, za skalpy wypłacono nagrody. Oto jeden z wielu przykładów nieludzkiego okrucieństwa i barbarzyństwa, z jakim prowadzone były walki na granicy. Takich bezwzględnych morderców jak Owens w koloniach zawsze było wielu, a bandy łowców skalpów popełniały czyny niemniej okrutne i haniebne. Indianie odpłacali pięknym za nadobne i od początku kolonizacji angielskiej (1609) aż do ostatniej bitwy z Indianami (1890) to krwawe błędne koło mordu, zemsty i wojny nie zostało nigdy przerwane.

Polowania na skalpy spowodowały, że Indianie przenieśli swoje wioski dalej na zachód, za rzekę Muskingum, a jednocześnie silne watahy wojowników zaczęły znowu napadać na osady. Wojna przybrała na zaciekłości. W porównaniu z rokiem poprzednim Indianie atakowali śmieiej, zapuszczali się dalej w głąb czujących się względnie bezpiecznie osiedli. Opinia publiczna domagała się od władz szybkiego wysłania armii i pobicia plemion. W tym samym czasie agent Johnson i jego zastępca George Croghan przygotowali memoriał w sprawie polityki wobec Indian, wskazując powody, dla których plemiona chwyciły za broń, oraz środki ich uspokojenia, pozyskania ich, rozwijania z nimi pokojowego handlu. Zalecali przede wszystkim zagwarantowanie Indianom zajmowanych przez nich ziem, powstrzymanie fali osadnictwa, poszanowanie zwierzyny, stanowiącej podstawę bytu Indian itp. Trzeba przyznać, że program ten nakreślony był ze znanstwem. Niestety nie uwzględniał on historycznej konieczności ekspansji i musiał pozostać utopią. W roku 1763 rząd angielski ogłosił przeciw linie demarkacyjną, określającą zachodnie granice kolonii, poza które osadnikom nie wolno było się wysuwać. Ale rząd był w Londynie i koloniści diabelnie mało się nim przejmowali. Zarządzenie to miało przede wszystkim ograniczyć rozrost kolonii, które stawały się już zbyt samodzielne. I dlatego, że było ono wymierzone przeciwko interesom osadników, pozostało na papierze. W koloniach było daleko więcej ludzi chciwych ziemi i wolności niż żołnierzy mogących wymusić posłuch dla rozkazów króla.

Dlatego właśnie Johnson otrzymał zupełnie inne instrukcje. Wykonując je, wysłał do wszystkich plemion wampumy wzywające do zawarcia pokoju, obiecywał dary i przebaczenie oraz zapraszał na wielką naradę plemion do Niagara. Jednocześnie posłowie jego rozpuszczali wieści o wielkiej armii prowadzonej przez generała Bradstreeta. Tak rzeczywiście było. Dowództwo angielskie postanowiło wysłać nad zachodnie jeziora wielką armię, pobić lub zmusić do kapitulacji tamtejszych Indian, odciążyć ostatecznie fort Detroit, który znowu znajdował się w stanie oblężenia, od chwili kiedy na wiosnę wrócili Ottawowie Pontiaka. Siły ich nie były zbyt liczne, nie mogli więc ważyć się na otwarty szturm. Niewielu sprzymierzeńców posłuchało wezwania wodza. Gładwyn

jednak również nie odważał się wychylić z fortu ze swoją osłabioną załogą. Wszyscy dobrze pamiętali śmiertelną pułapkę, w którą Pontiak schwycił Dalzella.

Wojska Bradstreeta zbierały się w Albany powoli i z ociąganiem. Kolonie, które miały dostarczyć odpowiednią ilość żołnierzy, posyłały różne męty, kaleki i wyrzutki. Wreszcie jednak 7 czerwca Bradstreet wyruszył w drogę zwykłą trasą przez rzekę Mohawk, Wood Creek, jezioro Oneida i rzekę Oswego do jeziora Ontario i tu, prowadząc powoli wzdłuż brzegów długi konwój łodzi, walcząc z przeciwnymi wiatrami, dotarł wreszcie pod baszty fortu Niagara.

Przywitał go tu niezwykle widok. Setki wigwamów i namiotów pokrywały pola wokół fortu, lasy roiły się od wojowników. Żadnej jednak twarzy nie zdobyły barwy wojenne. Indianie nie ściągnęli tu na wojnę. Ulegając namowom, obietnicom i groźbom, gromady ich odstąpiły Pontiakowi i przybyły do Niagara. Trudno się temu dziwić. Zima była dla nich bardzo ciężka. Pozbawieni amunicji, nie tylko nie chcieli podejmować wojny, lecz nawet nie widzieli możliwości polowania dla zaspokojenia swych potrzeb. Dlatego, zapominając o planach i dalekosiężnych koncepcjach Pontiakowi, pragnęli doraźnego pokoju, wznowienia handlu, pragnęli amunicji i wody ognistej. Dlatego posłowie Johnsona łatwiej znajdowali wśród nich posłuch niż ambasadorowie Pontiakowi.

Handlarz Aleksander Henry, wzięty do niewoli w forcie Michillimackinac, znajdował się w wiosce Odżibwejów na przesmyku między jeziorem Huron i Jeziorem Górnym, kiedy przybyli jednocześnie posłowie Johnsona i Pontiakowi. Johnson wzywał na naradę pokojową do Niagara, Pontiak do walki pod Detroit. Początkowo Odżibwejowie zamierzali udać się do obozu Pontiakowi, lecz przybycie posłów Johnsona i ogłoszona przez ich przywódcę mowa zdecydowały sprawę inaczej. Poseł powiedział: „Bracia i przyjaciele, przychodzę do was i przywożę wampum naszego wielkiego ojca Williama Johnsona. Zaprasza on was, wodzów i wojowników, na wielką ucztę do Niagara. Prosił, żeby powiedzieć, że jego kotły są już pełne i ogniska zapalone. Zaprasza was do wzięcia udziału w uczcie wraz z sześcioma narodami i zawarcia pokoju z Anglikami. Usilnie doradza wam to uczynić, gdyż w przeciwnym razie wielka armia angielska, która maszeruje przeciwko wam wraz

z wojownikami sześciu narodów, zniszczy was doszczętnie. Namyślcie się, bowiem zanim liście spadną z drzew, Anglicy będą w Michillimackinac i sześć narodów razem z nimi”.

Mowa wywarła odpowiednie wrażenie, lecz chcąc poradzić się w tak ważnej sprawie Wielkiego Ducha, wezwano szamana, aby przekazał mu pytanie. W obszernym domu rady zbudowano niewielki namiot ze skór i czarodziej wszedł do środka. Wkrótce do Indian siedzących w bojaźliwym milczeniu doszły najróżnorodniejsze głosy, wycia, krzyki, jęki. Namiot drgał jakby od jakiejś wielkiej walki. Wreszcie rozległ się cieniutki pisk, jaki wydają żółwie, i wojownicy wznieśli okrzyk radości — był to głos Wielkiego Żółwia, który nigdy nie kłamie. Po dłuższych zabiegach i złożeniu ofiary z liści tytoniu szaman wyszedł z namiotu i powtórzył słowa Wielkiego Ducha: „Sir Johnson napełni wasze kanu darami: kocami, kociołkami, strzelbami, prochem i kulami oraz baryłkami rumu tak dużymi, że najsilniejszy Indianin ich nie podźwignie. Każdy wróci bezpiecznie do swej rodziny”.

Oczywiście takie orzeczenie Wielkiego Ducha przesądziło sprawę. Posłańcy Pontiaaka odnieśli nie przyjęte wampумы i toma-



hawki. Zapewne i w wielu innych wioskach sprytni Anglicy umieli postarać się o podobne prorocтва. Tylko Delawarowie i Szawanowie odpowiedzieli, że nie boją się armii angielskich, gdyż traktują Anglików jak stare kobiety, ale z litości nad nimi mogą zawrzeć pokój, jeśli Anglicy spełnią ich warunki. Senekowie z jednej strony prowadzili rozmowy o zawarciu pokoju, lecz z drugiej gromady ich wojowników razem z Delawarami napadały na granice. Dopiero wieść o marszu Bradstreeta i stanowcze ultimatum Johnsona zmusiły siły ich do zaprzestania walki.

Tak więc, dzięki przebiegłości Johnsona generał zwyciężał, zanim jeszcze doszedł nad jeziora. Plemiona skupiały się pod fortem i Johnson prowadził z nimi rokowania, oczywiście żywiąc, i to wcale nieźle, wszystkie te gromady. Chytry agent rokował z każdym plemieniem oddzielnie, nawet z poszczególnymi grupami, żeby tylko zatrzeć ślad zjednoczeniowych wysiłków Pontiaaka. W Niagara znaleźli się Potawatomi, Wyandoci i inni bliscy sprzymierzeńcy wielkiego sachema. Nie było tylko Ottawów, wiernych swemu wodzowi. Na traktatach podpisywanych rysunkami totemicznymi rodów indiańskich zabrakło Czarnej Wydry, znaku Pontiaaka.

Wielki wódz wyniośle odrzucił propozycję zawarcia pokoju i przyjęcia darów. Rozmawiał z wysłańcami Johnsona spokojnie, z kamiennym opanowaniem. Nie okazał ani smutku, ani gniewu, tylko chłodną pogardę i dumę wolnego człowieka. Widział ruinę indiańskiej sprawy i upadek plemion nad jeziorami. Dopełniała się jego tragedia, gasła jego gwiazda, wskazująca drogę ludom zachodnich puszczy. Plemiona nie chciały iść dalej tą drogą, lecz on sam musiał na niej wytrwać do końca.

Jedno plemię za drugim zawierało pokój. Warunki nie były lekkie. Indianie musieli wydać jeńców, nagrodzić straty wyrządzone kompaniom kupieckim podczas masakry handlarzy, a nawet odstąpić niektóre terytoria kolonistom. Rokowania trwały długo, z zachowaniem całego ceremoniału. Plemiona, które w czasie wojny okazały pomoc Anglikom, były specjalnie hojnie wynagradzane. Każdy, kto wyrzekł się sprawy Pontiaaka, mógł liczyć na dary. Johnson nigdy nie zwoływał jakiegoś ogólnego zebrania plemion, starannie podsycając podczas oddzielnych narad wszystkie trady-

cje separatystyczne i przypominając stare antagonizmy. Gromada za gromadą opuszczała fort, którego załoga trwała w pełnym pogotowiu, gdyż Johnson dobrze wiedział, że jeżeli zaniedba zwykle środki ostrożności, wszystkie te miłujące pokój narody zmasakrują Anglików i puszczą fort z dymem. Wreszcie ostatnie uroczystości zostały zakończone i Johnson 6 sierpnia odjechał do Oswego, a armia Bradstreeta wyruszyła na zachód. Pochodowi jej towarzyszyło kilkuset Irokezów i kilkuset Kanadyjczyków, spieszących podkreślić, że nigdy nie sprzyjali indiańskiemu powstaniu. Delawarowie i Szawanowie obawiając się, że zostaną wzięci w dwa ognie przez armię Bradstreeta i maszerującą jednocześnie na zachód od fortu Pitt armię Bouqueta, wysłali do Bradstreeta posłów z propozycją zawarcia pokoju. Próżny dowódca przystał na to, chociaż oficerowie ostrzegali go, że jest to jedynie manewr dla zyskania czasu przez wojownicze plemiona. Bradstreet nie tylko zawarł pokój, lecz także wysłał do Bouqueta gońca z poleceniem, aby wstrzymał swój marsz na zachód. Tak więc plemiona te zapewniły sobie pokój na północy, nie przerywając napadów na granice.

Posuwając się na zachód, Bradstreet dotarł do ruin fortu Sandusky. Indianie z tych okolic nie stanęli do walki, lecz pośpiesznie zawarli pokój. Generał również i tu okazał się wspaniałomyślny, dając im korzystne warunki. Następnie ruszył ku Detroit, gdzie dotarł 28 sierpnia. Wyandoci, którzy już zawarli pokój w Niagara, powitali go owacyjnie. Jeszcze większa jednak była radość Gładwyna i jego załogi, która po piętnastu miesiącach oblężenia miała nareszcie wrócić na wschód.

Jak przed rokiem, tak i teraz Pontiak znowu wycofał się nad Maumee. Żaden z wojowników nie mógł dostrzec, co się działo w jego duszy. Wsiadając do kanu, wódz miał na twarzy świeże barwy wojny. Nie poddawał się, nie myślał zakopać raz podniesionego topora. Nie zdobył fortu. Nie spełniły się nadzieje poprowadzenia plemion na wschód. Przeciwnie. Był osamotniony. Plemiona go opuściły. Odjeżdżał tylko z nielicznym gronem wiernej druzyny. Większość jego plemienia została w wiosce koło Jeziora Św. Klary. Ale Pontiak był spokojny. Głos mu nie zadrżał, gdy donośnie wykrzyknął hasło do odjazdu. Trwała w nim dawna przejm-

jąca siła. Ręce pewnie ujęły wiosło. Wzrok wbił w wodę przed dziobem czółna, jakby w niej chciał wyczytać, co przyniesie mu przyszłość. Towarzyszyły mu ukradkowe, pełne czci i podziwu spojrzenia jego wojowników.

*

Bredstreet znowu zwołał plemiona, i te, które były w Niagara, i te, których tam nie było. Zjawili się Ottawowie, Potawatomi, Majamowie, Odżibwejowie, Saukowie i inni. 9 września podczas uroczystości, w obliczu rozwiniętego frontu wojsk Bradstreet wygłosił bogobojne przemówienie. Plemiona zobowiązały się do wierności królowi Anglii. Wojska angielskie wróciły do zdobytych fortów. Wzmocnione załogi odbudowywały palisady i baraki. Wojna nad jeziorami była zakończona.

Pozostał Pontiak. Bradstreet wysłał do niego kapitana Morrisa, polecając, o ile to okaże się możliwe, dotrzeć aż do Illinois i nawiązać łączność z Francuzami, aby w ten sposób uspokoić także plemiona żyjące na obszarach zachodnich. Morris przybył do obozu Pontiaka, lecz został przyjęty wrogo. „Wszyscy Anglicy są kłamcami” — oświadczył wódz na początku rozmowy, a następnie pokazał mu, napisany prawdopodobnie przez jakiegoś francuskiego handlarza futer, list od króla Francji do Pontiaka zachęcający do wojny. Morris oczywiście nie mógł przekonać wodza o fałszywości listu. Pontiak nie chciał słyszeć o kapitulacji. Kapitan uratował głowę tylko dlatego, że wioska Pontiaka pod Detroit była w rękach Bradstreeta i Ottawowie nie chcieli narażać swoich na zemstę. Pozbawili natomiast Morrisa całego dobytku ruchomego. Po opuszczeniu obozu Pontiaka wiosłując z trudem pod prąd Maumee, dojechał do fortu Miami, obsadzonego teraz przez Indian Kikapu. Tutaj tylko interwencja odważnego krewniaka Pontiaka uratowała mu życie. Kiedy jednak do okolicznych wiosek przybyły grupy Szawanów werbując wojowników na wyprawę wojenną, Morris czym prędzej zawrócił, gdyż w tej sytuacji nikt już nie mógł zapewnić mu ochrony.

Tak więc, mimo że armia Bradstreeta stała nad jeziorami, plemiona z puszczy południowych ciągle gotowe były do walki.

Przeciwno nim ruszyła druga armia, prowadzona przez zdecydowanego i zręcznego dowódcę, jakim był pułkownik Bouquet.

Dopiero 6 sierpnia, w rocznicę bitwy nad Bushy Run, pułkownik wyszedł z Carlisle, prowadząc pięciuset regularnych żołnierzy, tysiąc milicjantów z Pensylwanii i stosunkowo nieliczny, lecz w puszczy nadzwyczaj cenny korpus strzelców z Wirginii, złożony prawie wyłącznie z doświadczonych *backwoodsmen*. Do ekspedycji przyłączyło się dobrowolnie wielu osadników, szukających porwanych i uprowadzonych przez Indian członków rodzin. Armia kończyła właśnie przygotowania do wymarszu z fortu Loudon, kiedy Bouquet otrzymał od Bradstreeta wiadomość o zawarciu pokoju z Szawanami i Delawarami oraz rozkaz zawieszenia operacji przeciwko tym plemionom. Pułkownik widział jednak, co się dzieje na granicy, i kontynuował swój marsz.

17 września bez przeszkód wszedł do fortu Pitt. W głuchym milczeniu mijali żołnierze miejsce rozpaczliwej bitwy. Indianie krążyli w lesie i kilku żołnierzy, którzy oddalili się zbyt daleko, zapłaciło skalpami, lecz główna kolumna ani razu nie została zaatakowana. Wkrótce do fortu zgłosiła się gromada wojowników, podając się za posłańców delegowanych do przeprowadzenia pertraktacji. Okazało się jednak, że byli to raczej wysłani przez plemiona zwiadowcy. Kilku zatrzymano, reszta uciekła. Pułkownik odesłał również i zatrzymanych, stawiając następujący warunek: wolna droga dla gońców Bouqueta na wschód i do Detroit, do armii Bradstreeta, pod groźbą stracenia wszystkich Indian znajdujących się w rękach Anglików i wszystkich przyszłych jeńców. Wymiana poselstw przeciągała się. Indianie pod pretekstem rokowań chcieli przetrzymać wojsko w forcie aż do zimy, aby zyskać na czasie. Pułkownik nie słuchał ich przestróg przed trudnościami marszu na zachód i wielką liczbą wojowników, których tam napotka. W pierwszych dniach października wojska jego wyruszyły dalej na zachód. Była to pierwsza ekspedycja wojskowa na tych ziemiach. Nigdy jeszcze wojska angielskie nie zapuszczały się tak daleko.

Indianie nie zdecydowali się na zbrojny opór. Sądzili, że raczej puszcza sama zatrzyma pochód Anglików. Przeliczyli się jednak. Załadowawszy zapasy na juczne konie, pędząc stada bydła i owiec na rzeź dla wojska, ubezpieczony przez wirgińskich

backwoodsmen, Bouquet powoli, lecz wytrwale torował sobie drogę. W dziesiątym dniu marszu przez dziewiczą puszcę armia osiągnęła rzekę Muskingum. Za nią zaczynał się obszar zamieszkały przez Indian. Zwiadowcy stale obserwowali posuwającą się armię, jednak jej wielka liczebność, dobre ubezpieczenie i — pamięć o przegranej bitwie — powstrzymywały wodzów od podjęcia walki.

Napotykanie przez armię wioski były puste. Indianie uciekli w głąb lasów. Posuwając się wzdłuż Muskingum, Bouquet doszedł do wielkiej polany, gdzie rozbił warowny obóz. Znajdował się w sercu indiańskiego kraju. Wioski i pola leżały w zasięgu jego działania. Mógł je zniszczyć z łatwością. Indianom nie pozostawało nic prócz kapitulacji. Wezwani przez pułkownika ścigali wodzowie i delegacje plemion. W wyznaczonym dniu na wielkiej polanie obok obozu wojskowego stanęły kompanie wojska i milicji w szyku bojowym, z bagnetami na broni, w długich szeregach. Naprzeciw nich gromady wojowników patrzyły z pozorną obojętnością, lecz w istocie z przerażeniem i nienawiścią na wielką siłę wroga. Wodzowie plemion, pomalowani barwami pokoju, w pełnej gali piór i korowych płaszczy ze skór bizonich, z twarzami nieporuszonymi jak maski zasiedli przed pułkownikiem i jego sztabem.

Tak zaczęły się pertraktacje, ciągnące się długie dni. Wodzowie starali się usprawiedliwić swoje przystąpienie do wojny i ataki na osadników, zapewniali o gotowości zawarcia pokoju i wydania jeńców. Bouquet odpowiedział w surowych słowach. Przypomniał im wszystkie wypadki, wymordowanie handlarzy, ataki na forty, napady na granice, odmowę zawarcia pokoju na wezwanie Johnso-
na itp. O jednym tylko nie wspomniał, a mianowicie o tym, że Indianie nie napadali na kraje europejskie, lecz tylko bronili swej ziemi, bronili swego prawa do życia. Na zakończenie mowy Bouquet postawił warunki: w ciągu dwunastu dni plemiona muszą wydać wszystkich jeńców znajdujących się w ich wioskach — Anglików, Francuzów, kobiety i dzieci — uprowadzonych niegdyś, obojętnie podczas której wojny. Jeńców tych Indianie powinni zaopatrzyć w żywność i konie, aby mogli być przetransportowani

do fortu Pitt. Gdy warunek ten zostanie spełniony, rozpoczną się właściwe pertraktacje pokojowe.

Mowa ta, wypowiedziana głosem stanowczym, poparta przekonującą paradą prawie dwóch tysięcy zbrojnych, wywarła na Indianach wrażenie. Oto przyszła klęska. Oto byli bezsilni wobec przemocy. Chowając głęboko w sercach śmiertelną nienawiść, rozesłali gońców do wiosek, aby sprowadzić jeńców. Wszystkie plemiona zostawiły Anglikom zakładników. Bouquet przeprowadził swą armię na inne miejsce i tu, ku wielkiemu zdumieniu Indian, w ciągu kilku dni wyrosło całe miasteczko. Wybudowano także pomieszczenia na przyjęcie jeńców. Pułkownik zabrał z sobą kilka kobiet, które miały się opiekować zwolnionymi kobietami i dziećmi. Indianie dotrzyмали terminu. Już po kilku dniach do obozu zaczęły napływać gromady prowadzące dzieci wychowane w rodzinach indiańskich, kobiety będące żonami wojowników już od dawna, porwanych w czasie napadów osadników, żołnierzy, dezertarów i wszystkich, którzy mieli białą skórę, lecz z jakichś powodów żyli wśród Indian. Bouquet pościągał jeńców również z dalekich wsi indiańskich znad Scioto i Wabash.

Czytelnicy książki „Błękitny Ptak”, opisującej dzieje chłopca uprowadzonego po klęsce Braddocka i wychowanego wśród Indian, a odebranego przez Bouqueta, znają sceny dziejące się wówczas w obozie angielskim. Były to sceny rozpacz i radości. Radości tych, którzy odnaleźli swoich, a rozpacz tych, którzy musieli odejść od bliskich. Oto okazało się, jak głęboko wrażliwi byli wojownicy, traktowani przez białych prawie jak dzikie zwierzęta.

Dopiero po zwrocie wszystkich jeńców nastąpiło uroczyste posiedzenie, na którym Bouquet przyjął kapitulację Indian, odsyłając ich dla zawarcia traktatu pokojowego do pełnomocnika królewskiego Williama Johnsona. Następnie armia angielska odeszła z powrotem do fortu Pitt, gdzie dotarła 28 listopada. Odprowadzały ją gromady Indian nie mogących się pogodzić z odebraniem im dzieci, żon, mężów lub przyjaciół żyjących z nimi od lat. Szli tak za wojskiem, aby na postojach podejść jeszcze do swoich bliskich, podać im żywność lub drobne upominki.

Bouquet wracał jak triumfator. Plemiona złożyły broń. W wyznaczonym terminie stawiły się w Oswego u Johnsona i zawar-

ły pokój. Wojna na granicy ucichła. Osadnicy wracali do opuszczonych osad. Puszcza znowu rozbrzmiała stukiem siekier. Waliły się drzewa, oczyszczano nowe pólka, wznoszono osiedla otoczone palisadami. Fala białych znów parła na zachód. Indianie musieli patrzeć na to z bezsilną wciekłością. Podpisali pokój. Wysłali zakładników do fortów. Złożyli broń.

Ale nie wszyscy.

Pontiak nie złożył broni. Nie wiemy, co w tym czasie robił wielki wódz. Nie wiemy, dlaczego nie ruszył na południe i wraz z plemionami z doliny Ohio nie próbował zatrzymać Bouqueta. Nie mówią o tym żadne źródła. Wiemy tylko, że kiedy armia Bouqueta przekroczyła Muskingum, a Delaware i Szawanie podjęli rozmowy pokojowe, Pontiak ze swą drużyną cofnął się znowu dalej na zachód. Taki był los plemion indiańskich. Na zachód! Za zachodzącym słońcem, ku wieczornym zorzom, czerwonym jak krew ginących ludów, jak barwy wojny wymalowane na twarzach Indian i nigdy nie starte, aż do krwawego końca. Na zachód — ustępować przed napierającą falą i zostawiać za sobą ziemię, w której spoczywały prochy ojców. Czerwono płonęły zorze w jesienne wieczory, kładąc na rzece purpurowe pasma. W ich blasku czerwone barwy na twarzach wojowników wydawały się jeszcze jaskrawsze. Pontiak ustępował, ale po to, by mobilizować nowe ludy. Zdązał do Illinois.



Koniec epopei

Illinois, kraj położony między rzekami Illinois, Missisipi, ujściem Ohio i jej dopływem Wabash, był krajem przejściowym między obszarem wielkich puszczy i prerii, krajem o wyjątkowej piękności. Odkryty przez Francuzów w czasie ich podróży między Kanadą a ujściem Missisipi, został częściowo zaludniony przez francuskich osadników, skupiających się przy fortach pobudowanych dla ochrony połączeń między Kanadą i Luizjaną. Nad rzeką Wabash, na południe od fortu Ouiatenom, znajdował się francuski fort Vincennes, a nad Missisipi osiedla i forty Chartres, Cahokia, Kaskaskia. Po roku 1763, kiedy przyszła wiadomość o oddaniu ziem na wschód od Wielkiej Rzeki Anglikom, część kolonistów nienawidzących Brytyjczyków wyjechała do Luizjany, inni przenieśli się na zachodni brzeg Missisipi i naprzeciwko Cahokii założyli osadę St. Louis. Do tego kraju, gdzie jeszcze stały francuskie garnizony, gdzie jeszcze nie odważył się zapuścić żaden Anglik, gdzie jeszcze były plemiona nie pokonane, skierował się teraz Pontiak na czele około czterystu wojowników z różnych plemion, przeważnie Ottawów, którzy jeszcze pozostali mu wierni.

Lokalni politycy, a przede wszystkim kupcy francuscy, obawiający się, że nadejście Anglików położy kres ich monopolowi, z którego ciągnęli duże korzyści, i chcąc jak najbardziej opóźnić zajęcie kraju, ciągle podburzali plemiona do walki. Tak więc głęboką jesienią 1764 roku, kiedy Pontiak na czele dużej floty czółen przedzierał się w górę Maumee, a następnie St. Marys River, by po przeniesieniu kanu przez portaż spłynąć w dół rzeką Wabash, towarzyszyli mu różnego gatunku agenci kupców francuskich. Wysyłali do niego listy, pochodzące rzekomo od króla

Francji, a tłumaczące spóźnienie się armii francuskiej. Niektórzy zjawiali się u niego przebrani w mundury oficerów francuskich. Przysyłali mu także zapasy strzelb, prochu i kul oraz podsuwali plany obrony Illinois przed Anglikami. Wojsko angielskie mogło się tu przedostać tylko dwiema drogami: z Nowego Orleanu w górę Missisipi lub z kolonii na wschodzie, przez fort Pitt, a później łodziami w dół Ohio. Pontiak postanowił zamknąć obie rzeki zasadzkami, zgromadzić w Illinois duże siły, a następnie znowu ponieść wojnę na wschód.

Płynąc z biegiem Wabash, wstępował do wszystkich napotkanych wiosek w otoczeniu na nowo zebranych setek wojowników, wręczał wampумы wojny i wygłaszał przemówienia. Wiemy, że był potężnym oratorem, że umiał wrzącą w jego piersiach miłość do indiańskich ludów i rodzinnej ziemi oraz nienawiść do najeźdźców przelewać w serca współplemieńców. Wszędzie witano go uroczysto i wszędzie podejmowano przekazane znaki wojny. Pontiak organizował nową wielką konfederację plemion, wieści o tym dochodziły nad Scioto i Muskingum, gdzie wiele uszu nasłuchiwało uważnie. Przybywszy do Illinois, zwołał wielką radę plemion. Żyjące tu ludy Peoria, Cahokia, Kaskaskia, Illinois nie przejawiały wielkich skłonności do walki. Od dawna nie wstępowały one na ścieżkę wojenną, żyjąc pod opieką Francuzów, oddając się rolnictwu i polowaniu. Pontiak jednak umiał rozbudzić ich zapał wojenny. „Jeżeli się nie zdecydujecie, tomahawki nasze pożrą was tak, jak ogień pożera suchą trawę na prerii.” Ten argument okazał się przekonujący i wszyscy obecni zobowiązali się przystąpić do nowej konfederacji. Po radzie Pontiak udał się do fortu Chartres, aby rozmówić się z następcą Neyona, kapitanem St. Ange.

St. Ange znajdował się w trudnym położeniu. Poselstwa od Pontiaka i innych plemion wielokrotnie zjawiały się u niego, żądając pomocy przeciwko Anglikom. Z drugiej strony i Anglicy, i jego władze kategorycznie żądały uspokojenia walczących plemion. Rozwijał więc cały kunszt dyplomatyczny, aby nie narazić się nikomu, a przede wszystkim aby nie ściągnąć na głowę swoją i swoich rodaków zemsty zawiedzionych Indian. Nie ucieszył się też, gdy zobaczył Pontiaka na czele kilkuset wojowników pod

fortem. Przyjął jednak wodza uprzejmie, prawil mnóstwo pochlebstw, ofiarował dary, lecz odmówił wydania większej ilości broni i amunicji, zasłaniając się nakazami władz.

Godna podziwu była niespożyta energia wodza Ottawów. Mimo odmowy Francuzów Pontiak dalej prowadził dzieło tworzenia wielkiej konfederacji. Kobiety jego sporządziły olbrzymi pas wampumów, długi prawie na dwa metry i około piętnastu centymetrów szeroki, na którym uwidocznione były symbole czterdziestu siedmiu plemion i wsi wchodzących lub mających wejść do związku. Delegacja wodzów i wojowników z wielu plemion, prowadzona przez jednego z wodzów Szawanów, powędrowała w dół Missisipi, niosąc słowa Pontiak i wzywając do zwalczania Anglików, gdyby zamierzali płynąć w górę Missisipi lub w dół Ohio.

Agitacja ta dała wyniki. Wiosną 1765 roku angielski major Loftus na czele czterystu żołnierzy wyjechał z Nowego Orleanu w górę rzeki, aby obsadzić forty w Illinois. Ale już niecałe sto mil od Nowego Orleanu został zwabiony przez Indian w zasadzkę i odparty ze stratami. Druga próba, podjęta przez kapitana Pittmana, również skończyła się niepowodzeniem. Jednakże posłowie Pontiak, którzy dotarli do Nowego Orleanu i zostali przyjęci przez gubernatora D'Abbadie, nic nie wskórali, gdyż w tym czasie rząd francuski odstąpił pozostałe ziemie Luizjany Koronie Hiszpańskiej i w kolonii panowało wielkie zamieszanie. Podczas przyjęcia doszło do wymiany ostrych słów. Indianie zarzucali Francuzom prowadzenie podwójnej gry, zdradę i oszustwo. Ale nie zmieniło to sytuacji. Otrzymaawszy dary, posłańcy z ciężkim sercem ruszyli pod prąd „Ojca Wód”.

Zanim jednak posłańcy z Nowego Orleanu wrócili do Illinois — a droga taka trwała kilka miesięcy — konfederacja plemion pod wodzą Pontiak zaczęła przybierać realne kształty i stać się poważną siłą. St. Ange prowadził dalej niebezpieczną grę zwodzenia Indian i uspokajania ich drobnymi podarkami. Kupcy francuscy wyposażali ich stopniowo w broń. Anglicy, informowani przez swoich szpiegów, rozumieli dobrze niebezpieczeństwo. Nie ufali zbytym traktatom. Indianie z doliny Ohio pilnie nasłuchiwali wieści z zachodu. Wojna mogła łatwo wybuchnąć na nowo, tym bardziej że Indianom nie brakło powodów do

rozgoryczenia. W tej sytuacji nowy głównodowodzący w Ameryce, generał Gage, zdecydował się na szybkie obsadzenie Illinois. Jednakże akcję wojskową chciał przygotować przez misję pokojową. W tym celu zastępca Johnsona, George Croghan, został wysłany na zachód. Zadaniem jego było uspokoić Indian, rozdać im hojne podarki, wprowadzić na zachód od Pitt pierwsze partie handlarzy z towarami — słowem, stworzyć pokojową okupację.

W lutym 1765 roku Croghan wyjechał do fortu Pitt. W kilka dni później wyruszyła z Carlisle eskortowana przez wojsko kolumna koni jucznych, wioząca dary dla Indian. Do niej przyłączyli się handlarze. Wysłanie tej kolumny wywołało wielkie oburzenie na granicy. Zamiast wytepić doszczętnie diabelskie nasienie indiańskie — rząd królewski wysłał dary kupione za pieniądze z podatków płaconych przez kolonistów! Tego było za wiele. „Paxton boys”, którym włos nie spadł za masakrę Indian z Conestogi, rychło skrzyknęli podobnych im zabijaków, przebrali się za Indian i napadli kolumnę u stóp Sideling Hill, niedaleko Bedford. Wszystkie dary i towary kupców zostały zniszczone i spalone, nie mówiąc o tym, że oczywiście każdy z napastników zaopatrzył się dobrze. Charakterystyczne jest, że i ta sprawka przeszła bezkarnie. Rząd angielski nakazał rozbrojenie ludności na granicy, w odpowiedzi na co uzbrojone gromady zebrały się pod fortem Loudon, wzięły do niewoli jego dowódcę i wymusiły zwrot skonfiskowanej broni. Rewolucja wisiała w powietrzu.

Tymczasem Croghan zabrał, co mógł, z zapasów fortu Pitt i od tamtejszych handlarzy, aby dokonać swej misji. Wezwał także na naradę Szawanów i Delawarów oraz zażądał zwrotu reszty jeńców. Nastroje wśród Indian nie były najlepsze i Croghan obawiał się trudności. Jednakże rozdane prezenty robiły swoje. Plemiona wypełniały podjęte zobowiązania. Najważniejsze dla Croghana było to, że na naradę przybył sławny prorok Delawarów, którego prorocтва były „ideologiczną” podbudową sprzysiężenia Pontiaka. Otóż prorok ów, powołując się na nowe objawienia, powiedział, że Wielki Duch nakazuje plemionom zaprzestanie walki i podporządkowanie się Anglikom. Słowa jego wywarły na Indianach duże wrażenie. Widocznie agenci angielscy umieli utrzymać z Wielkim Duchem dobre stosunki. Narady zabierały dużo

czasu, toteż Croghan obawiając się, że tymczasem plemiona w Illinois wyruszą do wojny, wysłał porucznika Frazera z niewielką grupą w dół Ohio, aby dotarł do Illinois i zapowiedział przyjazd Croghana. Misja skończyła się niepomyślnie. Porucznik został pojmany i tylko dzięki pomocy francuskiej udało mu się zbiec do Nowego Orleanu. Gdy Pontiak dowiedział się o przybyciu Frazera, natychmiast zażądał jego wydania — miał już przygotowany duży kocioł, aby ugotować w nim Anglików żywcem. Ponadto dodał, że wie o misji Croghana i będzie trzymał ogień pod kotłem także na jego przyjęcie.

W tym czasie wielki wódz odniósł swój ostatni sukces. Anglicy z Nowego Orleanu wysłali do Illinois transport łodzi z towarami przeznaczonymi dla Indian. Pontiak dowiedział się o tym, zwabił łodzie w zasadzkę, załogę poddał surowej chłości, a zdobyte dobra sam rozdzielił pomiędzy Indian. Jednakże w transporcie nie było ani broni, ani amunicji. Rozchodziły się pogłoski, że z biegiem Ohio posuwa się armia angielska i druga w górę Missisipi. Garnizony francuskie przygotowywały się do opuszczenia kraju. Indianie nie mieli amunicji. Widoki na zwycięstwo były nikłe. Posłańcy z Nowego Orleanu wrócili z niczym. Konfederacja, z takim trudem stworzona przez Pontiaka, zaczęła się rozpadać. Wódz Ottawów widział ostateczną ruinę swoich planów i nadziei. Nie mógł liczyć na plemiona Cheroków, gdyż te były wrogie Algonkinom. Plemiona prerii, Osagowie, Dakotowie i inne, nie rozumiały niebezpieczeństwa białej kolonizacji. Forty nad jeziorami znowu były odbudowane i pełne angielskich żołnierzy.

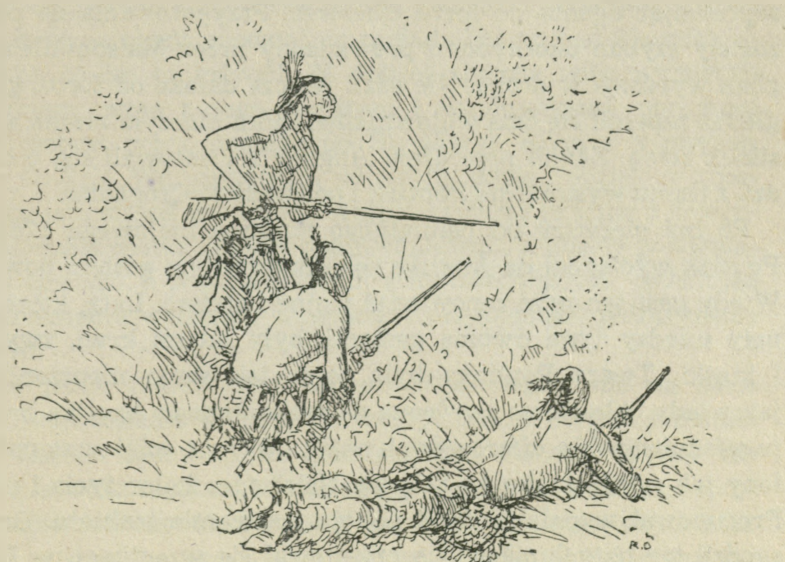
Pontiak wiedział, że los się dopełnił. Nie rozumiał konieczności wynikających z polityki dalekich mocarstw. Wzrok jego obiegał tylko puszcze na wschód od Missisipi i prerie na zachód od niej. Nigdzie nie było już dla niego miejsca. Zdradzili go Francuzi.

Obozując w pobliżu fortu Chartres, Pontiak rozważał ostateczne decyzje. Wielka sława łagodziła gorycz klęski. Czyż jego imię nie brzmiało u wszystkich ognisk rady, wszędzie, gdzie plemiona czciły świętą fajkę? Czyż nie mówili o nim z szacunkiem i strachem biali żołnierze i osadnicy? Zdobył to, o czym marzył każdy Indianin — wielką sławę, lecz serce wodza nie było syte i skłonne do radości. Jemu Wielki Duch powierzył sprawę ratowania Indian.

Czyż ich uratował? Pontiak wiedział, że zadanie to przerosło nie jego siły, lecz możliwości plemion. Cóż stąd, że jego oczy posiadały siłę patrzenia w przyszłość, kiedy plemiona były ślepe i nie widziały dalej, niż biegnie strzała łuku? Pozostawało zdecydować jedno — czy ginąć teraz w nierównej walce, czy też czekać na nową sposobność. Pontiak był Indianinem. Ginąć niepotrzebnie w nierównej walce było dla niego szaleństwem. Trzeba się zamknąć w masce milczenia, chytryści i czekać wytrwale, a w sprzyjającej chwili uderzyć znowu. Decyzja zapadła. Wierni mu wodzowie rodów, plemion i wojownicy zrozumieli. Trzeba przyjąć klęskę z męską godnością.

Pontiak wyruszył na spotkanie Croghana.

Croghan tymczasem, opuściwszy fort Pitt, spotkał po drodze wojowników i wodzów, potwierdzających swą przyjaźń wobec Anglii. Jednakże kiedy minął ujście Wabash do Ohio, gdy łodzie przybiły do brzegu i zaczęto rozbijać obóz, z lasu huknęły strzały. Kilku ludzi Croghana padło. Spośród drzew i krzaków wybiegła



gromada Indian Kikapu i w jednej chwili powaliła pozostałych na ziemię. Napastnicy szybko ograbili juki i kieszenie Anglików, po czym dopiero zaczęły się rozmowy i wyjaśnienia. Kikapu doskonale wiedzieli, z kim mają do czynienia, gdyż śledzili Croghana i przed trzema dniami porwali chłopca, który oddalił się zbyt daleko w las. Teraz jednak bardzo przepraszali twierdząc, że Indian towarzyszących Croghanowi wzięli za Cheroków, swoich śmiertelnych wrogów. Croghan i jego ludzie zostali uwolnieni z więzów i odprowadzeni w górę Wabash, do fortu Vincennes, gdzie Croghan spotkał wielu znajomych Indian. Udzielili oni zawstydzonemu Kikapu surowej nagany. Jednakże zrabowany majątek Croghana nie został mu zwrócony. W dalszym ciągu swej honorowej niewoli, 23 czerwca Anglicy zostali doprowadzeni do Ouatatenon. Zgromadzeni tu Indianie i handlarze francuscy powitali ich z wielką serdecznością. Croghan przyjmował delegacje z różnych wiosek indiańskich, słuchając i wygłaszając mowy, paląc fajkę pokoju niezliczoną ilość razy. Obiecywał on Indianom dobre traktowanie, rozwój handlu, zaopatrzenie w broń i inne potrzebne dobra, prowadząc w ten sposób akcję pacyfikacyjną.

Wkrótce zjawił się francuski delegat St. Ange'a, Maisonville, zapraszając agenta do fortu Chartres. Przygotowania do podróży zostały szybko ukończone i prowadzony przez Maisonville'a, Croghan wyruszył w drogę. Nie uszli jeszcze daleko od fortu, gdy nagle las zapełnił się ęmą wojowników, która otoczyła orszak z wszystkich stron. Zanim przerażeni Anglicy zorientowali się, o co chodzi, z tłumu wysunął się Pontiak i podszedł do Croghana.

Po raz pierwszy od pamiętnego poranka majowego 1763 roku Pontiak wyciągnął do Anglika rękę przyjaznym gestem powitania. Wtedy gest ten miał zapowiadać wojnę i śmierć. Lata, które upływały między tymi dwoma gestami, były latami krwi, zwycięstw i klęski. Twarz Pontiaka była teraz tak samo nieprzenikniona jak wtedy. Ale słowa zwrócone do zaskoczonego Anglika brzmiały przyjaźnie: wódz ofiarowywał pokój. W ręce miał wampum zielony jak młoda trawa na wiosnę. Niósł więc kolor życia i nadziei. Proponował wypalenie fajki pokoju i zawarcie traktatu. Croghan zgodził się natychmiast. Nie orientował się w sytuacji w Illinois.

Poza tym propozycja Pontiaaka zwalniała go z długiej i trudnej podróży. Chętnie więc zawrócił do Ouiatenon.

Mały fort zapełnił się gromadami wojowników, wodzów towarzyszących Pontiakowi i tłumem ciekawych z okolicznych wsi. Nie brakło też Francuzów, zarówno zwykłych przewodników, jak i chytrych kupców, doskonale rozumiejących, co się tu decyduje.

Na naradzie wyjaśniło się, że Pontiak zamierza złożyć broń i wrócić do Detroit. Wraz z jego odejściem wygasało ognisko niepokoju w Illinois i agent angielski nie miał już po co tam jechać. Postanowił więc towarzyszyć Pontiakowi w drodze do Detroit. Do Illinois natomiast wyruszyła wkrótce potem ekspedycja wojskowa prowadzona przez majora Farmara i posuwając się wolno w górę Missisipi, 2 grudnia 1765 roku obsadziła fort Chartres. Wkrótce dotarł tu także oddział z fortu Pitt pod dowództwem kapitana Sterlinga.

Na naradzie z Croghanem Pontiak mocno podkreślał, że Anglicy nie obejmują ziem indiańskich na własność, gdyż Francuzi nigdy ich nie kupili, a byli tu jedynie tolerowani przez Indian. Agent angielski potakiwał i zapewniał, że wszystko pozostanie tak, jak jest, lecz myślał co innego. Wiedział z pewnością to, czego obawiały się plemiona, co przewidywał Pontiak i przeciwko czemu podniósł broń — agent wiedział, że zagłada Indian jest nieunikniona. Ale po co im to mówić? W dobrej zgodzie więc wyruszyli z Pontiakiem, wraz z jego wodzami i wojownikami, pod prąd Wabash, potem przez puszcę do St. Marys River i z prądem Maumee do Erie. We wszystkich wioskach, gdzie Pontiak w ubiegłym roku pozostawił wampумы wojny, zabierał je teraz z powrotem. 17 sierpnia czółna dotarły pod fort Detroit. Z baszty powiewała flaga angielska, a powitał ich huk armatniego salutu. Składając hołd pokonanemu wodzowi, komendant przypominał jednocześnie o sile fortu.

Jeszcze jeden powrót pod Detroit. Tym razem nie na czele gromady wojowników w barwach wojny. Dzieło Pontiaaka zostało rozbite. Wielkie sprzysiężenie pod znakiem Czarnej Wydry nie istniało. Ale wódz mógł z podniesioną głową wyjść z czółna i spojrzeć na zgromadzony na brzegu tłum. Nie ugiął się i do ostatka próbował ratować sprawę swoich ludów. Ostatni złożył czerwony

tomahawk. Nie zdobył fatalnego fortu. Zdrada zniweczyła jego chytrych, która miała zastąpić mu armaty. Wielki Duch, który obiecał zwycięstwo wtedy, gdy Pontiak pościł i modlił się, nie dotrzymał obietnicy. W sercu wodza była już tylko spokojna decyzja, a na twarzy maska godności i opanowania. Płomienna siła jego ducha nie była już potrzebna. Potrzebne było tylko opanowanie, by godnie dokończyć dzieła zawarcia pokoju i uzyskać dla Indian możliwie najlepsze warunki.

W tym samym wielkim domu rady w wiosce Potawatomich, gdzie Pontiak przedstawił plan opanowania fortu, zebrała się teraz liczna gromada przedstawicieli plemion znad jezior. Wieść o powrocie wodza dawno obiegła puszcze. Tłumy wojowników zaległy pola pod fortem, a brzegi Detroit pokryły się wigwamami. Narada była niesłychanie liczna. Wszyscy chcieli posłuchać mowy Pontiaka. Wszyscy również chcieli darów i wznowienia handlu z Anglikami. Wódz wygłosił mowę pokojową. Winę za wybuch wojny złożył na Francuzów, którzy swoimi oszukańczymi obietnicami podburzyli go przeciwko królowi Anglii. Widząc ich złą wolę i kłamstwa, Pontiak postanawia i przysięga wierność królowi angielskiemu. Przekonał się, że Francuzi zostali pobici, i nie będzie ich słuchał. Aby w przyszłości uniknąć zwady z Anglikami, postanowił, że cała jego wieś przeniesie się nad Maumee, gdzie już przedtem dwukrotnie się chronił.

Konferencje pod Detroit trwały do końca września. Następnie Croghan odjechał zadowolony, zobowiązawszy Pontiaka, że wiosną zjawi się w Oswego, aby w imieniu plemion należących do jego drugiej konfederacji zawrzeć formalny pokój z reprezentantem króla — Johnsonem.

*

Już w czasie zimy Indianie odczuli dobrodziejstwa nowo otwartego handlu z koloniami. Lepiej było płacić wysokie ceny za amunicję i sprzęt niż głodować. Jednakże spokój w puszczy był tylko względny. Na granicach Pensylwanii i Wirginii prący na zachód koloniści wybili bez powodu wielu Indian, zniemacka napadając na nich z zasadki. Zawrzało w wioskach, lecz pamięć klęski

była zbyt świeża. Nie podjęto broni, zemsta została odłożona.

Wiosną 1766 roku w obozie Pontiaka nad Maumee zjawiał się Anglik Crawford, wysłany przez Johnsona z darami i wezwaniem do Oswego. Przywiózł on zapasy żywności na drogę, tak że Pontiak i towarzyszący mu wodzowie rodów odbyli podróż na koszt króla. Łatwo można sobie wyobrazić, że Pontiak nie śpieszył się wcale. Oto jechał przez kraj indiański, ojczyznę wojowników, ziemię ojców, z której chciał wypędzić wroga, ale jechał pokonany, pobity, opuszczony przez sprzymierzeńców, zwyciężony bronią i chytrą białych. Oto z tej ziemi znikną wkrótce puszcze, znikną także Indianie. Wódz płynął ponury i milczący w swoim kanu z brzozowej kory.

Wreszcie w połowie lipca flotyła zbliżyła się do fortu Oswego, gdzie powitał ją salut armatni. Tu czekał Johnson i cała plejada wodzów Ligi Irokezów, zaproszona przez agenta dla nadania uroczystości większej wagi. 23 lipca, pod naprędce zbudowanym dachem z gałęzi, rozpoczęła się ostateczna narada, która miała formalnie zakończyć wojnę wielkiego sachema Ottawów. Z jednej strony zasiadł Johnson, jego sztab wojskowy i cywilny oraz tłumacze, z boków pomalowani i ustrojeni wodzowie Irokezów, naprzeciw Anglików — Pontiak i jego ludzie. Johnson rozpoczął obrady zgodnie z indiańskim ceremoniałem, ofiarując Pontiakowi jeden wampum dla otarcia łez z oczu, drugi dla nakrycia kości poległych, trzeci dla otworzenia uszu ku słuchaniu, czwarty dla oczyszczenia gardła i łatwej mowy. Potem w uroczystej ciszy Pontiak zdjął z szyi wielką fajkę pokoju, wyrzeźbioną ze świętego kamienia, ozdobioną piórami, zapalił ją i puścił w obieg. Wypalenie fajki zakończyło początek konferencji. Następnego dnia Johnson wygłosił długą mowę, witając Pontiaka i jego towarzyszy, chwalać ich za gościnne przyjęcia Croghana i pokojowe rozmowy. Przypomniawszy przegraną wojnę i ostrzegł przed jej wznawianiem. Wskazywał dobrodziejstwa płynące z panowania angielskiego, z handlu futrami, z zaopatrzenia fortów w towary i rzemieślników naprawiających broń i sprzęt Indian. Zapewniał w imieniu króla, że prawa Indian będą respektowane. Następnie omówił zakaz osiedlania się na ziemiach Indian i zasady handlu chroniące ich przed wyzyskiem i oszustwami. Wzywał, by składali skargi na złych białych w for-

tach, a na pewno znajdą sprawiedliwość. „Dzieci — zakończył agent — tym wampumem zwracam wasze oczy na wschód, gdzie zawsze znajdziecie we mnie szczerego przyjaciela. Ode mnie zawsze usłyszycie, co jest dobre, a co złe. Nie słuchajcie nigdy złych ptaków, które przybywają do was z kłamliwymi językami, aby was przywieść do złego i skłonić do złamania uroczystych zobowiązań, podjętych wobec Wielkiego Ducha, a i waszego ojca, króla angielskiego. Bądźcie silni i trzymajcie mocno ten łańcuch przyjaźni, tak aby wasze dzieci naśladowując wasz przykład żyły w pomyślności.”

Następnego dnia Pontiak odpowiedział zwykłą w takich wypadkach mową Indian. Podziękował Wielkiemu Duchowi za to, że pozwolił im się zebrać na tak ważnej radzie i zawrzeć uroczyste pokój. Zapewniał, że w imieniu zachodnich plemion chce mocno trzymać podaną dłoń przyjaźni. Wręczył Johnsonowi pas wampumów dla wzmocnienia jej łańcucha. Zobowiązał się strzec pokoju i bronić braci angielskich przed każdym napadem. W ciągu następnych dni ustalono szczegóły traktatu pokojowego, Pontiak przyrzekł odwołać wszystkie wampumy wojny, obojętnie, dokąd były wysłane. Omówiono także szczegóły handlu. Mianowicie handlarzom wolno było sprzedawać towary tylko w fortach, pod nadzorem oficerów, aby nie mogli się dopuszczać oszustw. Nie trzeba dodawać, że przepisy te nigdy nie weszły w życie.

Wreszcie sporządzono akt, który Pontiak podpisał znakiem Czarnej Wydry. Były to ostatnie dni lipca 1766 roku.

Czółna, naładowane hojnie przez Johnsona, popłynęły powoli przez jeziora, a potem przeciw silnemu prądowi Maumee. Wraz z powrotem do wsi Pontiak wrócił do zwykłego życia. Polował, zajmował się dziećmi. W zimie przeniósł się w głąb puszczy. Cóż pozostało mu innego, jak tylko biernie poddać się losowi?

A los dopełniał się nieubłaganie. Koloniści niewiele sobie robili z rządowych zakazów. Coraz dalej na zachód przesuwali się ich osady. Wielu Indian zamordowano bez przyczyny. Handlarze nigdy nie stosowali się do zarządzeń i uprawiali dawny wyzysk jeszcze bezwstydniej niż przed wojną. W Illinois ciągle wrzało, gdyż Francuzi zza Missisipi uprzykrzali Anglikom życie,

jak mogli. W roku 1769 sytuacja zaostrzała się coraz bardziej. Wtedy znowu Pontiak zjawił się na widowni.

Przez trzy lata nie było o nim wieści. Chodziły słuchy, że znów krąży po puszczech. Niektórzy twierdzili, że widzieli jego kanu na dzikiej Missouri, inni mówili, że jeździł po puszczech Kanady. W roku 1769 zjawił się w Illinois. Wzbudziło to wielki niepokój wśród Anglików, zwłaszcza wśród obecnych tu angielskich kupców. Wtedy zapadła decyzja, by się go pozbyć na zawsze. Jego obecność wywołała także poruszenie wśród Indian. Wódz odwiedził znajomych Francuzów w St. Louis, gdzie spędził trzy dni. Tutaj otrzymał zaproszenie na ucztę urządzoną przez Indian w Cahokii. Pontiak przepłynął rzekę w swoim kanu i ubrany w mundur francuskiego oficera zjawił się na uczcie. Kupiec angielski Williams czuwał. Pontiak wypił dużo rumu, a potem odszedł w las. Za nim skradał się prześlącony przez Williamsa Indianin z plemienia Kaskaskia. Pijak, odszczepieniec, który za obiecaną baryłkę rumu podjął się morderstwa. I stało się. Pontiak padł pod ciosem indiańskiego tomahawka.

Zginał z ręki współplemieńca, jak Metacom w poprzednim wieku, jak Sitting Bull w dwieście lat później. Znalezione martwe ciało i dziki krzyk zemsty pognał przez lasy. Ale zemsta dosięgła tylko Indian z Illinois, wybitych bezlitośnie przez Ottawów, Odzibwejów, Sauków i innych towarzyszy broni Pontiaka z wielkiej wojny. Anglicy temu nie przeszkadzali. Szanowali przecież obyczaje Indian i nie mieszały się do ich spraw. Pontiak nie żył. Dopięli swego celu. Nie było już wodza, który mógłby im zagrozić. Czerwone ludy topniały i ustępowały wraz z puszczą. Umierały walcząc. Nie złamane i nie pokonane w nierównej walce, protestujące z bronią w rękę, z wysoko podniesionym czołem, owianym pękami orlich piór.

Postać Pontiaka stała się symbolem. Legendy otoczyły jego wspomnienie. Jego niezłomny duch żył nadal. To on ożywił Cornstalka, gdy wiódł hufce Szawanów do krwawej bitwy nad Kanawhą w roku 1774, Miczikinikwę w roku 1790 i 1791, kiedy rozbijał armie amerykańskie w puszczy nad Wabash, to on przyświecał największemu Indianinowi Tecumsehowi, gdy w czterdzieści lat po śmierci wodza Ottawów znowu jednoczył plemiona

w wielkiej konfederacji. Wspomnienie Pontiaaka żywe było wśród Indian prerii, gdy podejmując krwawy topór wojny, przekazany im przez wytępione ludy Wschodu, prowadziły dalej podjętą przez niego walkę o ziemię i życie.

Strażnicy pilnujący wód granicznych między Kanadą i Stanami Zjednoczonymi często zaklinali się, że w nocy, we mgle, pod huczącymi fabrykami i światłami nadbrzeży, przemykało po rzece Detroit małe brzoźowe kanu, a w nim postać wiosłującego szybko, wyniosłego wojownika. Pęk piór chwiał się na jego głowie. Okrzyknięty zniknął we mgle jak duch.



SPIS RZECZY

Wstęp	5
Poznajemy bohaterów opowieści, plemiona	
Algonkinów i Irokezów.	17
Spotkanie nad jeziorem Erie	30
Pod panowaniem angielskim	40
Konspiracja	47
Narady i plany	52
Zdrada	61
Obleżenie Detroit	67
Rozbicie wyprawy Cuylera	71
Zdobywanie fortów w puszczech	75
Wojna na granicach kolonii	84
Pod obleżonym fortem	100
Rozbicie odsieczy	108
Przegrana bitwa	116
Kampanie jesienne i zimowe	130
Klęska	141
Koniec epopei	154

427

„Czytelnik”. Warszawa 1970. Wydanie IV.
Nakład 50265 egz. Ark. wyd. 9,3; ark. druk. 10,5.
Papier druk. mat. V kl., 70 g, 36×122 z Włocławka. Oddano do składania 7 V 69. Podpisano do druku 4 III 70. Druk ukończono w maju 1970 r.
Łódzka Drukarnia Dzielowa
Zam. wyd. 189; druk. 478/A/69. P-89. Cena zł 15.—
Printed in Poland

